



Mateusz Marczewski  
*Koliste jeziora Białorusi*



Mateusz Marczewski

# **Koliste jeziora Białorusi**



Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Viktor Malyshchyts / 123RF

Fotografia Autora na okładce © Anna Hatłas

Copyright © by Mateusz Marczewski, 2017

Opieka redakcyjna Łukasz Najder

Redakcja Tomasz Zając

Konsultacja merytoryczna Michał Potocki

Korekty Edward Rutkowski / d2d.pl, Justyna Rygiel-Szpakowa / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Agnieszka Frysztak / d2d.pl

Książka ukazała się dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego za rok 2013

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-577-7

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Wołowiec 2017

Wydanie I

# Spis treści

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

*Motto*

Macki na organach

Pod ziemią

Tego nie ma

Wróciłeś

Dom bez okien

Bagno wciąga

Kobiety, które grabią wodę

Mińsk się nie nadaje

Jezioro i aniołowie

Jak się robią cuda I

Co było, a nie jest

Pod gwiazdami

Koliste sprawy

Milicjanci i święcona woda

Stalowe światło

Ruchome sklepy

Balon i helikopter

PEN

Chcę do telewizji

Drzewo i wstążki

Domy na domach

Jak się robią cuda II

Beton

Mów mi Kim

Galeria Ÿ

Idź pod ziemię

Strażnik

Sprawa Bykaua

Pies dynamit

Mnie tu nie ma

Dwie siostry

Bazylianie

Jeden kłós

Odchylenie ideologiczne

Człowiek idzie

Jak się robią cuda III

Rusztowanie

Kobieta, która tańczy

*Podziękowania*

*Bibliografia*

Mit jest życiem, życie jest mitem.

Gerardus van der Leeuw  
(przeł. Mateusz Marczewski)

## Macki na organach

Ostatni raz w cuda uwierzyli w 1994 roku.

To był bardzo zły czas. Po upadku ZSRR przyszła bieda, a zaraz za nią przestępczość. Jedno z mińskich przedsiębiorstw taksówkowych w trosce o życie swoich ludzi zaczęło wstawiać pancerne szyby pomiędzy tylną kanapę a fotel kierowcy. Szyby demontowali jednak sami taksówkarze. Nie byli w stanie łapać pasażerów, którzy uciekali bez płacenia zaraz po ukończeniu kursu. Potem zmieniono zasady przewozów: trzeba było płacić przed rozpoczęciem jazdy, ustalwszy najpierw wartość kursu. Pomysłodawcami tego systemu byli sami taksówkarze, zmęczeni gonieniem pasażerów, a zgodziły się na niego władze Mińska.

Wtedy pojawił się kandydat na prezydenta, który obiecywał, że wyciągnie kraj z ruiny. Ludzie go poparli. Nawet oskarżenie o kradzież nie zepsuło jego dobrej prasy. Sprawa była niejasna – pewna stewardesa tuż przed wyborami poszła do białoruskiej telewizji i oświadczyła, że Aleksander Łukaszenka okradł ją z cukierków, suszarki do włosów i aparatu do masażu. Miało się to zdarzyć dwa lata wcześniej. Białoruska delegacja wracała właśnie samolotem z Pekinu do Mińska. Czterdzieści minut przed lądowaniem stewardesa zauważyła, że reklamówka, w której wiozła upominki, została opróżniona. Ochrona przeszukała samolot. Podobne rzeczy znaleziono w bagażu Łukaszenki. Dlaczego kobieta zgłosiła się do telewizji dwa lata po kradzieży? Chciała opowiedzieć o wydarzeniu w trosce o przyszłość kraju.

Według Łukaszenki po wygranych wyborach miało być tak: przestępczość zorganizowana zniknie, a skorumpowani urzędnicy pójdą siedzieć. Jeszcze jako szef parlamentarnej komisji do zwalczania korupcji przysiągł, że wypłeni z życia mafię, która jak mówił: „niczym żarłoczna ośmiornica obejmuje swymi mackami wszystkie organy państwowe”. Działał. Wszystkim politykom sprawującym ważniejsze funkcje postawił zarzuty korupcji, w tym także Stanisławowi Szuszkiewiczowi,

przewodniczącemu Rady Najwyższej Republiki Białorusi. No i ten zamach: kiedy jeszcze był kandydatem, próbowano go zabić. Nieznani sprawcy ostrzelali mercedesa, którym wracał z Witebska. Incydent zgłoszono dziewięć godzin po zdarzeniu, w drzwiach auta faktycznie był ślad po kuli. Prokuratura uznała jednak sprawę za sfigowaną: analiza balistyczna wykazała, że strzał oddano z bliska – mniej więcej z jednego metra. Zdarzenia do dziś nie udało się wyjaśnić, ale dzięki niemu wizerunek Łukaszenki walczącego na śmierć i życie z mafią i korupcją tylko się umocnił. No i Łukaszenka wygrał wybory prezydenckie w 1994 roku.

W pierwszym noworocznym orędziu, podsumowując swoje działania, stwierdził, że udało mu się położyć podwaliny pod ciepły, przytulny i szczęśliwy dla wszystkich białoruski dom. Parę dni później, w styczniu 1995 roku, w Mińsku wysiadło ogrzewanie. Temperatura spadła do minus dwudziestu stopni, pojawiły się problemy z usunięciem awarii. W pewną niedzielę prezydent odwiedzał zwykłych mieszkańców i własnoręcznie sprawdzał temperaturę kaloryferów.

Ale potem, wiadomo, było coraz gorzej.

Uładzimir wyłącza telewizor, drze palcami kawałki wędzonego węgorka. Zagryza czarnym chlebem smażonym na oleju.

– Ludzie wierzyli – mówi do mnie.

W miejscowości Uładzimira ponad domami wznoszą się ruiny kościoła. Zwaliste, bez dachu, z odpadającymi tynkami. Drzwi zabite deskami szalunkowymi. Sprawiają wrażenie zbyt ciężkich na miasteczko i jego jasne ulice. Powojenne budynki są małe, czyste i odmalowane. W sklepie fotograficznym można kupić rolki przeterminowanych filmów. Na poczcie w ciszy słyszeć tylko strażnika pod bronią pociągającego dużymi łykami herbatę. W gablocie leży znaczek okolicznościowy wychwalający miłość z Azerbejdżanem. Znaczek prezentuje miński Pałac Republiki i azerski parlament. Gmachy są jak bracia: oba monumentalne i surowe. W sklepie spożywczym mnóstwo konserw rybnych oraz figi i orzeszki importowane z Azerbejdżanu: rzeczywistość potwierdza to, co na znaczku.

Reszta miasteczka wieje nudą. Samochodu nie trzeba zamykać, krawężniki odmalowane po ostatnim święcie państwowym. Gazik milicjantów podskakuje na popękanym asfalcie.

Wydaje się, że czas stoi w miejscu. Po latach gospodarki centralnie sterowanej pozostały porzucone w szczerym polu resztki kołchozów. Opuszczone obiekty wyglądają jak opuszczone kościoły. Można po nich spacerować, robić zdjęcia, pytać o nie, ale i tak nie dostanie się żadnej odpowiedzi. Ludzie mówią: elewatory kiedyś należały do państwowego gospodarstwa, przyległy pałac do wielkiej i bogatej rodziny. Nie mogą sobie jednak przypomnieć nazwiska tego rodu, bo po co?

Uładzimir koniecznie chce mi pokazać szkołę muzyczną, w której pracuje. Przed wejściem do jej gmachu kobiety w pomarańczowych kamizelkach zamiatają chodnik, w pustych korytarzach lśnią wypastowane podłogi. W głównym holu na ścianie wisi flaga i godło państwa.

Mały gabinet mieści ledwie dwa krzesła: dla niego i ucznia. Na półkach kilka akordeonów, przez miodowe zasłony wpada ciepłe żółte światło. Uładzimir wchodzi do pokoiku z takim namaszczeniem, że wydaje się, że zaraz się przeżegna. Bierze instrument, pochyla się, palce zaczynają biegać po klawiszach.

Kilka dni temu przyszła wiadomość, że zespół folklorystyczny, w którym gra, zostanie rozwiązany. Skończą się wyjazdy na festiwale. Nie dawały jakichś szczególnych korzyści, raczej przyjemność wspólnego muzykowania dla ludzi. Nawet nie wiadomo, skąd taka decyzja i kto ją wydał. W gabinetach „na górze”, jak mówi Uładzimir, uznano, że zespół należy zamknąć. Oczywiście znaleźli się tacy, którzy wykorzystując sytuację, zdecydowali się działać na nowych, narzuconych z góry zasadach. On się wycofał, machnął ręką. Trudno, będzie spędzał więcej czasu w domu. Dom jest przytulny, nie za duży, wypełniony bibelotami. W kącie gra cicho telewizor. Za oknem spokój. Można tak w nieskończoność przemieszczać się między pokojami. Uładzimir traci wzrok; kiedyś, kiedy zapadnie ciemność, mieszkanie będzie jego schronieniem. Nawet wąska klatka schodowa lana z betonu stanie się problemem. Widać, że robili ją ludzie bez doświadczenia: beton równano rękami. Ale zdobienia

pomalowano na niebiesko jak tradycyjne domki wiejskie, które można oglądać w rządowych ulotkach o nienaruszonym pięknie kraju. Błękit to ponoć kolor szczęścia. Przed blokiem rozciągają się ogródki działkowe. Przedmieścia z niskimi domami niezauważalnie przechodzą w pola, kombajny wznoszą pył, wieczorem w tym miejscu będzie ściernisko. Łatwo sobie wyobrazić resztę życia Uładzimira.

W szkole, w pustej sali przypominającej pomieszczenie do baletu, spotykamy nauczycielkę śpiewu, która od lat zbiera stare piosenki ludowe i uczy dzieci zapomnianych melodii. Uładzimir prosi ją, żeby coś zaśpiewała.

– Najlepiej jakąś starą pieśń, znasz przecież takich mnóstwo.

Ona zaczyna szukać w swoim zeszycie, głośno przy tym oddychając: jej płuca świszczą. Może to przez nadwagę. W końcu znajduje kartkę, wstaje i wychodzi na środek sali. Intonuje posępną melodię, która zupełnie nie pasuje do wnętrza z lustrami, słońca za oknem i poruszanych przez wiatr zasłon. Śpiewa z charakterystycznym ludowym zaśpiewem. Kołysze się przy tym, kilka razy gubiąc rytm.

– To stara piosenka ludowa o matce, która pochowała córkę – mówi mi Uładzimir.

– Innej nie mogła wybrać? Dlaczego taka smutna? – pytam.

Uładzimir tylko się uśmiecha.

Za oknem słychać szuranie wiader. Kobiety zamiatające chodnik przesuwają się kawałek po kawałku.

Stary, osiemdziesięcioletni murarz, zapytany, co najbardziej pamięta ze swojego dzieciństwa, mówi, nie przestając murować ściany, z którą walczy od dwóch dni, że matkę. Uratowała ich dom. To było w 1944 roku. Jak opowiada, Niemcy uciekali na zachód, a Sowieci, którzy już zdobyli zrujnowany Mińsk, ostrzeliwali ich z katiusz. Kolumna niemieckich transporterów, czołgów i samochodów wypełnionych piechotą zatrzymała się pośrodku wsi. Nie mogli jechać dalej: gdzieś z przodu trafiono w kilka maszyn. Wybuchła panika. Czołgiści, widząc, co się dzieje, robili zwrot w miejscu i ruszali, taranując budynki. Kilku czołgom się udało: potem

pędziły polami, wioząc na sobie całe słomiane strzechy. Reszta, wystawiona na sowiecki ogień, była bombardowana dniem i nocą. Duma Niemców gdzieś się ulotniła. Jeszcze kilka dni temu wysiadali ze swoich maszyn i chodzili po domach, uprzejmi, w czystych mundurach, tak jakby wycofywanie się było tylko elementem strategii, a nie porażką. Kupowali warzywa, płacili z uśmiechem. Ziemniaków nie chcieli. Mieli swoje: w proszku.

– Pozostały po nich stalowe wraki straszące wieś do lat pięćdziesiątych – mówi murarz i wraca do pracy, poprawiając znoszoną marynarkę. Przybudówka domu wykonana z pustaków ma wstawione okna, ale podłogi jeszcze nie wylano. Na mokrej ziemi poukładał więc cegły, na nich położył deskę. Wlazł na to prowizoryczne rusztowanie i pracuje. Nie śpieszy się: nie chodzi przecież o pracę, ale o poczucie, że ktoś potrzebuje twoich umiejętności. Właściciel domu śledzi każdy jego ruch.

Murarz opowiada dalej: od sowieckiego ostrzału niebo zasnuło się dymem. Mieszkańcy uciekli do lasu, spędzili tam dwa tygodnie, jedząc chleb, słoninę i jagody. Spali w rozpadlinach, pod kołdrami zabranymi z domów. Sowietci co pewien czas wystrzelili racę świetlną. Jej jasne, zimne światło zastygało w ciemności i tak trwało. Raca była jak gwiazda na czarnym niebie.

Kiedy w przerwie w murowaniu je zupełną ziemniaczaną z kawałkami kiełbasy, przypomina sobie jeszcze jedno. Jego matka nie mogła wytrzymać w lesie, bardzo martwiła się o dom. Chodziła na skraj, tam gdzie zaczynała się łąka. Stamtąd widać było płonące zabudowania, ich dom jeszcze stał. Potwierdzali to ludzie, którzy wracali między drzewa. Postanowiła iść, wzięła ze sobą gromnicę i – jak mówi – chleb świętej Agaty, zwykły bochenek, nad którym się pomodlono. Nie było jej kilka dni. Kiedy ostrzał ustał, ludzie wrócili między domy. Z płaczem chodzili po swojej wsi, której nie mogli poznać. Żelastwo na drodze, cisza, dym, dopalające się zgliszcza. I ona. Nieprzytomna, z woskową cerą, poruszająca się z trudem, szepcząc modlitwy. Z chlebem i świecą chodziła wokół domu, błagając wszystkie moce świata, żeby ten kawałek rzeczywistości przetrwał, żeby miała gdzie wrócić z dziećmi.

I dom przetrwał. Tak mówi osiemdziesięcioletni starzec stojący w kącie remontowanego pokoju, na desce wspartej na trzech ceglach. Ludowy święty, żywa figurka umieszczona w pięknym kącie: narożniku, w którym zwykle wiesz się u prawosławnych ikony.

Bo przecież, jeśli się widzi cuda, człowiekiem już się nie jest.

## Pod ziemią

– Posłuchaj: to, co widzisz, to wjazd na autostradę prowadzącą do Mińska. Dojedziesz nią do naszej stolicy. To około pięćdziesięciu kilometrów. Ta droga połączyła wschodnią i zachodnią granicę. Droga to symbol tego, w jakim miejscu Europy leżymy. A teraz popatrz tutaj – mówi mężczyzna, pokazując dłonią polanę otoczoną białym murkiem. Polana znajduje się tuż przy zjeździe z autostrady. Metalowa infrastruktura barier, znaków, systemów kontroli ciężarówek. Huk samochodów dookoła. Na środku polany prosta konstrukcja, coś pomiędzy małą cerkwią a świątynią dumania wspartą na kolumnach. Biała, z krzyżem prawosławnym na szczycie. Z ziemi bije woda. Strużka płynie z kamiennej cembrowiny pokrytej mchem i wpada do betonowego zbiornika. Szmer wody miesza się z szumem przelatujących za zagajnikiem samochodów.

Kiedyś przychodzili tu ludzie. Szli do świętego miejsca, wieszali na drzewach wstążki, które stanowiły system kolorowych znaków. Pili wodę, a nawet zabierali ją w naczyniach do swoich domów. Miejsce było bardzo popularne. Przed wojną na polanę zjeżdżały tabory Cyganów, przyjeżdżali prawosławni, żydzi i katolicy. Wszyscy korzystali z siły, która nie ma imienia, ale daje zdrowie i pomyślność. Muzycy grali, chłopcy handlowali tym, co wydarli ziemi. I tak rok w rok. Ludzie mówią, że to był święty czas. Potem Cerkiew zadbała o źródło. Według innych: zawłaszczyła je. Otoczyła teren, postawiła kaplicę. Miejscowi chłopcy, najbardziej zżyci ze świętą wodą, opowiadają, że woda była tutaj, zanim na Białorusi pojawiły się kościoły. Teraz pusto przy źródle. Czasem na zjeździe pojawia się samochód. Wtoczy się leniwie na asfaltowy parking, ludzie wyjdą, zrobią zdjęcie, nabiorą wody dłonią i piją drobnymi łykami. Ale to nie to samo. Wtedy była wspólnota.

Obserwacja: na pytanie „kim jesteście” odpowiadają tak, jakby chcieli przejrzeć się w oczach innych. Odwołują się do mitów, legend i też już dawno obalonych przez historyków. Wszystko to mgliste i niejasne. Na

przykład mówią: odebrano nam nazwę. Jesteśmy Litwinami. To my nimi jesteśmy, a nie ci na północy, Żmudzini. W słowie „Białoruś” brakuje siły. Słowo „Białoruś” brzmi jak słabsza Ruś, a my przecież nie jesteśmy Rusinami. Wasz Mickiewicz mówił o sobie Litwin, a przecież statut Wielkiego Księstwa Litewskiego spisano po starobiałorusku, więc to my powinniśmy nosić to imię. Wszystko byłoby inaczej. Bo nasza Białoruś jest słaba, tak słaba, że pozwoliła nawet odebrać sobie imię.

Ale nadal potrafią się śmiać. Żartują ze swojej uległości. Najpopularniejszy dowcip to ten o krześle. Stoi krzesło z wystającym z siedziska gwoździem. Siada Polak: podskakuje od razu i próbuje zgąć gwóźdź. Udaje mu się. Siada wygodnie. Siada Rusek: podskakuje, bierze kamień i wali w gwóźdź. Siada wygodnie. Potem siada Białorusin. Siada i siedzi. Nic nie mówi.

„Nie boli?” – pytają go.

„Boli” – odpowiada.

„To dlaczego nic nie mówisz?”

„Myślałem, że tak trzeba”.

Opowiadają sobie ten żart i śmieją się, że taki celny.

Na zachodniej Białorusi ksiądz remontuje kościół. Wieś przypomina rozciągnięte miasteczko bez jasno wytyczonego centrum. Być może jego funkcję pełni dom kultury, pod którym w piątkowe wieczory przesiadują młodzi ludzie oświeceni neonem i z drinkami w ręce. Reszta wsi tonie w bezruchu. Rowerzysta wspina się pod górkę, stado kur pod murem otaczającym halę wygrzewa się w słońcu. Właściwie tylko wokół kościoła trwa ruch: kilku robotników w drelichach wali młotami; w nawie głównej ławki z porozkładanymi książeczkami do nabożeństwa pokrytymi pyłem. W bocznej nawie poustawiano jeden obok drugiego sztandary. Na jednym z obrazów Matka Boska ma twarz kobiet z malarstwa prerafaelitów. Przed kościołem, na betonowym cokole krzyża, leży ludzka czaszka i kilka piszczeli, które robotnicy wykopali w trakcie prac. Kościół się remontuje, katolicy przynoszą datki. Niewiele, ale można coś zrobić, więc ksiądz do pomocy sprowadził chłopaka. Wieczorem, po skończonej pracy chłopak

siada do stołu w domu księdza i zgarbiony je kawałki wędliny i zagryza chlebem. W kuchni pachnie gotowaniem, matka księdza owinięta w czernie drepcze pomiędzy szafkami a piecem. Chłopak nie chce pić wódki, nic nie mówi. Ale zapytany, skąd pochodzi, odpowiada mechanicznie. Recytuje administracyjną litanie, wskazując dokładnie obwód, rejon, miasto, ulicę i numer domu, imię ojca i co tam jeszcze potrzebne, żeby jakoś się samookreślić. Wszystko na jednym wydechu. Później okaże się, że chłopak odbywa wyrok w więzieniu i został wynajęty tylko na chwilę. To, co mówił i jak mówił, było wyuczonym na przesłuchaniach sposobem. Zawsze tak samo, bez namysłu, nawet jeśli obudzą go w środku nocy. Szczęściarz, który zdobył własną definicję.

Był człowiek, który tak bardzo chciał określić pochodzenie swoje i swojego narodu, że sięgając w przeszłość, dotarł do krainy bajek, w których chodziły po ziemi olbrzymki haury i ich mężczyźni staury, żywiący się ludzkim mięsem. Nazywał się Waclau Łastouski. Był poetą, przez kilka lat redagował pismo „Krywicz”. „Krywicz” w początku XX wieku na Białorusi był ewenementem. Publikowali w nim miejscowi intelektualiści, drukowano poezję. Łastouski w swoich tekstach drukowanych na łamach pisma dowodził, że Białorusini wywodzą się w prostej linii od Krywiczów, plemienia, które w VI wieku przywędrowało nad Niemen i Dźwinę i w rejonie Połocka założyło swoje osady. Drzewem genealogicznym własnej rodziny, umiejętnie łącząc fakty i domysły, sięgał nawet dalej – do czasów niemal mitologicznych. Uważał, że w jego żyłach płynie krew olbrzymów, choć jedynym dowodem ich istnienia, jak twierdził, są ich groby: podłużne kurhany w kształcie wzgórz, idealnie wpisujące się w krajobraz. W końcu zaangażował się w politykę. W latach 1919–1923 został emigracyjnym premierem Białoruskiej Republiki Ludowej. Był prześladowany przez Polaków i Rosjan.

Na czarno-białym zdjęciu uchwycono go w półmroku gabinetu. Za nim kilka książek, lampa. Ma coś specyficznego w twarzy. Łagodność spojrzenia kontrastuje z wysokim, mocnym czołem. Zamyślony i wrażliwy, ale pełen fantazji. Planował założyć katedrę parapsychologii na

uniwersytecie w Mińsku, wstąpił również do masonów. Przygnieciony traktatem ryskim, który podzielił Białoruś na część polską i sowiecką, napisał krótkie opowiadanie *Labirynty*. Jego bohater, miłośnik przeszłości, przyjeżdża do Połocka – miasta na północy Białorusi. Chce poczuć legendarną aurę tego miejsca. Dość szybko poznaje lokalne sławy: historyków i amatorów archeologii. Jeden z nich – dawny urzędnik – od czterdziestu lat dokumentuje przeszłość miasta. Drugi to kabalista i poszukiwacz wiedzy tajemnej. Na zapoznawczej kolacji pojawia się jeszcze cichy wąsaty starzec, posługujący się biegle białoruskim. Za każdym razem zagadnięty po rosyjsku wyraźnie daje do zrozumienia, że nie rozumie, co się do niego mówi. Mężczyźni popijają starą i zagryzają wędlinami. Diagnozy są proste: teraz to już nie ten Połock, kiedyś to było miasto. Główny bohater ożywia się, bo – jak się dowiaduje – pod Połockiem istnieje jeszcze jedno miasto. Miasto lochów i podziemnych przejść.

Po libacji zmęczony kładzie się spać. Śnią mu się korytarze i niekończące się tunele, kiedy budzi go stukanie do okna. Za szybą widzi starca, tego mówiącego po białorusku, z którym spotkał się na kolacji. Koniecznie chce mu coś pokazać. Wychodzą z domu i docierają do ruin dawnego klasztoru bazylianów. W ciemności trafiają na klapę w podłodze. Zanim jednak zejda, przewodnik oświadcza, że tylko on zna tajemnicę podziemi. „A teraz – mówi – ty masz ją przechować”.

Wędrując korytarzami, natykają się na groby, przy których wypowiadają tajemne zaklęcia. W jednej sali ukazują im się fresk przedstawiający zastępy duchów nieba i ziemi. W innej przewodnik opowiada o nitkach myśli babilońskiej i greckiej, które tutaj, w Połocku, zawiązały się, tworząc podwaliny kultury białoruskiej. W końcu po długiej wędrówce docierają do wypełnionej książkami komnaty o ścianach z soli. Ściany biją własnym, żywym światłem, w powietrzu nie czuć stęchlizny podziemi. Bohater znajduje woluminy, niektóre pisane na pergaminie, niektóre jeszcze starsze: pisane na brzoźowych deszczułkach. Wszystkie złożone pieczołowicie w kasetach wyłożonych skórą. Skupiony na przeglądaniu książek,

oszołomiony istnieniem równoległego świata, słyszy chóralny śpiew. „Co to? Kto to śpiewa?” – pyta.

Jego przewodnik dziwi się: „Nie wiesz? To nasi starcy śpiewają odwieczną białoruską pieśń. Żyją tu od wieków, nie słyszałeś o miastach i wsiach, które się zapadły pod ziemię?”.

Bohater budzi się we własnym łóżku; nie wie, czy nocna wędrówka wydarzyła się naprawdę. Czytelnicy znający działalność polityczną Łastouskiego byli zachwyceni. Metafora okazała się jednak śmiertelnie celna: w 1930 roku Łastouski został aresztowany przez Sowieców i wywieziony w głąb Rosji do więzienia w Saratowie. Zarzucono mu działalność kontrrewolucyjną. Wyszedł z niego, ale znów po niego wrócili. Skazany na śmierć, został rozstrzelany w 1938 roku. Wielki terror zbierał żniwo.

Śmierć człowieka, który pochodził od haurów, nie mogła być jednak zwykłą śmiercią. Zanim umarł, jego przyjaciele z bohemy artystycznej bawili się, publikując fikcyjne nekrologi przyjaciela. Niejaki Sołoduch napisał: „Kto wie, czy ta ofiarna śmierć Własta z ręki prześladowców nie jest dlań stokroć piękniejszym końcem życia ziemskiego niż powolne gnicie skazanego na chorobę człowieka. Boleść i smutek z powodu zgonu Wacława Łastouskiego powiększa ta jeszcze okoliczność, że bogate jego zbiory i całe archiwum najpewniej uległy rozproszeniu i zniszczeniu”.

W Połocku nic nie wskazuje na dawną świetność miasta. Zmarnowała je wojna i komunizm. Restaurowane budynki wyglądają jak cukierki w ceglanej polewie: zabrakło szacunku dla sztuki renowatorskiej. Obok Połocka powstał konglomerat fabryk i zakładów nazwany Nowopołockiem. Nowopołock na mapach rysuje się jako ważny ośrodek przemysłowy. Kominy dymią, z ropy wytwarzane są plastikowe przedmioty. Ludzie, którzy stamtąd wracają, są zmęczeni. Nowopołock nigdy nie śpi. Jarzy się z daleka niegasnącymi światłami. Ale Połock w ustach każdego historyka to oś starej Białorusi. Miejsce, które scala coś, co trudno scalić. Kiedyś takim miastem było Wilno. Serce starej Litwy. Główny ośrodek intelektualny,

który przytłaczał kupiecki Mińsk. Ale teraz, jakimś dziwnym trafem, miasto należy do Litwy. Nawet Wilno nam zabrano – mówią ludzie.

## Tego nie ma

W dzieciństwie stary Żyd chodził do synagogi, ale to było jeszcze na Ukrainie. Tamten czas skończył się wraz z wojną. Pozostały tylko wspomnienia o napuchniętych ciałach umierających z głodu dzieci. Potem znalazł się w Mińsku, w czterdziestym szóstym albo siódmym. Nie doświadczył mińskiego getta. Nie mówiło się o nim w domu. W mińskim getcie małe dzieci wrzucano żywcem do ziemi i zasypywano. Dzisiaj w miejscu masowych grobów stoi barak – pracownia historyczna będąca własnością Niemiec, finansowana przez miasto Düsseldorf. W czystej, galeryjnej niemal przestrzeni, na ścianach pomalowanych na białe wiszą czarno-białe zdjęcia.

W jednym z trzech pokoi mieszkania starego Żyda mieszka jego wnuczka Julia ze swoim chłopakiem. Są informatykami. Programują, palą haszysz i słuchają techno. Z ognikami w oczach Julia opowiada mi o marzeniach, które miała. Kiedyś zajmowała się sztuką wideo, wystawiała swoje prace w Europie Zachodniej. To wspomnienie to jasny punkt z przeszłości, do którego chętnie wraca. Z czasem jednak wyjazdy okazywały się coraz trudniejsze, wizy drożały, granicę uszczelniano. Wiara, że można żyć w Mińsku i jednocześnie być częścią zbiorowości europejskich artystów, umarła. Teraz programuje strony internetowe, zdobywa klientów, próbuje nawiązać kontakt z Zachodem w inny sposób – przez sieć.

Stary Żyd nawet nie próbuje zrozumieć zainteresowań wnuczki. Z wsadzoną pomiędzy firanki głową patrzy w kierunku lotniska Mińsk-1. Widać je z okna. Kawałek pasa startowego i jego odległy koniec, z którego podrywały się do lotu maszyny. Lotnisko najlepsze lata ma już za sobą. Teraz na płycie stoi jeden zabytkowy kukuruźnik, w terminalu pasażerskim dziś można robić genialne imprezy. Są kolorowe światła, maszyny do produkcji dymu i czerwone obrusy na stołach. Ale Mińsk-1 ma przed sobą

świetlaną przyszłość. Są plany zbudowania na jego terenie dzielnicy sklepów i biur. Na razie cisza. Ekonomia rządzi architekturą.

I ten stary, kiedy opowiadam mu o podróży po Białorusi, mówi: szukasz czegoś, czego już nie ma.

Każdego dnia uważnie czyta gazety. Robi to tylko po to, żeby utwierdzić się w przekonaniu, że świat to jakaś gra, do której nie ma instrukcji. Nie wie, o co w niej chodzi.

Julia to inny typ człowieka. Jej Mińsk to samodzielnie wymyślane i opracowane w głowie miasto, które pokazuje przyjaciom z zachodniej Europy. Żelaznym punktem wycieczki jest zawsze prospekt Niepodległości. Piętnaście kilometrów ulicy, która wybiega z centrum i kieruje się prosto na Moskwę. Prospekt ma bogatą historię: po wojnie nazywał się ulicą Stalina, potem Lenina, potem imieniem Skaryny: drukarza i filozofa z przełomu XV i XVI wieku, tłumacza Biblii na język starobiałoruski. To kanion monumentalnych gmachów, przez który suną trolejbusy, terenówki i tysiące małych zabiedzonych samochodów. W przyziemiu znajdują się sklepy topowych marek świata: Burberry, Nike i Adidas. Ich kolorowe witryny wklejone w ciężkie gmaszyska widać z daleka: są jak rodzyнки wciśnięte w ciasto. Kawiarnia Centralna, położona przy prospekcie Niepodległości, ma wysokie sufity, z których zwisają ogromne żyrandole. Na ścianach socrealistyczne malowidła. Młodzi Białorusini prowadzą tu swoich znajomych, żeby pokazać ten cyrk. Mówią: patrzcie, tak było za komuny. A kiedy to mówią, robi się całkiem lekko i świeżo, bo przecież dystans do samego siebie to wielka wartość. W kolejce do lady tłoczą się ludzie, napierają jeden na drugiego, za ladą stoją zmęczone sprzedawczynie. Trudno się dopchać, jeszcze trudniej wrócić do stolika. Muskularni traktorzyści i mocne kobiety z malowideł z politowaniem patrzą na tłum cisnący się przy barze.

Julia zna również inne atrakcje: bardziej alternatywne. Na przykład sklep z płytami winylowymi ulokowany w małej piwnicy, do której schodzi się stromymi schodkami. Pod sufitem biegnie rura ciepłownicza, winyli niewiele. Właściciel szepcze coś do klienta pochylonego nad ladą, Julia z zachwytem przegląda płyty. Im bardziej kuriozalna okładka, tym bardziej

Julia wydaje się szczęśliwa, tak jakby siermiężność komunistycznych grafików dowodziła, że złe czasy, przynajmniej w dizajnie, się skończyły. I ciągle, bezwiednie, tłumaczy się.

Kiedyś prowadziła działalność gospodarczą. Nosiła wtedy glany, kolorowe włosy, kolczyki i kurtkę ze skóry. Z jakichś powodów KGB wezwało ją na przesłuchanie. Kiedy przyszła, oficerowie nie mogli uwierzyć, że dziewczyna w glanach i czerwonych włosach prowadzi swój biznes. Byli przekonani, że do gmachu KGB weszła przez pomyłkę. Poszło szybko: ktoś posługiwał się jej numerem podatkowym. Byli uprzejmi, nawet sympatyczni, jeden z mundurowych odprowadził do drzwi i życzył miłego dnia.

Całkowicie odwróciła się od opozycji, kiedy usłyszała postulat wprowadzenia obowiązkowego języka białoruskiego dla wszystkich. Nawet dla Rosjan. A ona białoruskiego nie potrzebuje – oznajmia ponad płytami wąsatych czechosłowackich bardów. Życzy buntownikom i opozycji jak najlepiej, ale uczestniczyć w tym nie będzie. Mimo to bardzo zabolą ją brutalna pacyfikacja mińskiej demonstracji. Z pomocą przyszła matka. Radziła: dziecko drogie, co ty robisz, kochana, zaufaj mi i Łukaszence, tylko on nas może uratować, tylko on wie, jak rządzić tym krajem. Przy płycie *Magnetic Fields* Jeana-Michela Jarre’a, za którą sprzedawca rozwalony na ladzie chce pięćdziesiąt dolarów, Julia zamyśla się na chwilę, tak jakby astralne klimaty Francuza popchnęły ją do głębszego zastanowienia, i mówi nagle:

– Ale nie żyję w strachu. Życie w strachu jest katorgą.

Późnym wieczorem siedzimy w restauracji, obserwując małą salę taneczną zalaną czerwonymi światłami. Obsługa knajpy dochodzi do siebie po wczorajszej balandze. Kelnerki z koronkowymi żabotami popijają kawę, kilku łysych w garniturach przy barze przegląda książki rachunkowe. Bar jest ciężki, w stylu angielskich pubów, ale wykonano go z płyty pilśniowej lakierowanej na bordowo. Ścianę zasłaniają szeregi podświetlonych butelek alkoholu, w lodówce stoją ciasta. Na ścianie wielki telewizor prezentuje relację z podwodnej krainy: ryby pływające wśród raf koralowych. Bezgłośnie, piękne ciała sunące powoli po swoim świecie.

Żeby pokazać, że istnieje wolność artystycznej wypowiedzi, Julia pokazuje mi na smartfonie teledysk mińskiego zespołu Rockerjoker. Pomysł na wideo artyści mieli bardzo prosty, ale efektowny: mężczyzna siada przed kamerą i zaczyna się charakteryzacja na Myszkę Miki. Zabawa zamienia się w torturę. Rejestrowane są kolejne etapy: golenie głowy, duszenie, wpychanie Big Maca w usta, kneblowanie. Utwór zatytułowany *America* nie pozostawia wątpliwości, że działanie, które widać na klipie, to bolesna, wykonana na siłę zmiana tożsamości. Uchodzący w Mińsku za awangardę i nonkonformistów artyści w opisie na YouTube proszą jednak o niezadawanie zbędnych pytań, ponieważ – według nich – w utworze nie ma ukrytych motywów ani politycznych, ani społecznych, a jedynie sprzeciw wobec wartości, które są, jak piszą, iluzją.

Potem ruszamy na miasto powłóczyć się między tymi monumentalnymi gmachami śródmieścia oświetlonymi mocnym, jaskrawym światłem. Julia prowadzi mnie na dach jednego z budynków. Ze szczytu rozciąga się panorama Mińska.

– Patrz – zaczyna, pokazując palcem – to gmach więzienia, w którym wykonują wyroki śmierci.

W tym, co mówi, tli się dziecięca radość z oswojenia nieoswajalnego.

– A najciekawsze, że z tego więzienia uciekła tylko jedna osoba. Tylko Dzierżyńskiemu się udało.

Duch Dzierżyńskiego wciąż żyje, może to za sprawą pomnika, który stoi przy prospekcie Niepodległości. Popiersie patrzy na drzwi prowadzące do siedziby białoruskiego KGB, bo gmach znajduje się po drugiej stronie ulicy. Ludzie w jakiś dziwny sposób go lubią, jakby nie wiedzieli o jego krwawej przeszłości. Pomnik jednak wiele nie widzi: przez potężne drzwi nikt nie wchodzi ani tym bardziej nie opuszcza budynku. Z boku monumentalnego kłoca są kolejne drzwi: mniejsze, to nimi odbywa się cały ruch.

Uwierzyłem jej i patrzyłem zachwycony na budynek, mówiąc sobie, że tak właśnie przeszłość styka się z historią. Dopiero potem sprawdziłem ten fakt. Wszystko, co opowiadała, było prawdą. Z jednym wyjątkiem. W tym więzieniu, koło którego byliśmy, Dzierżyński nigdy nie odsiadywał

wyroku. Przetrzymywano go krótko w Mińsku, w więzieniu etapowym, w drodze na Syberię. Faktycznie uciekł z więzienia, ale było to w Wiercholeńsku, czyli w zupełnie innym świecie.

## Wróciłeś

Pewna staruszka z Nowogródka, wyglądająca jak duch z amerykańskich horrorów o nawiedzonych domach, ma zaawansowanego alzheimera. Na drzwiach wejściowych do jej mieszkania napisane jest markerem na kartce, żeby nie dzwonić, bo żyje tu chory człowiek. Kobieta całymi dniami błąka się w białej koszuli nocnej między małą kuchnią a swoim pokojem. Zatrzymuję się w tym mieszkaniu na tydzień. Jej rodzina dała mi gościnę. Każdego wieczoru, kiedy jem kolację, staruszka siada naprzeciw mnie i z miłością w oczach mówi:

– Wróciłeś, wróciłeś, tyle lat cię nie było.

Patrzy przy tym na mnie tak, jakby patrzyła na swojego męża z młodości. Choroba jest zaawansowana: kiedy staruszka je kolację, po odstawieniu talerza przypomina sobie, że nie jadła jeszcze kolacji. Pamięć jakimś przerażającym sposobem odcina ją od każdego wspomnienia. Nie ma żadnych szans na sprowadzenie jej na ziemię.

Gdyby pojawił się jakiś błysk, olśniewający błysk, który w jednej chwili przywróciłby jej świadomość, stałaby się z powrotem panią swojego losu. Uwolniona z matni i niewiedzy powiedziałaaby sama do siebie: o, zobacz, to twój pokój. Twój blok stoi na zboczu wzgórza, na jego szczycie straszy pozostałość po zamku z nieudolnie odrestaurowaną wieżą. W dole widać cerkiew, jeszcze dalej cmentarz, którego groby patrzą na ścianę przemysłowego budynku. Jeszcze niżej, tam gdzie zaczynają się przedmieścia, na targ zjeżdżają sprzedawcy chińskiego szmelcu i miejscowych owoców, dalej już można spotkać tylko dzielnicę hangarów z popękkanymi drogami lanymi z betonu. Wokół miasta rozciągają się lasy, a dalej, za lasami, znów są wsie, a jeszcze dalej pewnie kolejne miasto. Twoje córki dawno cię nie widziały, obie mieszkają za granicą, spotykają się w twoim mieszkaniu raz na rok albo na pół roku i życzliwie się z ciebie śmieją. A ty, patrząc na nie, głupia, płaczesz ze szczęścia, żeby po chwili znów zapytać, kim one są.

Ale taki błysk oczywiście nie przyjdzie. A najgorsze jest nie to, że kobieta cierpi na zanik pamięci, ale to, że nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo jest chora.

## Dom bez okien

Zmierzch wszystko wygładza. Noc zbliża się powoli, pola toną w czerwieni zachodzącego słońca. W oddali, w zachodzącym słońcu, wybarwione na czerwono betonowe konstrukcje kołchozu. Wzdłuż drogi idzie pijany mężczyzna. Tacy faceci są wszędzie. Zawsze wypici, zawsze śmierdzący od potu, w tych ciężkich uniformach rolniczych, które przypominają mundury polowe. Pojawiają się nagle gdzieś na pustkowiu, między polami, zawsze w miejscu, w którym nic nie ma. Wsiadając do mojego samochodu, mężczyzna odpowiada krótko, że wraca z pracy, a kiedy to mówi, ręką wskazuje gdzieś na horyzont. Zaraz potem zapada się w fotel pasażera, torbę foliową kładzie między nogami. Proponuje mi nocleg.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, prowadzi mnie przez błotniste podwórko, otwiera drzwi i odsłania zasłonę z koca. Z początku widać tylko kable biegnące po ścianie, z mroku wyłania się meblościanka z leżącą na półce siekierą i rzędami pustych słoików. W pokoju to samo: surowe wnętrze wypełnione kilkoma meblami, krzywo postawiona szafka pociągnięta farbą olejną, kwiat w donicy, makata na ścianie. To nie dom, tu się przychodzi spać, w tym miejscu się wstaje, potem trzeba wyjść do pracy. Tak to wygląda. Stary wilczur z trudem podrywa się z ziemi i się łąsi. Mężczyzna każe mi się rozgościć, potem opada z sił i szuka papierosa. Coś do siebie mruczy, zwiesza głowę. Zapada cisza. Wydaje się, że wraz z zachodem słońca cały świat zamarł, a on tak będzie stał, aż z domu wygna go świt. Potem pojawia się kobieta. Widzę ją zbyt późno, żeby cokolwiek zrobić. Wyłania się zza drzwi i z założonymi rękami patrzy na męża. Facet podnosi głowę i mruży oczy. Trwają tak przez chwilę, wydaje się, że wszystko będzie dobrze. Oto po całym dniu pracy spotykają się w milczącym porozumieniu. Ale nagle jakiś niewidzialny sufler ukryty w półmroku daje sygnał do działania. Kobieta szybkim krokiem podchodzi i z otwartej ręki daje mu w mordę. Rozlega się głośny plask, po którym mężczyzna leci na krzywą szafkę, a potem osuwa się na ziemię i nieruchomieje. Wilczur wchodzi

pod stół. Świadomość wraca, facet wstaje powoli i łapiąc się na oślep za meble, bełkocze.

Musiała widzieć go w takim stanie wiele razy, bo nawet nie słucha. Mówi, a jej mowa to karabin: krótkie i mocne zdania padają jedno po drugim. Chcę się odezwać, ale ona bez odwracania głowy wskazuje mi palcem na drzwi.

„Osią, wokół której tworzy się światopogląd człowieka związanego z ziemią, jest kult ziemi i kult jej owoców” – pisała Cezaria Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz Jędrzejewiczowa, podsumowując swoje badania terenowe prowadzone na białoruskiej wsi w początku XX wieku. – „Praca jej mieszkańców to wieczna walka z siłami pulsującymi w ziemi i próba zrozumienia jej tajemnic”.

Baudouin – badaczka, która zboczyła z korytarzy uniwersyteckich do wsi, zachwycała się odmiennością białoruskiego chłopca. Twierdziła, że jego działanie sprowadzić można do cudownego przeistoczenia pracy w plony. Fascynował ją kult przemian, wokół którego chłopci organizują swoje istnienie. Według niej w pracę włączają oni pamięć o zmarłych – chłop patrzący na swoją zagrodę i ziemię widzi odbicie swojego ojca. To jego dłonie formowały ten kawałek świata. Świat widzialny należy do zmarłych. Drzemie w nim duch ojca, a także tych, którzy byli przed nim. Obszerny artykuł Baudouin uzupełniony jest materiałem fotograficznym. Zestawiono wzór tkaniny ze Skandynawii z wzorem tkanym w białoruskich wsiach. Wzory są niemal identyczne: proste geometryczne kształty, tkane przez ludzi, którzy z geometrycznymi kształtami nie mieli nic wspólnego. Na innym zdjęciu widać drewniane domy ze słomianymi czapami dachów. Na kolejnym mężczyzna w odświętnej koszuli prezentuje sochę, za nim kilkuletni chłopiec patrzy zahipnotyzowany w obiektyw. Dalej – dwie kobiety uchwycone przy pracy w polu, w sztucznym geście wyciągają przed sobą sierpy. Oto trwa praca, kiedy nagle pojawia się badacz: człowiek ze szkieletem i okiem, piórem i notatnikiem, całym tym bajzłem służącym rejestracji, i każe prezentować siebie. Cały artykuł to raport z postawy badacza i chłopca. Jego wydźwięk pokrywa się z finalną refleksją autorki.

W ostatnich akapitach dochodzi do głosu jej ludzkie odczucie: Baudouin stwierdza, że między wsią a miastem jest przepaść. Chłop wciąż idzie swoją własną, archaiczną drogą, będącą spadkiem po bardzo odległych epokach. Miasto dla samowystarczalnego chłopca nie oznacza tętniącego życiem ośrodka, ale jedynie miejsce, w którym sprzedaje swoje produkty rolne. Tak naprawdę stanowi synonim targowiska. Samo miasto zresztą zachowuje się w podobny, pragmatyczny sposób – podtrzymuje ze wsią kontakt, który sprowadza się jedynie do wymiany handlowej: kupuje towary, nie dając w zamian nic innego jak tylko pieniądze. To, co najcenniejsze: myśl, która rodzi się na uniwersytecie i w domach inteligencji, nie przedostaje się do umysłu chłopca. Jak zauważa Baudouin, chłopci nie posiadają żadnej świadomości narodowej.

Po II wojnie światowej prywatne gospodarstwa likwidowano. Gospodarstwom państwowym wyznaczano normy opracowywane w Moskwie. Za pomocą cyfr ustawianych w słupkach planowano wydajność. Wyniki były wysyłane w formie dyrektyw do podległych republik. Ale cyfry i normy, które z nich wynikały, nijak się miały do zasad rolnictwa. Z trudem dawało się je spełniać. Trzy czwarte mieszkańców wsi stanowiły kobiety i dzieci. Mężczyźni zginęli na wojnie. W większości kółchozów ludzie zmuszeni byli sami ciągnąć pługi. Rozgoryczeni i pozbawieni nadziei próbowali samodzielnie, poza strukturami kółchozu, stworzyć własne normy, bliższe życia. Zamiast gonić coraz bardziej wyśrubowane normy, kradli. To było o wiele łatwiejsze. Po co wkładać własną siłę w działanie, którego efekt – wagon zboża – idzie gdzieś na wschód, a wraca jedynie plik rubli wypłacanych w okienku kółchozowej kasy?

Tym, którzy nie chcieli pracować w kółchozie, zrywano dachy z domów. Za Breżniewa, wraz z rozwojem kółchozów, zaczęto stawiać kilkupiętrowe bloki w szczerym polu. Beznamiętne zarządzanie wpisało się w krajobraz. Na pustkowiu zawsze pojawia się droga, a zaraz za nią martwe blokowisko pośród pól. Te skupiska domów nigdy nie zostaną nazwane wsią, tak samo jak nigdy nie doczekają się określenia „miasto”.

Raz zostawiłem samochód na rozstaju dróg, tam gdzie stał krzyż obłożony kwiatami. Droga biegła łukiem na Bobrujsk. Jej wąska, popękana odnoga leciała prosto pomiędzy bloki, tonąc w cieniu wielkich lip stojących po obu stronach. Budynki były martwe, ulice puste. Spłowiałe zasłony okienne w różnych kolorach wydawały się jedynym żywym elementem. Może jeszcze zaparkowane samochody świadczyły o żyjących tu ludziach. I tylko jedna kobieta na drodze: młoda, z wózkiem. Spacerowała chodnikiem, poprawiając co pewien czas dziecku kołderkę, śpiewała cicho i uśmiechała się do niego z miłością. Oprócz niej nikogo. W klatkach schodowych cisza, na działkowych ogródkach cisza, gdzieś grało radio. Wróciłem do samochodu. Wstążki na krzyżu powiewały, plastikowe kwiaty poszarzałe od deszczu i wiatru wciśnięte były w słoiki. Jeden z etnografów powiedział mi – było to w zupełnie innym miejscu – że kiedyś we wsi zawsze były trzy krzyże: dwa na skraju, tak gdzie kończyły się domy, jeden na środku. Krzyże stawiało się nocą: przygotowane belki po zmierzchu zbijało się i wstawiało w wykopaną dziurę. Pop świecił je, zanim przyszedł brzask. Tutaj wieś nie miała środka. Ale czy to była wieś? Bardziej prosta linia domów na drodze prowadzącej do zardzewiałych hangarów ze skośnymi dachami i czymś na kształt wielkiego białego wieloryba, którego wysuszyło słońce, odsłaniając żebra – resztki konstrukcji nośnej stodoły.

W latach siedemdziesiątych wystawiono naprzeciw siły natury siłę tysięcy maszyn. Rozpoczęło się osuszanie bagien. Geodeci i inżynierowie pochyleni nad mapami kierowali operacją, koparki kawałek po kawałku rozbierały każde wzniesienie, zastępując je płaskim obszarem. Równa ziemia, potem zboże. Pole za polem, miedza wytyczona od słupków. Koniec z odnajdywaniem oblicza ojca w krajobrazie. Koniec z wiarą w świętość ziemi. To, co zebrano ze wzgórz, wywożono na mokradła. Na nowo powstałych równinach pojawiły się biegnące kilometrami rowy melioracyjne o prostych brzegach. Co pewien czas ich bieg przecina zaporą: betonowe kłocze z metalowymi elementami, którymi da się regulować poziom lustra. Prosto, sprawnie, dokładnie.

„Aby przekształcić żywą ziemię w mapę topograficzną – pisze Walancin Akudowicz – jedynie w roku 1976 w naszej ojczyźnie codziennie ruszało

do pracy jedenaście tysięcy traktorów, ponad trzy tysiące koparek, niemal trzy tysiące spychaczy i mnóstwo innego sprzętu. Żadne trzęsienie ziemi nie zdołałoby w takim stopniu zmienić krajobrazu Białorusi, w jakim zmieniła go melioracja. Wcześniej wstydliwie schowany pod chaszciami, mokradłami i kępami drzew kraj obnażył się aż po widnokrąg, stał się otwarty i płaski niczym plansza geodezyjna, na której przy pomocy kątownicy nakreślono linie rowów melioracyjnych. Ale czy zmieniła się jedynie rzeźba terenu? Nie! Melioracja nie była jedynie maseczką kosmetyczną, to była operacja zmiany płci, jeśli można tak powiedzieć. Po jej zakończeniu Białoruś pożegnała się ze swoją kobiecością”.

Ale nie wszystko da się zniszczyć przesiedleniami. Widok z okna, nawet z okna bloku, wciąż coś przypomina. Lasy i torfowiska wyglądają przecież tak jak przed kolektywizacją: patrząc na nie, można wracać do czasów, w których wsie, chutory, pojedyncze domy zatopione w zieleni dla mieszkających tam ludzi były małymi centrami całego wielkiego świata.

Wśród zdjęć ilustrujących tekst Baudouin szczególną uwagę zwraca jedno. Właściwie nie wiadomo, dlaczego znalazło się w jej etnograficznym artykule. Widać na nim drewnianą ścianę domu z bali, ścianę bez drzwi i okien. Na ławce siedzi dwoje ludzi: kobieta i mężczyzna. Zdjęcie w zasadzie o niczym nie mówi, ot – artystyczny portret pary siedzącej na ławce. Emanuje jednak niepokojem. Dlaczego Baudouin wybrała je jako ilustrację? Wydaje się, że mówi ono więcej niż cały etnologiczny wywód badaczki, która próbuje opisać istotę Białorusina. Z początku nie wiadomo, gdzie ogniskuje się ta dziwność, ale z czasem, kiedy uda się uchwycić ten brakujący detal, zdjęcie wydaje się genialne: do domu tych dwojga po prostu wejść już się nie da.

## Bagno wciąga

Walancin Akudowicz przypomina żywego świętego. Słuchają go, czytają jego teksty. Kto się z nim spotkał, mówi o nim z bezgranicznym szacunkiem. Może to przez fajkę. Kiedy pali, wokół jego głowy unosi się mnóstwo siwego dymu. W Mińsku nazywają go „pierwszym białoruskim postmodernistą”. W latach dziewięćdziesiątych opublikował wiersz w zupełnie nowym stylu: tak wcześniej nikt tu nie pisał i ten przydomek, w sumie ironiczny, pozostał. Może ironia była jedynym sposobem na to, by obłąskawić jego rozległą wiedzę.

W młodości był wybitnym sportowcem. Jeździł na nartach, zdobywał szczyty. Otrzymał nawet tytuł mistrza sportu ZSRR. Niski, brodaty, mocno zbudowany, przypomina trochę drwala. Życzliwy, ale jednocześnie surowy w obejściu.

Wychował się w Świsłoczy. W Świsłoczy ludzie posługiwali się trasianką. Trudno powiedzieć o niej, że należy do grupy pełnoprawnych, samodzielnych języków, bo wykorzystuje jedynie składowe białoruskiego i rosyjskiego. To tak, jakby mówić po białorusku, ale jednocześnie po rosyjsku. To trochę tak, jakby porzucić język białoruski, ale w rzeczywistości go nie porzucić. Trasianka lokuje się pomiędzy językami: w niej odbija się istota położenia geopolitycznego Białorusinów. Co więcej: jako żywa forma, dostosowująca się do okoliczności, wplata w mieszankę słów rosyjskich i składni białoruskiej słowa z jidysz. Do tego dochodzą słowa polskie i niemieckie. Odbija się w niej cała skomplikowana historia regionu. Jakby tego było mało, w każdym regionie Białorusi trasianka brzmi inaczej. Akudowicz w niej wyrósł, a kiedy wyjechał do Moskwy na studia, zaczął posługiwać się rosyjskim. Czasem tylko, pijąc wódkę z kolegami ze studiów, zdarzało mu się wtrącić coś po białorusku. Po studiach, już uformowany intelektualnie, wrócił na Białoruś z postanowieniem, że zostanie pisarzem. Znał literaturę rosyjską i fundamenty literatury europejskiej. Po powrocie jednak postanowił, że aby

być białoruskim pisarzem, przeczyta całą literaturę swojego kraju. Brzmi śmiesznie: przeczytać całą literaturę w swoim języku – tym prawdziwym, białoruskim. Ale jak się okazuje, to możliwe. Zrobił to i język białoruski w jakiś dziwny sposób się w nim obudził. Dość szybko zaczął mówić, trochę dłużej trwało nauczenie się myślenia po białorusku. Pisał: „już dawno zapomniałem o języku jako o własnym problemie. Ale pewnego razu ocknąłem się jeszcze przed świtem i nie mogłem zasnąć. Zaniepokoił mnie mój sen. Właściwie niczym szczególnym się nie wyróżniał. Ale nie dawał ponownie zasnąć. Długo przewracałem się z boku na bok, próbując zrozumieć przyczynę. W końcu przypomniałem sobie, że w tym śnie i ja, i moi kompani rozmawialiśmy po białorusku. Uśmiechnąłem się w ciemności. Oto skończyła się moja droga. Bo kiedy przemówiła w tym języku moja podświadomość, to znaczy, że droga dobiegła kresu”.

Na spotkanie ze mną Akudowicz przychodzi, informując, że ma godzinę. A ja źle zaczynam. Zapytany o bieżącą politykę, Akudowicz zapada się w siebie, jakby krótkowzroczność perspektywy osłabiła go. Milcząc, nabija fajkę, bucha kłębem dymu. Potem wstaje i chodzi po pokoju, mówiąc bardziej nawet do siebie niż do mnie to, co musiał mówić już setki razy wszystkim ludziom, którzy przyjeżdżają z Zachodu i pytają go o Białoruś. Białorusi nie można definiować w taki prosty sposób. Białoruś to nie kwestia kraju położonego między Rosją a Europą, którym rządzi zły lub dobry prezydent. To o wiele szersza perspektywa, która – wydaje się – nikogo poza niewielką grupą Białorusinów nie interesuje. Rozmawiamy chwilę, on wciąż chodzi po pokoju, ogląda prawosławne ikony ustawione za szybą meblościanki.

– Przede wszystkim rozmawiamy o edukacji – mówi Akudowicz. – O długotrwałej edukacji. O ciągłości przekazywania wiedzy zaplanowanej na pokolenia. Mówmy o procesie, który trwa dziesięciolecia, a nie jedynie krótkie, policzalne miesiące.

Potem przytacza legendę o kamieniu.

– Kiedy nie było jeszcze świata takiego, jaki znamy, wszędzie była tylko czarna woda, stojąca martwa woda, i w tej wodzie tkwił kamień. Pewnego

razu uderzył w niego piorun. Tak zaczął się świat.

Ta opowieść to dla niego kosmiczny mit założycielski Białorusi.

Potem znajduję w jego książce *Dialogi z Bogiem* fragment: „Pisanie o języku białoruskim to jak spacerowanie po cmentarzu. Gdziekolwiek się człowiek nie zatrzyma – wszędzie smutek. Ale narzekać i skarżyć się na to, że Białorusini wyrzekają się języka ojczystego, nie ma żadnego sensu, bo ile można... Białorusini uciekają na złamanie karku nie od języka, ale od losu przeznaczonego im przez język ojczysty... [...] Mówiąc między nami, dolę wybieramy sobie sami, ale nasze przeznaczenie jest zdeterminowane przez język. Jaki język, taki los. W odróżnieniu od starobiałoruskiego – języka książęcych kancelarii – tutejsza mowa białoruska przez długi czas była językiem tych, którzy żyli z pracy własnych rąk. Nie posługiwali się nim ani księża, ani handlarze, ani nauczyciele, ani arystokraci, nawet szaraczkowa szlachta tak nie mówiła...

Tutejsza mowa była piętnem, które wyznaczało człowiekowi miejsce obok bydła. Żeby trafić do świata ludzi, trzeba było przede wszystkim się tego piętna pozbyć”.

Pewna kobieta opowiadała mi historię o dwóch braciach, którzy uciekali przez las, ścigani przez żołnierzy. Nawet nie pamiętam, którzy to byli żołnierze, bo było ich tu pełno: może ci od Piłsudskiego, może Niemcy od Kubego, może Armia Czerwona albo nigdy nieśpiący stalinowscy enkawudziści. Przychodzili i odchodzili, a ich miejsce zajmowali następni. Tych dwóch braci ukryło się na bagnach, słyszeli jednak psy i nawoływania żołnierzy. Nie wiedzieli, gdzie się schować, więc zanurzyli się w grzęzawisku, trzymając w ustach słomki, za pomocą których oddychali. Tak tkwili czekając, aż przejdzie pościg. Bagno jednak zupełnie niezauważalnie zaczęło ich wciągać. Podobnie ma się sprawa z językiem. Ci, którzy pozostali przy języku białoruskim, języku rodziców, dziadów, chutoru rzuconego w pustkę równiny, pewnego dnia wyszli z domu i zobaczyli, że rosyjski zawładnął mediami i życiem codziennym. Stał się tym, czym kiedyś był język polski: językiem lepszych, wykształconych, paszportem do nowego świata pełnego możliwości. Białoruski, pozornie

bezpieczny, stał się więzieniem. Powodem do drwiny, etykietą definiującą prostego człowieka.

Ale przecież tak było zawsze. Przez stulecia białoruski był uważany za prymitywny sposób komunikacji nizin społecznych; lokalny dialekt, którego ludzie z miast nie rozumieli. Potem wszystko się zmieniło. W XIX wieku młodzi inteligenci ze szlacheckich dworów, zdziwieni narzeczem, jakim mówią chłopci, z zaciekawieniem pochylali się nad miejscową składnią. Zachodzili w głowę, jak to możliwe, żeby ten relikw przetrwał, docierało do nich, że w tym, jak mówią ludzie, kryje się tajemnica miejsca. Z tych namysłów i romantycznych dążeń, według niektórych, wyrosła dzisiejsza Białoruś. Przechowana w języku chłopów.

W latach sześćdziesiątych, kiedy kolchozy zabiły tradycyjną ludowość, z audycji radiowych zniknął białoruski. Pojawiło się Radio Moskwa. Przez lata podtrzymywana starannie formuła: trochę po rosyjsku, trochę po białorusku, nagle się skończyła. Stary, wypróbowany numer zadziałał: jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobili w Rosji bolszewicy po rewolucji, było uruchomienie radia, które dotarło do tysięcy wsi. Wraz z radiem język białoruski zniknął z księżek i czasopism; w kioskach, w których jeszcze kilka dni temu można było kupić gazety po białorusku, nagle pojawiły się tylko rosyjskojęzyczne wydania.

Miejscowy język zawsze jednak był wykorzystywany jako narzędzie propagandy. III Rzesza wspierała białoruski, chcąc dać odpór Rosjanom i Polakom. Kiedy na stanowisko generalnego komisarza Białorusi powołano Wilhelma Kubego, nawet otoczenie Hitlera zdziwione było jego nominacją. Kube słynął z porywczego charakteru, był impulsywny, obawiano się, że obejmując stanowisko, tylko rozpali i tak trudne do opanowania miejscowe konflikty. Był jednak dobrym strategiem, w przeciwieństwie do komisarzy działających na terenie Ukrainy, którzy rozwiązywali problemy siłowo. Od razu w pierwszych dniach rządzenia postawił na kulturę. I zrobił coś, czego żadna siła przed nim, siła przychodząca spoza Białorusi, nie zrobiła. W pierwszym wydanym przez niego akcie prawnym znalazł się zapis, że Okręg Generalny „Białoruś” jest przestrzenią życiową narodu białoruskiego, a zadaniem szkół będzie

„pielegnacja białoruskiej kultury, wychowania i oświaty”. Szkoły według niego miały być przyczółkiem budowania hitlerowskiej wizji nowego porządku z poszanowaniem białoruskiej tożsamości. Ci, którzy pragnęli zachować tożsamość białorską, widzieli w decyzji Kubego szansę. Dokument pociągnął za sobą jednak długofalową, tragiczną w skutkach konsekwencję. Od 1941 roku bowiem, od chwili, w której Kube objął rządy, ci, którzy będą się odwoływać do białoruskiej tożsamości, staną w obliczu zarzutu o szerzenie nacjonalizmu, i to w faszystowskim wydaniu.

Wojna języków nie ustała. Wisi w powietrzu, trwa w słowach. Rozgrywa się w pierwszym zdaniu przypadkowego dialogu dwojga nieznanych sobie ludzi: jeden zagaja po rosyjsku, drugi uparcie po białorusku, i już wszystko wiadomo. Ulice, banki, szkoły, przestrzenie domów: wojna trwa wszędzie.

Piatro Wasiuczenka walczy o język, ale jego walka przypomina pracę w dobrze zorganizowanym biurze. Wasiuczenka wykłada na Mińskim Państwowym Uniwersytecie Lingwistycznym, w katedrze literatury i języka białoruskiego. Jego bezwzględność na egzaminach jest legendarna, studenci boją się spotkania i męczącego wypytywania o rzeczy, które nikomu nie są potrzebne. Egzamin u Wasiuczenki należy do tych egzaminów, które należy po prostu zdać, a potem o wszystkim zapomnieć.

Na korytarzu uniwersytetu panuje ścisk. Wasiuczenka egzaminuje. Studenci wpatrują się w wymiętolone kartki z zestawami pytań. Dziewczyny w granatowych spódniczkach i zgrzani chłopcy w marynarkach. Wasiuczenka w swoim gabinecie wymalowanym na biało, w okularach o grubych szklach sympatycznie zniekształcających twarz sprawia wrażenie nieporadnego więźnia. Mówi mało i cicho, ręce trzyma pod stołem i lekko się garbi. Na ścianie wisi makatka w drewnianej ramce. Przedstawia jakiś połocki zabytek: gmach lewituje w powietrzu, rysownik odpuścił sobie okoliczne siermiężne zabudowania z epoki komunizmu. W gabinecie panuje cisza, zza ściany słyszeć gwar studentów, którzy czekają na egzamin. Wszędzie trasianka.

Zanim znalazł się na mińskim uniwersytecie, mieszkał w Połocku. Pamięta dobrze legendę o połockich podziemiach. Straszono nią dzieci.

Mówiło się: kiedyś lochy się zawała i pogrzebią. Wasiuczenka znał miejsca, gdzie można było wchodzić pod ziemię.

– Lochy istniały – mówi. – Jeśli nie podziemia, to przynajmniej korytarze, którymi można było wędrować.

W jego opowieści z dzieciństwa pojawiają się słowa: „cegły”, „zagłębienia w ziemi”, „fragment piwnicy”. Słowa przenoszą go w przeszłość. Uśmiecha się: kiedyś doszli bardzo daleko. Tak daleko, że w końcu pokazało się światło. Po wyjściu okazało się, że stoją na zboczu wzgórza nad zbiegiem Dźwiny i Pałaty.

– Przeszliśmy pod całym wzgórzem – kontynuuje, a kiedy opowiada, jego oczy otoczone ciężkimi ramkami okularów uśmiechają się. Patrzy przez swoje grube szkła jak przez lufcik do nieistniejącego świata. Widzi obrazy, których już nie ma. Połockie lochy to dobre skojarzenia.

Za plecami Wasiuczenki w kącie sali trwa egzamin ustny. Młoda dziewczyna duka nieskładnie, egzaminator dopytuje, próbuje podpowiadać, żeby wyciągnąć z opresji, ale wszystko na nic. Błędy i braki. Wasiuczenka mówi o połockich podziemiach, ale jednym uchem słucha szmeru przeglądanych papierów i złych odpowiedzi. Dziewczyna ma problem, prosi o zmianę pytania. Nie chce odpowiadać z białoruskiego pisarza Janki Maura. Wydawało jej się, tak przynajmniej twierdzi, że będzie pytana z białoruskiego pisarza Janki Kupały.

– Zbieżność imion – tłumaczy studentka. – Z tego pierwszego się nie przygotowałam.

Wasiuczenka milczy. Potem wraca do Połocka i tego, co kryją podziemia.

– Ta opowieść ma uniwersalne znaczenie – mówi. – Lochy symbolizują tajemnicę i wiedzę ukrytą przed człowiekiem. Śmiałek, który schodzi pod ziemię, tak naprawdę rusza po prawdę. To motyw bardzo popularny w ludowych legendach. Tak jak w baśni o kwiecie paproci: trzeba przełamać strach, wejść w ciemność lasu i szukać kwiatu. Ale przecież nie o kwiat chodzi. W ciemności, w miejscu, do którego trzeba odważyć się wejść, kryje się wiedza.

Legenda o połockich podziemiach, która zainspirowała Łastouskiego do napisania *Labiryntów*, to pochodna mitu o kwiecie paproci. Pewnej nocy do stróża pilnującego ruin dawnego kolegium jezuickiego (w innej wersji był to klasztor bazylianów – oba znajdowały się nieopodal siebie) przyszło dwóch zakapturzonych mężczyzn. Stróż wyszedł z kanciapy z lampą. Mężczyźni poprosili, żeby ich wpuścił na teren ruin, a w nagrodę zabiorą go ze sobą do podziemi. Zaoferowali mu skarby, które jak mówili, znajdują się na dole. Stróż bał się złamać regulamin, ale bardzo chciał być bogaty. Zgodził się. Zawiazali mu oczy, prowadzili przez korytarze budynku. Znali drogę. Mężczyźni domyślił się, że byli to jezuici. Kiedy zdjęli mu opaskę, ujrzał sale pełne skarbów. Wziął, ile mógł unieść, a kiedy już wyszli na powierzchnię, z dumą pokazywał im złoto. Uśmiechali się z politowaniem. Jeden z nich wyjął książkę. „Ta mała książeczka ma większą wartość niż całe złoto, które wzięłeś” – powiedział. Potem zniknęli w ciemności. Kilka dni później zniknął również stróż. Nie wiadomo, co się z nim stało, nie ma to znaczenia, być może uciekł do Ameryki i zamienił skarb na bezkresy ziemi w Nowym Meksyku.

## Kobiety, które grabią wodę

Żeby wejść do bani, trzeba czekać. Przy kasjerce trzy kobiety oglądają kawałki mięsa kupione na targu. Mężczyźni siedzą na krzesłach, skórzane kurtki wiszą na oparciach. Między nimi a kobietami krąży sprzątaczką z podkrążonymi oczami. Ma cienki biały fartuch związany w pasie. Miotła zawinięta w mokrą szmatę zostawia ślady, za każdym razem, gdy się zbliża, zarówno kobiety jak i mężczyźni zgodnie podnoszą nogi. Na ścianie wisi kuriozalny plakat przestrzegający przed chorobami zakaźnymi. Nie wiedzieć czemu, twarzą akcji został Frodo z *Władcy Pierścieni*.

W bani jest gorąco, przez kłęby pary niewiele widać. Farba olejna odpada ze ścian, jej płaty zwisają z sufitu nad metalowymi szafkami, które już dawno straciły swój kolor. Nadzy mężczyźni szorują ciała, stojąc po kostki w mydlinach. Woda zamiast z pryszniców leci z systemu rur podwieszonych pod sufitem. Żeby ją puścić, wystarczy pociągnąć uchwyt zawieszony na łańcuchu. Wszędzie rdza i metalowe kurki. Ławki wykonano jednak z marmuru. Procedura czyszczenia ciała trwa w najlepsze: gruntowna kąpiel, potem trzeba iść do ostatniego pomieszczenia, usiąść wokół ogromnego pieca z facetami chłoszczącymi się wiązkami witek.

Po wszystkim siadają przy stolikach. Popijają małymi łykami piwo z litrowych butelek. Rozmawiają oparci o szafki, z których wystają flanelowe koszule i foliowe torby. Temat goni temat: trochę o samochodach, trochę o sporcie, dużo o polityce. Ten ostatni jest morderczo prosty. Ameryka i Rosja to przyczyna i skutek. Na nich zwykle się wszystko zaczyna i na nich kończy. Rosja to wróg, ale i przyjaciel. Nie ma innych przyjaciół, więc trzeba się jej trzymać. Słaby rubel białoruski, którego wartość zmienia się tak szybko, że lepiej mieć w domu dolary, to najlepszy dowód niespokojnych czasów.

Cały czas wracają w rozmowach wybory z 2010 roku. Do dziś nie są zgodni, czy wybrali Łukaszenkę, czy on sam, fałszując wyniki, wybrał

siebie. A potem jeszcze ta eksplozja w mińskim metrze. W kwietniu w 2011 roku. Zamach? Faktyczny atak na Białoruś i próba odsunięcia prezydenta od władzy? A może prowokacja?

Bomba, która wybuchła, zabiła piętnaście osób i raniła ponad dwieście. Zachód oskarżał Łukaszenkę o prowokację. Ale ostatecznie nie wiadomo, jak było. W każdym razie prezydent dał radę. Pojawił się na miejscu zdarzenia zaraz po ekipach ratowniczych. Ludzie widzieli go, jak schodził na peron metra, jak oglądał zniszczenie i mówił: znajdziemy winnych i ich osądzimy.

Aparat państwa zadziałał z precyzją, o jakiej inne kraje mogłyby tylko pomarzyć. Rzekomi sprawcy – Dźmitryj Kanawałau i Uładzislau Kawalou – zostali złapani następnego dnia, a po szesnastu dniach od chwili zatrzymania oskarżeni o zaplanowanie i przeprowadzenie ataku terrorystycznego. Pół roku później skazano ich na karę śmierci przez rozstrzelanie. Komitet Praw Człowieka ONZ punktował błędy procesu: nie wzięto pod uwagę zasady domniemania niewinności, w przesłuchaniach stosowano tortury, proces nie został przeprowadzony w rzetelny sposób. Sondaż, w którym kilka dni po wyroku pytano ludzi o zdanie, wskazał, że blisko połowa społeczeństwa nie wierzyła w winę oskarżonych, a tylko jedna trzecia twierdziła, że rzekomi sprawcy są winni.

Rodziny informację o rozstrzelaniu otrzymały listem. Ciała nie zostały wydane. Do dziś nikt nie wie, gdzie ich pochowano.

A może zamach był potrzebny, bo drastycznie spadało poparcie dla prezydenta? Ale mężczyźni się śmieją. Nigdy się nie dowiesz. Być może tak było, lecz jednocześnie: czy ktoś w tym kraju wątpi w to, że mamy najlepszego prezydenta, jakiego mogliśmy mieć? Pogłoski rozpuszczane w Europie Zachodniej mają na celu rozsądzenie spokoju Białorusi. Powtarzacie te teorie o prowokacji i musicie w nie wierzyć. I nigdy się nie dowiecie, jak było naprawdę. Nie macie jak tego sprawdzić. I wy, i my – Białorusini – nic nie wiemy, i tak już zostanie. Łukaszenka ma swoje za uszami, ale tyle razy był wybierany, że samo to powinno wam dać do myślenia – być może ludzie tego chcą. Chcą spokoju. Gdybyście widzieli Białoruś za czasów Szuszkiewicza. Jak naukowiec radiofizyk, syn Rosjanki

polskiego pochodzenia i Białorusina, mógł dobrze zarządzać takim krajem? Wiesz, co się działo? Mafie, rozkradanie, bałagan, niepewność. A teraz? Może biednie, ale spokojnie. A tego nam brakuje najbardziej.

Potem kilku wstaje i idzie w stronę drzwi bani. Reszta wraca do rozmów o samochodach. Kłęby pary wpadają do przebieralni i znów robi się zupełnie mgliście.

We mgle przysiada się facet, częstuje piwem. Mówi: są tacy, którzy nie poddali się władzy. Uciekli od życia, chowając się w przeszłości. To możliwe, trzeba tylko zawierzyć, że przeszłość jeszcze istnieje. Jedź do nich, zobacz, jak żyją, oni mają spokój, jakiego my, ludzie z miast, nigdy nie będziemy mieć.

Jak tam się dostać? Trzeba udać się na południe, w rejon skażony czarnobylską awarią. Trzeba kluczyć leśnymi drogami. Przejeżdżać martwe wsie opuszczone przez ludzi i szukać tych osad, w których wciąż jeszcze trwa życie. Są takie. Komunikaty o radioaktywnym zagrożeniu nie wypędziły wszystkich na północ kraju. Trzeba dostać się tam, między ich domy kryte eternitem. Życie tych ludzi wydaje się całkiem normalne. Ale kiedy przychodzi susza, kiedy zbiory marnieją z braku deszczu, tamtejsze kobiety spotykają się przy ogniu i śpiewają pieśni. Jakie to pieśni? Pewnie jakieś stare. Ludzie stamtąd wciąż je pamiętają. Jeszcze nie wiedzą, że dawno przestały mieć jakąkolwiek wartość. Może etnografowie poświęciliby im uwagę, może mogłyby być śpiewane gdzieś na festiwalach folkloru. Poza tym nie są nikomu potrzebne. Tamtejsze kobiety jednak śpiewają tak, jakby ich śpiew miał moc. Wierzą, że potrafią zakląć tymi pieśniami chmury i wycisnąć z nich deszcz prosto na pola uprawne. Kończą śpiew i ruszają w stronę wody. Trzeba za nimi iść przez las. Do rzeki. Tam z ukrycia obserwować, jak rozbierają się i wolne, nagie, przekonane o swojej sile wchodzą po pas i marszczą grabiami równy nurt wody. Tak sprowadza się deszcz.

Po południu bania zamiera. Targowisko koło bani też dogorywa. Rano było tu jeszcze życie. Furgonetki wypełnione kartonami. Skarpety, ręczniki, proszki do prania. Tutaj pogody się nie zaklina. Zamiast wierzeń spotkać można chińskie ciuchy wyłożone na maskach i przednich szybach

samochodów. W kartonach tenisówki: czerwone i białe. Mają ciężki zapach opon samochodowych. System zorganizowano doskonale: to, czego nie ma w sklepach, można kupić z samochodu. Nie wiadomo, w jaki sposób te towary przedostają się na Białoruś. Pewne, że na granicy trwa proceder, na którym zarabiają wszyscy: również celnicy. Na targowisku są jeszcze budy: cały sektor warzywny, sklep z wędkami, chińskie buty i koce, kwiaciarnia i elektronika nikomu nieznanych marek. Ormianin w dresie, babcia z pętami czosnku. W sklepach z akcesoriami dla dzieci dominuje róż. Potem plac pustoszeje, na betonowych ścieżkach przewalają się śmieci i liście kapusty.

Mimo że stare, niegdyś rządzące rzeczywistością zaklęcia umarły wraz z ostatnimi, którzy w nie wierzyli, resztki myślenia magicznego w Białorusinie przetrwały. Obojętnie, z kim się rozmawia, obojętnie, czy rozmówca to prosty człowiek oderwany od traktora czy miński intelektualista, w rozmowie zawsze da o sobie znać mitologiczna strona ich natury. Tak jakby świat baśni i niewidocznych sił przenikał świat realny. Próbują to ukryć, tę nieracjonalną duchowość, zamaskować, ale ona zawsze wypłynie: w jednym słowie powiedzianym za dużo, jakiejś niemal kosmicznej refleksji. Jeśli nie ma mocnych argumentów, trzeba przywoływać wyobrażenia.

Wandalin Szukiewicz myślał inaczej – był praktykiem. Właściwie trudno powiedzieć, czy archeologia wybrała jego, czy on wybrał archeologię. Urodził się w Naczy w XIX wieku. Kiedy był dzieckiem, jego rodzice się rozwiedli. Jeszcze jako student musiał przerwać studia i wrócić do Naczy, zająć się rodzinnym majątkiem. Pewnego dnia został wezwany na swoje pole: w ziemi podczas orki odkryto fragment kamiennej konstrukcji. Kazał kopać dalej. Było to neolityczne cmentarzysko z osiemdziesięcioma grobami całopalnymi, rozciągające się na powierzchni czterech kilometrów kwadratowych. Z ziemi wyciągano szkielety, a także naczynia i narzędzia z krzemienia. Pierwsze znalezisko musiało wywrzeć na nim duże wrażenie, obudziła się w nim pasja archeologa. W kolejnych latach badał kurhany z okresu rzymskiego z komorami grobowymi,

w których spoczywały szkielety kobiet i mężczyzn ułożone jeden obok drugiego. Grób obok grobu, postacie wyprostowane, z rękami leżącymi wzdłuż ciała, skrzyżowanymi na brzuchu lub piersiach. Wokół ciał poukładane były szklane ozdoby, w niektórych grobach drobiazgi zostawiono umarłym, żeby zabrali je na drugą stronę. Biżuteria z drutu, resztki wełnianych tkanin wciąż okrywające kości, a nawet topór. Zmarli, tak jakby czas się zatrzymał, mieli na sobie miedziane ozdoby, pierścienie, zausznice i szklaną biżuterię. Były nawet klucze z brązu. Groby biegły ze wschodu na zachód i oznaczone były na końcach kamieniami.

Raz rozbudzona pasja do końca życia nie dała mu spokoju. Było to coś na pograniczu szaleństwa, które doprowadziło do rozwodu: żona w sądzie zażądała od niego kolosalnej jak na tamte czasy sumy siedmiu tysięcy rubli. Musiał sprzedać część majątku. Spłacił dług i znów wrócił na wykopaliska. Jego badania pozwoliły na dokładny opis prehistorycznej Litwy. Chcąc uchronić resztki przeszłości, Szukiewicz podjął się nawet opieki nad rozpadającym się zamkiem w Trokach. Okoliczni mieszkańcy rok po roku rozbierali jego baszty, biorąc kamienie na budulec swoich domów. Inwestycja wymagała sporych nakładów finansowych, więc wraz z Towarzystwem Miłośników Starożytności i Ludoznawstwa zwracał się o pomoc finansową do bogatych okolicznych rodzin. Pomagali, ale krótko. Coraz trudniej było mu zebrać pieniądze, dworki przestały odpowiadać. Pozostał sam z nieukończoną pracą i masą wątpliwości. Nie było go stać na ekspertów z Niemiec albo Włoch, nie umiał sobie odpowiedzieć na podstawowe pytania: czy wypalając samodzielnie cegły zbliżone do oryginalnych, popełnił błąd. Może powinien zamawiać prostsze i tańsze? Ostatecznie pracy nie ukończył. Na jednym ze zdjęć siedzi lekko pochylony w rozpiętej marynarce na krześle. Koło niego trzech synów, tak przynajmniej mówi podpis pod fotografią, choć to dziwne, bo między tymi trzema widać sporą różnicę wieku. Mają przed sobą otwartą książkę.

Była w nim jakaś straceńcza chęć zbudowania świata od nowa. To chyba wspólne u wizjonerów. Odkrywana przeszłość ma przecież siłę przetwarzania teraźniejszości. To, co „było”, interesuje polityków, bo przeszłość jest bezbronna i jako taka może być zamieniona w narzędzie.

Jeszcze w połowie XIX wieku carska Rosja przychylnie patrzyła na działania lokalnych archeologów, którzy potwierdzali przynależność terenów dzisiejszej Białorusi i Litwy do kręgu kultury rosyjskiej. Wiadomo, Rosja zawsze prowadziła na Białorusi swoją grę. Rozpoczęła ją jeszcze Katarzyna II. Wysłała architektów z Petersburga, którzy dokonali swoistego audytu: zwiedzili kluczowe dla historii miasta i przygotowali plan przebudowy. Po nich ruszyli w teren budowlańcy, którzy zabrali się do pracy: niszczyli barokowe kościoły, przebudowywali cerkwie, na nowo wytyczali kształt białoruskich miast. Krok po kroku, eksponat po eksponacie, karteczka z podpisem po karteczce przeszłość zmieniała się, przybierała nowy kształt przydatny Rosji i jej imperialnej polityce.

## **Mińsk się nie nadaje**

Bardzo prosił, by nie wymieniać jego nazwiska, więc nazwijmy go Historykiem.

Mińsk Historyka to czysta projekcja, za którą stoi wiedza. To ona pozwala mu widzieć ukochane miasto w formie nakładających się obrazów z przeszłości. Historyk pokazuje palcem miejsca i rysuje wieże nieistniejących kościołów. Mówi o mieście, tym dawnym, siedemnastowiecznym, jako o małym Rzymie. Na siedmiu wzgórzach wznosiło się ponad trzydzieści kościołów, klasztorów i kaplic z relikwiami, w tym tą najważniejszą: relikwią świętego Felicjana. Felicjan – kaznodzieja podtrzymujący na duchu pierwszych chrześcijan – zmuszony został do składania ofiar bogom rzymskim. Za odmowę spotkała go kara: cesarz Decjusz kazał go wtrącić do lochu. Felicjan, wyprowadzony z podziemi, umarł w drodze na egzekucję.

Być może dlatego właśnie Felicjan, przetrzymywany w rzymskich lochach, ma takie znaczenie dla miasta. Mińsk to przecież lochy. I bagna. Jeśli nie wejdzie się w jego przeszłość, nie stanie się tam na chwilę w otoczeniu nieistniejących już budynków, miasto jawi się jedynie jako wschodni moloch pozbawiony własnego charakteru.

Mińsk nie nadaje się do budowy wieżowców i tuneli. Grząska ziemia nie ułatwia stawiania ciężkich gmachów. Cokolwiek chce się wybudować, trzeba najpierw łąć potężne ilości betonu – budynki wymagają solidnego oparcia. Tylko wzgórza dają mocną podstawę. We wzgórzach, geologicznie solidniejszych, od wieków tworzone systemy korytarzy, które potem adaptowano na magazyny. W trakcie powojennej odbudowy miasta ekipy remontowe odkrywały kilkupiętrowe systemy pomieszczeń. Budowali je przed wojną kamienicznicy, a podziemia wykorzystywali kupcy. Można było w nich przechowywać towary. Miasto jakby z braku przestrzeni rośło w dół. Jeszcze w połowie XIX wieku ludzie odwiedzający sklepy schodzili na niższe kondygnacje, gdzie można było przebierać w ekskluzywnych

tkaninach i dobrach z całego świata: importowanych herbatach, przyprawach, owocach. Pod ziemią kwitło życie.

Ale stary Mińsk został zabetonowany, dosłownie i w przenośni. Gmachy, które powstały, nijak się mają do dawnego kształtu miasta.

Żeby więc zobaczyć prawdziwy Mińsk, trzeba uruchomić myślenie historyczne. Historyk robi więc kolaże, łącząc to, co się widzi, z tym, co było kiedyś. Dodaje kolejne warstwy. W jego słowach epoki nakładają się na siebie. Mówi: kiedy po wojnie ludzie pogłębiali piwnice, trafiali na podziemne przejścia – stare nitki łączące kościoły. Zdarzało się, że fragmenty przejść i nowo budowanych piwnic łączyły się ze sobą, tworząc sieć połączeń. Dziś jednak budynki stawia się na ruinach starych obiektów, nie sprawdzając nawet ich pochodzenia. Trzeba tylko przygotować grunt: wysypać gruz, ubić i lać fundament. Kiedy stawiano gmach Prokuratury Generalnej, zasypano podziemia klasztoru i kościoła sióstr benedyktynek. Zbadać je udało się tylko częściowo. Jeszcze w 1978 robił to archeolog Zianon Pazniak. Stary Mińsk, co zrozumiałe, nie interesował komunistów, zbyt wiele było w nim przesłanek potwierdzających fakt, że ziemie te miały swoją własną przeszłość, a więc i tożsamość.

Ale jak ma nie cierpieć miasto, o którym pierwsza wzmianka to opis rzezi. Mińsk pojawia się w pochodzącej z XII wieku *Powieści minionych lat*. Rzeczywiste autorstwo tekstu nie zostało wyjaśnione. Najprawdopodobniej jednym z kilku redaktorów najstarszej kroniki opisującej początki Rusi Kijowskiej był Nestor. W jego opowieści pojawia się Wsiesław Czarodziej: legendarny władca pochodzący z Połocka. Kiedy się urodził, okazało się, że ma na głowie błonę płodową. Czarownik, który odbierał poród, nakazał matce zrobić z niej amulet. Nalegał, żeby dziecko nosiło go zawsze przy sobie. Amulet miał dać mu nadludzkie zdolności: właściciela nie można było zranić. Wsiesław posiadał także dar: potrafił zamieniać się w wilka. Jako zwierzę pokonywał gigantyczne dystanse z nadludzką prędkością. Potrafił rzucić się w stronę Nowogrodu, gdzie jednym silnym pchnięciem otwierał wrota miasta. Potem ruszał w stronę Kijowa. Z szaleńczych gonitw przywoływało go bicie dzwonów Połocka. W 1044 roku zasiadł na tronie

połockiego miasta-księstwa. Chciał jednak więcej. Ponad horyzontem widać było dwóch konkurentów: Kijów i Nowogród – ośrodki związane z Konstantynopolem. Oba miasta wybudowały u siebie na znak poddania sobory Sofijskie – sobory Mądrości Bożej. Wsiesław, dręczony manią wielkości, nakazał zbudować w Połocku podobną świątynię i nadać jej taką samą nazwę. W 1066 roku zaatakował i ograbiał Nowogród. Synowie Jarosława Mądrego ruszyli w odwecie na księstwo połockie. Po drodze najechali na Mińsk. To wtedy doszczętnie go zdemolowali. Na zgłiszczach miasta, nad rzeką Niamią, stoczyli legendarną walkę. Ponoć z dala słychać było walenie bojowych cepów.

Zdolność do przemiany Wsiesława w zwierzę wpisuje się w słowiańskie i litewskie legendy. Badacze sugerują, że jego przypadek nie był klasyczną likantropią: zdolnością do chwilowej przemiany człowieka w wilka. Raczej efektem maskowania: Wsiesław jako dzikus z bagien nosił na sobie skóry, szczęki dzikich zwierząt i kościane ozdoby.

Nad Niamią, na otwartej przestrzeni zwanej Zamczyskiem, tam gdzie przed wojną był największy miński targ koni, w trakcie prac ziemnych trafiono na fundamenty świątyni z grobami bezimiennych królów z XII wieku. Archeolodzy są zgodni: świątynia tak wyglądała od początku. Nie znaleziono wokół niej resztek ścian, co może oznaczać, że poprzestano na wytyczeniu jedynie kształtu podstawy. Takiego sposobu pochówku nie odnotowano nigdzie indziej na Rusi. Stawiając obiekt, którego nie da się zburzyć, dawni budowniczowie postąpili najmądrzej, jak mogli. Nie można przecież zniszczyć budynku, który nie pnie się w górę. Kim byli ci królowie? Skąd przyszli? Tego akurat nie wiadomo.

Zobacz, mówi Historyk: forma tego obiektu odzwierciedla metodę na przetrwanie tak bardzo charakterystyczną dla naszego narodu. Przycupnąć nisko przy ziemi i czekać. Czy to nie dziwne? Tyle lat minęło, a mechanizmy wciąż te same.

## **Jezioro i aniołowie**

– Dalej, teraz ty wchodzisz – mówią i zmuszają mnie, żebym wszedł na sosnę. Sytuację ratuje fakt, że gałęzie zaczynają się dwa metry nad ziemią. Podsadzają i każą się wspinać. – To taki konkurs – twierdzą kompletnie schlani. – Zobaczymy, kto wejdzie wyżej.

Przyjechali nad jezioro w piątkę. Zardzewiały mercedes na wypolerowanych felgach, zupełnie niepasujących do samochodu, stoi w zagajniku. Reflektory mają niebieską poświatę, szyby przyciemniono, z lusterka w kabinie zwisają ozdoby. Słońce grzeje, rano, rozebrani do pasa i z butelkami piwa w rękę, śmiejąc się, kopali swojego towarzysza, który po wczorajszej popijawie zasnął w nierozłożonym namiocie. Jedli śniadanie przy prowizorycznym stoliku. Palnik gazowy, puszka fasoli, biały chleb i cebula.

Właściciel nie ukrywa dumy z maszyny. Ten pobyt nad jeziorem to jego wakacje. Wieś, w której mieszkają rodzice, leży dziesięć kilometrów dalej. Do Mińska mają niedaleko. Pięć lat temu dostał propozycję przywiezienia z Berlina samochodu. Kuzyn nie mógł jechać i żeby nie wypaść z biznesu, zaproponował zastępstwo, uznał, że rodzina nie wygryzie. Pojechał. Komis używanych fur prowadzony przez Turków był mały. Szeroka, cicha ulica, pięć albo sześć umytych i wylakierowanych samochodów na wysypanym białym żwirem podjeździe. Pamięta zapach ich wnętrza: pachniało gumą dywaników. W drodze powrotnej okazało się, że klimatyzacja padła, potem strzeliła uszczelka pod głowicą. Całe szczęście na Białorusi. Po dwóch wyjazdach zrobił prawo jazdy na lawetę. Zaczął jeździć między Berlinem a Mińskiem regularnie. Drogę zna na pamięć, ale topografię Berlina rozpoznaje w ograniczonym zakresie: tylko zjazdy z Berliner Ring. Pod Ludwigsfelde miał stłuczkę. Nauczył się płacić polskim celnikom na granicy, w końcu pokłócił się z kuzynem. Od półtora roku jeździ sam, ale coś zaczyna szwankować – albo nie ma do tego interesu ręki, albo biznes przestał być opłacalny.

Włazą na betonowy mur tamy regulującej poziom wody i skaczą do jeziora. Dna nie widać, wiadomo jednak, że pod wodą są elementy mechanizmu regulującego spiętrzenie wody w kanale. Trzeba skoczyć tak, żeby uderzyć w środek betonowej niecki, inaczej można połamać nogi. Słońce odbija się w wodzie, sosny leniwie trzeszczą. Jeden idzie do samochodu. Teraz rosyjskie techno słyszeć w całym lesie. Ale dla nich to za mało, postanawiają podjechać bliżej. Koła kręcą się w miejscu, ściółka wylatuje w górę, ostatecznie trzeba samochód wepchnąć na polanę. Więc pchamy, ten najbardziej pijany leży na bagażniku, nie do końca wiedząc, co się dzieje. Mercedes grzęźnie w piachu. Robimy przerwę, któryś szuka ostatniego piwa w plecakach. Ten pijany, ogłuszony nagłą ciszą, spływa w trawę, a oni na to patrzą i podają sobie papierosa. Wydaje się, że cały dzień będzie właśnie tak wyglądał, ale im chyba to się podoba. Są razem, spoceni, oblepieni ziemią, zmęczeni. Któryś idzie do leżącego, unosi mu głowę i ostrożnie wlewa do ust ciepłe piwo. Wracają do konkursu:

– Dalej, teraz ty wchodzisz.

Jezioro z góry wygląda pięknie. Niebieskie, spokojne, otoczone zielenią.

– Widzisz wieś?! – krzyczą z dołu. – Widzisz wieś pod wodą?!

Mówią, że pod wodą istnieje kraina zupełnie podobna do tego, co na powierzchni. Wieś z domami równo poustawianymi wzdłuż drogi. Nie ma jej na żadnej mapie. Nawet tej wyrysowanej przez najlepszych kartografów rosyjskiej szkoły. Nikt już nie pamięta, jak to się stało, że wieś znalazła się pod wodą. Pewnego dnia tak po prostu na jej miejscu pojawiło się jezioro.

Może wybiło tu podziemne źródło? Podmokłe grunty są tu przecież codziennością. Bagna – stałym elementem krajobrazu. *Słownik folkloru polskiego* pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego przynosi jednak dość konkretne wyjaśnienie „zapadłych wsi”: tak je nazywa literatura. Osady znikają na skutek rzuconych przekleństw lub ciężkich przewinień mieszkańców. W niektórych wariantach legendy pojawiają się również zapadłe cerkwie i grody. Giną pod wodą lub pod ziemią. Cerkwie znikają, bo okoliczni mieszkańcy grzeszą: za nic mają głos dzwonu wzywającego na mszę. Karczmy zapadają się same z siebie. Pijani ludzie, zamiast iść do kościoła, bawili się w najlepsze. Zdarza się, że wieś znika, bo ludzie nie

klękali na widok księdza śpieszącego do umarłego z ostatnią posługą. Chwilę po katastrofie zapada cisza. Woda wypełnia zagłębienie, ziemia sama się równa. Ale o wydarzeniu trudno zapomnieć. Z podziemnych świątyń słychać bicie dzwonów. W miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się chrzcielnica, nagle wytryska źródło.

W *Labiryntach* Łastouskiego starzec, oprowadzając głównego bohatera po połockich lochach, odwołuje się i do tego mitu, sugerując, że pod ziemią na Białorusi wciąż istnieje życie. *Labirynty* w swojej istocie są literackim hołdem dla spraw nierozwiązywalnych. Podziemne korytarze to dla Łastouskiego kraina białoruskiej szczęśliwości, do której nie sposób dostać się bez wtajemniczenia. Nad lochami stoją gmachy, których przeszłość wiązała się z tożsamością narodu – kolegium jezuickie, nieistniejący już dziś klasztor bazylianów i sobór Sofijski. Posadzone blisko siebie, na wzgórzu, stanowią trzon Połocka. Łastouski przemyca więc wywodzącą się z legend narrację i mówi: kiedy geopolityczne okoliczności na powierzchni uniemożliwiły trwanie Białorusi, jej prawdziwa tożsamość znalazła się pod ziemią.

Można jedynie domniemywać, skąd znał tę opowieść. Z pewnością słyszał o niej jeszcze jako dziecko. Nie ma na to żadnych dowodów, biografia Łastouskiego o tym milczy, być może bajkę opowiedział mu Rubacha, jego pierwszy nauczyciel. Kiedyś nazywał się Kaszulonak, w trakcie spisu ludności jednak carski urzędnik uznał, że to złe nazwisko, bo Kaszulonak pochodzi od słowa „koszula”. W nazwisku zatem krył się jakiś obcy wpływ. Takie nazwisko, co zrozumiałe, tylko utrudniało rusyfikację. Przekreślił je i wpisał nowe, miłsze dla ucha, rosyjskie. Tak Kaszulonak został Rubachą. Rubacha to rosyjska, prosta chłopska koszula.

Rubacha, ubogi chłop, nie posiadał ziemi, więc kombinował. Latem spędzał czas na polach, wypasając bydło, zimą nauczał w szkole. Przy okazji opowiadał dzieciakom pasterskie historie – takie, których sam słuchał nocami, gdy siedział pod rozgwieżdżonym niebem i pilnował zwierząt. W jednej z nich woda niespodziewanie wybiła z ziemi na środku pola. Pasterze się nie obudzili, z pomocą przyszedł im anioł. Staął pomiędzy nimi, a kiedy otworzyli oczy, powiedział: uciekajcie, głupcy!

Byli przerażeni aniołem i wodą, która wzbierała i zakrywała łąkę. W pośpiechu pakowali osmalone garnki, brali koce i biegli na wzgórze. Stamtąd, ze skraju doliny, obserwowali spektakl. Jezioro było coraz głębsze, rano po zielonej dolinie nie został nawet ślad.

## Jak się robią cuda I

Żeby do niej dotrzeć, trzeba iść od centrum Połocka nierównym poboczem szosy w hałasie samochodów jadących od miasta. Ludzie wracają do swoich blokowisk. Jest jak na przedmieściach azjatyckich metropolii: autobusy wypakowane pasażerami, niskie baraki, szerokie piaszczyste pobocze. Może to skojarzenie z Azją podsuwają spaliny, które unoszą się w powietrzu niebieską poświatą. Sklepiki poustawiane przy drodze oferują chleb, piwo i konserwy rybne. Za szybami lodówek kawałki mięsa. Droga prowadzi do monasteru Przemienienia Pańskiego i Świętej Eufrozyny Połockiej. Kompleks świątyń tonie w łagodnych zieleniach i żółciach krajobrazu. Na zdjęciu lotniczym wykonanym z odpowiedniej perspektywy jego białe budynki wyglądają jak przed wiekami: pustka wokół, a w niej biel cerkwi. To jej dom: świętej urodzonej w XII wieku. Ludzie mówią: ciało świętej Eufrozyny nie umiera. Idź zobacz, Bóg ją namaścił i Bóg pozwolił jej trwać wiecznie.

Miała dwanaście lat, kiedy uciekła do klasztoru. Jej ojciec, władca połocki, planował dla niej przyszłość polityczną, w tamtych czasach córka wydana innemu władcy znaczyła więcej niż najlepsze umowy. W końcu uległ. Eufrozyna całe dni spędzała na pracy i modlitwie, z czasem jej służba Bogu przyjęła bardziej wyrafinowaną formę – skupiła się na medytacji i pisaniu. Jej marzeniem było zamieszkać w soborze Sofijskim – tej wybudowanej przez Wsiesława Czarodzieja, jej dziadka, cerkwi. Dzięki zgodzie połockiego biskupa Eliasza zamieszkała w przycerkiewnym gołębniku albo komórce – tu zdania historyków są podzielone. Tam oddawała się przepisywaniu świętych ksiąg.

Pewnej nocy Eufrozyna zobaczyła anioła. W tym śnie wziął ją za rękę i wyprowadził z celi. Szedł z nią przez Połock, aż wyszli poza mury miejskie. Stał tam dworek należący do soboru Sofijskiego i maleńka drewniana cerkiew. Anioł pokazał jej to miejsce i od razu zrozumiała; w snach nie trzeba słów, żeby wszystko wiedzieć. Po przebudzeniu

postanowiła, że tam, na miejscu drewnianego budynku, postawi cerkiew z kamienia. Kamienne budynki były w tamtych czasach rzadkością. Legenda mówi, że prace ukończone zostały w trzydzieści tygodni. Aniołowie pracowali z ludźmi ramię w ramię, dostarczając materiał zawsze wtedy, kiedy już się wydawało, że nie będzie więcej budulca.

Staruszki zagadnięte o miejsce jej pochówku za każdym razem się ożywiają i dziwią, że ktoś o nią jeszcze pyta.

Półkolista brama prowadzi na spory plac, na którym jak na wielkiej szachownicy, pozostały dwie figury – cerkwie. Ta nowsza, zaprojektowana w 1893 roku przez rosyjskiego architekta Korszykowa w stylu bizantyjsko-rosyjskim, nosi nazwę Podwyższenia Krzyża Świętego. Przypomina królową: ma siłę i dumę. Niższa jest bardziej przaśna i surowa. To właśnie ona: cerkiew Przemienienia Pańskiego – dzieło Eufrozyny. W prostej bryle ogniskuje się wysiłek człowieka przemieszany z ludową łagodnością. Nie ma w niej pychy, tak mocno widocznej w większej cerkwi. Architekci, którzy ją badali, mogą godzinami rozmawiać o formie sklepienia unikalnej dla całej Rusi. A także o tym, co później z nią zrobiono. Nawet budynki stawiane przez anioły potrafią zmieniać się pod wpływem czasu.

W tej większej – cerkwi Podwyższenia Krzyża Świętego – panuje cisza. Marmury i wysokie okna odzierają miejsce z tajemnicy. Kilka sióstr przesuwają się bezgłośnie przed ikonostasem. Jedna z nich, o twarzy okolonej welonem tak mocno, że wygląda jak śmierć z *Siódmej pieczęci* Bergmana, ciągnie mnie z delikatnym uśmiechem w stronę raki – przeszkłonej trumny służącej do przechowywania relikwii. Śpiewnym szeptem, pełnym dziewczęcej niewinności, objaśnia kolejność działań. Mówi: podejść, skupić się, popatrzeć, ofiarować się, pocałować przeszkloną gablotę. Chcę iść, ale powstrzymuje: jeszcze nie teraz. Milczymy, patykowate świece dopalają się i w końcu gasną, zakonnica wyjmuje ich końcówki, przygotowując miejsce na kolejne, które zapalą wierni. Na podwyższeniu przy trumnie stara kobieta modli się podtrzymywana przez opiekunkę, obie w chustach na głowach pochylają się nad szkłem, szepczą coś, żegnają się kilkukrotnie, dłonią wyznaczając punkty prawosławnego krzyża. Potem całują szybko tam, gdzie znajdują się usta Eufrozyny. Na

koniec jeszcze raz się żegnają i powoli schodzą po stopniach, patrząc beznamietnym wzrokiem przed siebie.

– Teraz – szepcze zakonnica, pchając mnie lekko. – Teraz idź.

Eufrozyna, okryta zielonym, wyszywanym całunem, ma ciało dwunastolatki. Przez grubą szybę widać tkaninę, która leży na twarzy, spłowiałą, choć kolory wciąż jeszcze są rozpoznawalne. Patrząc na nią, nie sposób wyobrazić sobie jej jako postaci chodzącej po ziemi. Pozostała jedynie resztką ciała przechowywana pod szybą i aura. Na tym polegają chyba kulty świętych. Wielka obecna, ale nieobecna leży w skrzyni, a ludzie przychodzą prosić o pomoc. Dla świętych służba człowiekowi nigdy się nie kończy.

Soborowy sklepik oferuje wizerunki świętej. Ściany zasłonięte ciężkimi ikonami w kapiących od złocien ramach. Brązy, półtony, cienie bez gradientu, geometryczne formy, z których rysuje się kształty twarzy. Kobieta, która je sprzedaje, wygląda jak jedna z nich. Nieruchoma, w chuście na głowie, z rękami złożonymi na podołku. Ma pooraną zmarszczkami twarz, za nią umęczone oblicza świętych w małych i dużych formatach tworzą szaloną mozaikę. Pasuje do tego sklepiku, w którym nie ma nikogo więcej niż my dwoje. Oglądam drogie i piękne albumy, płyty kompaktowe z zarejestrowanym śpiewem z klasztoru, pod szkłem grudki mirry w plastikowych pudełeczkach. Kupuję kilka laminowanych obrazków za symboliczną kwotę. Kiedy je chowam do kieszeni, kobieta ożywa nagle i szeptem zaczyna objaśniać regulamin świętości. Nie należy nigdy trzymać świętej ikony z pieniędzmi. Święta ikona musi być schowana zawsze powyżej pasa: najlepiej na piersi, najlepiej w pobliżu serca. Święta ikona to nie zwykły obrazek, nawet jeśli kosztuje tyle, co bilet autobusowy do śródmieścia Połocka. Ikona działa, prawda działa, prawda trwa, trzeba tylko się jej oddać. Wówczas zejdzie spokój.

Ona wygląda na taką, która spokój osiągnęła. Uwolniona od troski o przyszłość, całymi dniami przesiaduje w sklepiku, włączając się na swój świecki sposób w kult świętości. Kiedyś miała męża, mąż zmarł, a ona, pogodzona i niepokodzona jednocześnie z życiem, czeka na śmierć. Ale śmierć jeszcze jej nie chce. Pozostała więc służba.

Jedyny jasny moment jej dnia to śpiew sióstr. Tylko on daje ukojenie. Śpiew zapewnia o istnieniu wyższego porządku. Nie trzeba wchodzić do cerkwi, żeby go usłyszeć. Dźwięk wzmocniony przez głośniki rozstawione na zalanym słońcem dziedzińcu niesie się po całym placu. Ostre słońce oświeśla równo przycięte trawniki i klomby białych róż. Białe ściany murów odbijają światło. Głośniki trzeszczą, ale i tak słyszać niewinność śpiewu zakonnice. Tak jakby recytowały na jednym wydechu kolejne wersy w postaci łagodnej fali, która wznosi się i opada. Płyną wers za wersem, powtarzając mantrę złożoną z kilkunastu głosek połączonych w jeden delikatny, ale jednak mocny. Śpiewają długo, bardzo długo. Śpiew wydaje się roztaczać nad tym wszystkim, co ustawiono na placu, nad budynkami cerkwi i pomieszczeniami gospodarczymi na tyłach, przed którymi na wózkach leżą jakieś belki i spawarka z butlą gazu. Może to ten przejmujący śpiew był budulcem? Spoiną, która wszystko łączy. Co tam jest? Wiara? Co jest w śpiewie chóralnym takiego, że na wszystkich krańcach świata ma taką samą wymowę? Nienazwaną, ale wyczuwalną wymowę, przed którą każdy, komu została w sercu resztką człowieczeństwa, choćby w Boga nie wierzył, musi się ugiąć. Śpiew chóralny i łagodność równiny mają ten sam mianownik – doskonałość, której nie da się sztucznie wyprodukować. Wydaje się, że ich głos niesie się ponad murem klasztornym i leci. Przenika mury, wydostaje się na ulicę, tam gdzie samochody wiernych parkują na trawnikach, przelatuje ją i biegnie prosto we wszystkie strony świata. Niczym niezatrzymany, wolny, zupełnie wolny, puszczony samemu sobie.

Eufrozyna to symbol zbyt odległy, żeby można było go zniszczyć. Kult akceptuje Cerkiew prawosławna i władza. Eufrozyna to Połock. Jeśli Połock jest miastem, w którym kryje się serce narodu, Eufrozyna stała się twarzą tego miasta. Kult ma swój wymiar duchowy, ale ma również swój wymiar polityczny. Stoi przecież za nią Wsiesław Czarodziej. To on kazał budować sobór Sofijski, w którym święta mieszkała w gołębniku. Wsiesław wierzył, że uda mu się zrównać siłę księstwa połockiego z Nowogrodem Wielkim i Kijowem – miastami Rusi Kijowskiej. Eufrozyna stała się twarzą tej idei.

A Aleksander Łukaszenka wymyślił pewnego dnia, że to Połock będzie centrum Europy. Białoruscy i rosyjscy geografowie tak długo mierzyli kontynent, naciągając dane, aż w końcu udało im się zadowolić prezydenta. Teraz w jednej z alei miasta znajduje się punkt, coś jak pomnik albo betonowy znacznik, który niezbicie dowodzi, że to właśnie w tym miejscu znajduje się geograficzny środek kontynentu. Głupie? Być może. Obelisk przyciąga trzy miliony turystów rocznie. Problem jednak leży gdzie indziej: Eufrozyna, mimo że nieruchoma, coraz bardziej usuwa się w cień. Nie będzie już główną atrakcją miasta, przez jakiś czas zastąpi ją inna atrakcja, jeszcze precyzyjniej mówiąca, gdzie się znajdujemy.

Na tyłach cerkwi, tuż przy wejściu do kuchni kobiety w białych czepcach oprawiają na drewnianym stole ryby. Stół – porżnięty nożami, zszarzały od szorowania – wygląda, jakby stał tu od setek lat. Spracowane dłonie działają mechanicznie i pewnie. W rozciętych podbrzuszach ryb pokazują się miękkie wnętrzości, kościste palce wycierane są w fartuch. Pochylone nad stołem, ukryte w cieniu białych płócien rozciągniętych nad głowami kucharki śpiewają razem z zakonnicami. Tną nożami białe brzuchy, oddzielają głowy, wrzucają ciała do garnków z wodą i niemal bezgłośnie powtarzają słowa pieśni.

## Co było, a nie jest

Azer handlujący na targu w Witebsku sprzedaje kadzidełka, chińskie koce w tygrysy i adidasy. Chiński kotek z połączanego plastiku macha przyjaźnie łapką. Azer nie ma wątpliwości: wolałby mieszkać w Berlinie. Albo Hamburgu: tam płaci się w euro.

Białorusin również nie ma wątpliwości: wolałby w Petersburgu. Blisko. Moskwa za duża i za daleko.

Wietnamczyk: Białoruś to dobre miejsce. Bardzo dobre. Dużo pracy.

Rosjanin: wszędzie tam, gdzie można kupić euro albo dolary.

W Radahoszczy panuje porządek. Brukowana droga biegnie pomiędzy domami i wznosi się na szczyt wzgórza. Domki są małe, ich obejścia zadbane. W popołudniowym słońcu kolorowe fasady mienią się ciepłą barwą. Wieś ma już wszystko: trochę zieleni, jasne ściany domów, no i spokój. Radahoszczy nic więcej nie potrzeba, obojętnie, co się wydarzy i co powiedzą w Moskwie czy w Europie. Wystarczy nie wychodzić poza ostatnie domy, a świat już znika. A może w ogóle go nie ma?

Drogą idzie szkapa, za nią jej właściciel – zwalisty i rumiany, typ przemądrzałego chłopka z ludowych podań. Zamiast zębów przeplatanka próchnicy i srebra. Facet niesie lekką metalową bronę, z koniem wyglądają tak, jakby pan wyżerał zwierzęciu ze żłobu. Koń zmarniały, na bokach wyłysiał, cała sierść poszarzała. Mężczyzna rzuca bronę na ziemię, jego syn bierze uzdę i gwizdem pogania zwierzę. Stary kładzie się na bronie, a dzieciak beznamietnie, zupełnie nie jak dziecko, obserwując ruch skib ziemi, posuwa się krok po kroku. Zaczyna się bronowanie.

W Radahoszczy – tam, gdzie droga omija rozwaloną stalową bramę do opuszczonych zakładów, wznosi się góra. To tak naprawdę uskok terenu: z jednej strony skarpa, na którą nie da się wejść, bo opada niemal pionowo, z drugiej – łagodnie opadające zbocze przechodzące w pola. Na samym szczycie krąg starych, wysuszonych dębów otacza polanę, pośrodku której rośnie dzika jabłoń. Jabłoń swoje najlepsze lata ma za sobą. Ledwie żywa,

z długimi, nigdy nieprzycinanymi gałęziami, kołysze się na wietrze. Daje owoce, ale są to dosłownie pojedyncze sztuki. Kiedyś mieszkali tu kapłani, samozwańczy łącznicy z Bogiem. Może przez ich obecność górę uznawano za miejsce mocy, które do dziś przyciąga ludzi wierzących w zjednanie ziemi i nieba. Palą ognie i tańczą w czasie nocy świętojańskiej, powtarzając jakieś dawne pogańskie rytuały, których sensu nie znają. Odwołują się do tego, co nie istnieje, szukając ratunku. Obecność nocą na wzgórzu, zamieszkiwanym kiedyś przez kapłanów, musi być mocnym doświadczeniem. Nie wiadomo jednak, co było pierwsze: moc miejsca czy wiara ludzi, którzy upatrzyli sobie wzgórze i zrobili z niego miejsce kultu. Ogniskiem uszkodzili dwa dęby: kora pękła i pokazało się puste, ciemne wnętrze. Z wysokości wzgórza domki Radahoszczy wyglądają jak makietą. Zresztą wszystko, co poza wzgórzem, wygląda jak makietą. Może o to w tych wszystkich kultach chodzi?

Ten od konia to Wiktar. Jego żona, na oko dwadzieścia lat młodsza, chyba Cyganka – krępa, w dresie ciasno opinającym szerokie biodra – ma czarne włosy i śniadą cerę. Cała jej witalność skupia się w błysku w oka. Kiedy mówi, nie sposób oderwać od niej wzroku, bije z niej niczym niepokromione życie. Ta dwójka owinięta wokół swojego domu i kawałka ziemi, na której sadzą ziemniaki i kapustę, chce wiedzieć, jak wygląda Białoruś, ta dalsza. Nigdy tam nie byli. Wiktar wie tylko, że chleb bardzo drożeje. Dochodzą go słuchy, że białoruski rubel słabnie, skoki wartości są tak duże, że ludzie decydują się odbierać wypłaty w dolarach. Ponoć można je nawet wypłacać z bankomatów. Ale nie wie, czy to prawda, świat zbytnio go nie interesuje. Dolary to zresztą dla niego odległy temat, bo nie ma nawet konta w banku. O zdrowie się nie martwi, w Radahoszczy jest szeptucha.

Każda wieś ma jedną albo dwie takie baby, które leczą ciało i uzdrawiają duszę. Nie ukrywają się. Nawet ci najdalej odsunięci od natury ludzie miasta mówią o nich z szacunkiem. Religia i wyznanie nie odgrywają tu żadnej roli, do szeptuch przyjeżdżają katolicy i prawosławni. Czasem w ich praktyce pierwotne działania mieszają się z modlitwami. Czasem są to

surowe obrzędy, czasem ziołolecznictwo. Nikt tego nie rozdziela: szeptucha to szeptucha, jej sprawa, skąd czerpie zdolności.

\*

Podwórko otoczone niskim płotkiem pomalowanym na czerwono jest puste. Przez okna szczelnie zasłonięte firanami nic nie da się dojrzeć. W środku na kołkach wisi płaszcz i gruby sweter ze sznurkiem do wiązania w pasie. Dalej puste pomieszczenie z kalendarzem na ścianie, pachnie parowanymi ziemniakami, jest cicho. W końcu pojawia się. Maleńka, w spódnicy i ciepłych filcowych butach. Rozmawia przez komórkę, każe poczekać, szepcze do telefonu, a kiedy kończy, pyta o cel wizyty. W drugim pokoju jest o wiele bardziej kolorowo. Dywany, wersalka, serwetki na laminowanych meblach z lat siedemdziesiątych, pejzaże w oleodruku przedstawiające wierzby nad jeziorem. W kącie stoją ikony, portrety patriarchów Wszechrusi, wiszą różańce, cały ten religijny ekwipunek niezbędny do łączenia się z niebem.

– Modlę się za ludzi, pomagam im modlitwą – opowiada, pokazując ikony. Kładzie rękę na plecach, wyjmuje książeczkę do nabożeństwa. Mówi szybko. Tak jakby chciała zdążyć przed końcem wyznaczonego czasu. Trwa to może pół godziny. Pół godziny szybkiego czytania, szeptów, potem, im dalej, tym więcej łapania oddechów.

Rubli wziąć nie chce. Wiktar mówił prawdę – w pewnych rejonach pieniądz nie odgrywa żadnej roli.

## Pod gwiazdami

Tatiana unika rozmów o własnej tożsamości. Nie chce też być przypisana do konkretnych punktów na mapie. Jej dom – jak twierdzi – sięga od Smoleńska do Poznania i od Wilna do Krymu. Być może to kwestia mentalności ludzi, którzy tam żyją, a może poczucia bezpieczeństwa. Teraz mieszka w Polsce. Mieszkanie w Polsce to takie trochę zesłanie, wraca więc co pewien czas na Białoruś. Do domu – jak mówi.

Jej rodzina od trzystu lat mieszkała w okolicach Nowogródka. Brat dziadka, Mikołaj, był zarządcą w zamku w Mirze. Dziadek Aleksander – dyrektorem szkoły we wsi Obryń. Zorganizował nawet u siebie na wsi małe regionalne muzeum. Tatiana, zafascynowana historią, jeszcze za czasów ZSRR udzielała się społecznie, potem dołączyła do Białoruskiego Frontu Ludowego. Partia poniosła porażkę, przegrali w wyborach. Tłumacząc tamte wydarzenia, mówi: liderzy postawili na odrodzenie państwa narodowego w kraju, w którym ludzie mają bardzo niską świadomość narodową. Jej zdaniem w tamtym okresie trzeba było mówić nie tyle o państwie narodowym, ile państwie narodu białoruskiego. To pojęcie szersze – obywatelskie, włączające wszystkie języki i narodowości. BFL opuściła w roku 1994 roku i skupiła się na działalności kulturalnej: w Nowogródku założyła Towarzystwo Filomatów „Pramień”, które kontynuowało tradycję Towarzystwa Filomatów Mickiewicza. Wyjechała z Białorusi w 2006 roku tuż po wyborach prezydenckich. Zdążyła jeszcze wziąć udział w proteście przeciwko fałszowaniu wyników wyborów. O masowych aresztowaniach dowiedziała się w Polsce, dokąd wyjechała z wystawą, na której pokazała zdjęcia bohaterów protestów. Na Białoruś postanowiła nie wracać.

Tydzień spędzamy w samochodzie. Pokazuje mi zabytki. Oglądamy pałace i dworki polskiej szlachty. Ruiny patrzą pustymi oknami, ogrody zapuszczone, czasem po pałacu nie ma nawet śladu. Tatiana potrafi odnaleźć dawne siedlisko w miejscu, w którym nie ma nawet jednego

kamienia po dawnych budynkach. Chodzi i patrzy w ziemię; zrywa kwiaty: fiołki ogrodowe. Mówi: ta roślina jako ostatnia wskazuje na dawne domy. Może nie być murów, kamieni, drzew, ale ten kwiat rośnie. Czasem z głównej drogi zjeżdżamy na szutrówki, a potem pojawia się pięć albo sześć domów krytych strzechami i pomiędzy nimi moloch. Stojąc w miejscu, gdzie kiedyś były pałacowe drzwi, można patrzeć na przestrzał przez hol, bo ściany zniknęły. Ludzie, którzy mieszkają obok takich ruin, przestają je zauważać. Kolumny i strzeliste okna, czerwień cegieł przebijająca przez krzewy jarzębiny to tylko fantazyjne formy, zupełnie nieprzydatne. Co można było zabrać, zostało zabrane, reszta należy do świata przyrody. W Różanie błakamy się w południe po otwartej przestrzeni dawnego pałacu Sapiehów. Z legendarnej świetności pozostał wielki trawnik otoczony ceglanyymi murami biegnącymi setki metrów.

Raz przed jakimś pałacem czekamy na kobietę, która ma się pojawić z kluczami. Przychodzi po godzinie, ciągnąc nogę za nogą, od strony wsi, która w dole wydaje się skupiskiem baraków ściśniętych wokół piaszczystej drogi. Pałac jest gigantyczny. Hol główny wysoki na kilkanaście metrów ma czerwoną gwiazdę wymalowaną na suficie. Kręcona klatka schodowa prowadzi na wyższe kondygnacje. Pokoje są stumetrowe, mogłoby tu mieszkać kilkadziesiąt osób, a przecież kiedyś mieszkała tylko jedna rodzina. Na ostatniej kondygnacji, pod dachem, w nagrzonej przestrzeni strychu w powietrzu lata gołębi puch. Wszędzie gołębie odchody. Ściany pokryte olejną farbą obtłuczono jakimś tępym narzędziem, tak jakby ktoś w nienawiści chciał wyrównać rachunki z martwą materią. Druga klatka schodowa jest wąska, prowadzi do pokoi służby. Małe pokoje, jeden obok drugiego, mają nie więcej niż kilka metrów. Rok wcześniej pałac kupili rosyjscy oligarchowie. Kobieta od klucza twierdzi, że wspaniałe małżeństwo, on poważny, zamyślony, ona bardzo dobra. Zrobią tu ośrodek konferencyjny dla dużych firm. Dla siebie wyremontują ten drugi pałacyk, z kamienia. Ten drugi pałacyk, o którym wspomina kobieta, ma prostą formę, jakby żywcem przywieziono go z Anglii. Kamienna fasada nienaruszona, prawdziwy dom.

W trakcie tygodniowej podróży kilkukrotnie dochodzimy z Tatianą do momentu, w którym mógłby rozpocząć się spór na temat znaczenia polskiej szlachty na Białorusi. Spór nie wybucha jednak, równowaga argumentów utrzymuje się gdzieś pomiędzy: jej zdaniem polska szlachta na Kresach była inicjatorem rewolucji kulturalnej. To oczywiście prawda, moim zdaniem jednak rewolucja ta nie zeszła do domów zwykłych ludzi. Sposób zarządzania chłopstwem pańszczyźnianym zbliża polską szlachtę do kolonialnych panów, mimo że fundowali również szkoły i gromadzili zbiory sztuki. Za każdym razem, kiedy powinny paść ostateczne argumenty, milkniemy. O ile unoszące musi być wspomnienie dawnej świetności, o tyle bolesna jest pustka, która po niej nastąpiła. Wielkie Księstwo Litewskie powiewa nad tymi rozmowami, ale pozostaje nieuchwytnie. Nie sposób dotknąć tego, co trwało setki lat i się skończyło. Można więc tylko cytować fragmenty tekstów, podawać daty, rysować diagramy. Ostatecznie pozostaje cień jakiejś formy, zbyt odległej, żeby dała się oswoić. Zamiast dawnej obecności, dobrej lub nie, są tylko mury bez dachów, ściany bez okien. Butelki po wódce, osmalony garnek; miejsce, w którym niedawno palono ognisko, beznamietne spojrzenia ludzi kręcących się wokół swoich domków.

Może tylko wspomnienie o Michaile Murawjowie jest żywe, bo niesie w sobie krew. Wysłany przez cara do Wilna z zadaniem ugaszenia powstania styczniowego modlił się do obrazu świętego Michała, który przesłał mu metropolita Filaret z Moskwy. Metropolita dołączył jeszcze list ze słowami współczucia, zapewniał również, że Cerkiew, podobnie jak i Rosja, są mu wdzięczne za podjęcie misji. Filaret życzył mu, by Pan Zastępów spełnił dzieło prawdy i dzieło pokoju.

Murawjow wiedział, czego się podejmuje. Lokalna władza właściwie nie istniała: urzędnicy uciekli albo zostali zabici; wojska pozostawały w miastach, wsie i osady pozostawały w rękach polskich powstańców. Sześć guberni ogarnął bunt, trudno było nawet powiedzieć, co się w nich dzieje, carskie oddziały bały się ruszać w teren. W dniu wyjazdu z Petersburga Murawjow modlił się w soborze Kazańskim; całą nadzieję pokładał w Bogu. Bał się: w Petersburgu, gdzie zostawiał rodzinę, nie miał

nikogo, komu można było zaufać; w kraju, do którego się udawał, nic dobrego nie miało go spotkać.

Po wstępnym rekonesansie, zamiast zapełniać więzienia, postanowił zastraszyć powstańców – w tym celu kazał powiesić dwóch księży. Wieczorem, podsumowując pracowity dzień, napisał, że ludzie nie wierzyli, że się na to zdobędzie. Miał rację, od teraz zaczęli go nazywać *wieszatелеm*. W kolejnym kroku odbił prowincje. Ściągnął dodatkowe siły, tereny objęte powstaniem patrolowało teraz dwieście tysięcy carskich żołnierzy. Carscy oficerowie byli dla chłopów jak przybysze z innej planety. Z wysokości swoich koni, w bieli, czerwieni i złocie mówili: każda wieś, która ukrywać będzie powstańców, zostanie wybita. Wybita miała być również każda wieś, która nie doniesie, że w okolicy kryją się powstańcy. Nawet jeśli wieś o ich kryjówkach nie wiedziała. Potem żołnierze wypychali przed siebie kilku umęczonych inteligentów z zakrwawionymi twarzami. Chłopi rozpoznawali dawnych panów – Polaków. Potem strzelali i jechali dalej.

Płonęły dwory i kościoły. Całe wsie równano z ziemią, palono domy, które zmieniały się w sterty osmalonych belek. Jakiś czas później tylko pojedyncze owocowe drzewa w lesie świadczyły o tym, że było tu życie. Jeszcze później – te niebieskie kwiaty, które pokazywała Tatiana. W ściółce widać proste linie kamiennych fundamentów zatopione w mchu i liściach. Ci, którzy nie zginęli, byli wywożeni na Sybir. Majątki dzielono między dawnych pańszczyźnianych niewolników. Carat dekretem zmniejszył pańszczyznę chłopom i obniżył cenę ziemi, za jaką można ją było kupić, pozwolił również wypasać bydło na dawnych polach właścicieli ziemskich i w lasach. I jeszcze jedno: chcąc pozbawić powstańców masowego wsparcia, car wydał ukaz, który w zachodniej i środkowej Białorusi zniósł wszelkie obowiązki wobec panów. Dalsze wykorzenianie ducha oporu wydawało się zbyteczne. Białoruscy chłopi przyjęli zamieszanie związane z powstaniem jako ulgę w ich ciężkim żywocie.

To właśnie wtedy, według Timothy'ego Snydera, autora *Rekonstrukcji narodów*, w momencie, gdy polska szlachta zbuntowała się przeciw władzy

rosyjskiej w 1863 roku, a Imperium zaczęło zwalczać polską dominację na swoich zachodnich terytoriach, pojawił się pierwszy ślad idei białoruskiej.

Według Tatiany jednak, żeby zrozumieć Białoruś, trzeba sięgnąć znacznie głębiej.

Na Rugii – opowiada – dziś niemieckiej wyspie – kiedyś wznosiła się pogańska świątynia nazywana Arkoną. Dla pogan było to centralne miejsce kultu – takie słowiańskie Delfy. Przez stulecia kapłani strzegli tam świętego ognia, palonego przed figurą Świętowita. W 1168 roku duński król Waldemar zdobył Arkonę, posąg Świętowita obwiązano sznurami i przewrócono. O odbudowie świętego miejsca nie było mowy, po ataku Duńczyków rozpoczęła się chrystianizacja. Kapłani z Arkony uciekli przed chrześcijańskimi krzyżami na wschód. Schronili się w Połocku. Tam, na wzgórzu nad Dźwiną, zbudowali swoją świątynię. Przez krótki czas w Połocku poganie współistnieli z chrześcijanami, ale jak to zawsze bywa między wyznawcami różnych wierzeń, zaczęły się konflikty. Zmuszeni do ucieczki, kapłani zdecydowali się przenieść ośrodek kultu w rejon Nowogródka, nad jezioro Świteż, które miało dla nich mistyczne znaczenie. Kiedyś stała na nim pogańska świątynia. Trudno powiedzieć, jak wyglądała, prawdopodobnie była symboliczną bramą wystającą z tafli wody.

– Rozumiesz? – pyta Tatiana. – Ostatni z pogan schronili się nad Świtezią. Kilka lat temu wynajęłam płetwonurków, którzy wykonali podwodne zdjęcia. Z tego, co udało się ustalić, wiadomo, że od brzegu szło się po kamiennej ścieżce ułożonej na dnie jeziora. O jej istnieniu wiedzieli tylko wtajemniczeni. Kiedy dno jeziora opadało głębiej, pojawiały się pale, po których prawdopodobnie można było dojść do bramy. Stała na podwodnym wzniesieniu, płetwonurkowie je sfilmowali, mniej więcej w jednej trzeciej długości zbiornika.

Widziałem ten film: bulgot z reduktorów, silikonowe maski, ruchy płetw podrzucające w mętnej wodzie drobiny mułu.

– Dokąd prowadziła ta brama?

Tatiana zawiesza głos, a po chwili odzywa się:

– Wielu mówi, że Białorusini pochodzą od Krywiczów. W słowie Krywia kryje się słowo „krzywy”. Wiesz dlaczego? Świętowit w Arkonie miał w dłoniach róg. Zakrzywiony róg, stąd Krywicze. Od krzywego rogu. I jeszcze jedno. Wiesz, co było świętym zwierzęciem w Arkonie? Biały koń. Taki, jakiego mamy w naszym starym herbie: jedzie na nim rycerz. Nazwa herbu to Pogoń. Od pogan. Nasze godło to transformacja arkońskiego konia.

Innym razem Tatiana opowiada:

– Na ulicy podeszła do mnie stara szeptucha. Pomimo śniegu zalegającego na chodnikach była boso.

Chwyciła ją za rękę, coś sobie powiedziały. Było to coś ważnego, jakieś sformułowanie, które potrafi zmienić cudze życie. Od tamtej chwili obie kobiety spięły się niewidzialnym łańcuchem, trwały w nim tak długo, aż zdaniem szeptuchy Tatiana była gotowa na inicjację. Tatiana nie chce o tym za wiele opowiadać, zresztą tak jak o tych pierwszych słowach, mówi tylko, że Świteż ma dla niej kluczowe znaczenie. Jako właśnie narodzona do życia czarownica pływała nocą po jeziorze. Leżąc w całkowitej ciszy, mając pod sobą ukryte resztki pogańskiej bramy kosmicznej, patrzyła w gwiazdy.

Nie wiem, ile jest prawdy w jej opowieściach o arkońskim koniu i kapłanach nad Świtezią. To, co opowiadała, było piękne. Nawet jeśli musiała to wszystko wymyślić, żeby będąc pozbawioną prawdziwego miejsca na ziemi, ratować siebie.

## Koliste sprawy

Spółeczeństwo Zachodu w początku xx stulecia wyrosło z wieku cudów – pisze Michael Howard, opisując czas poprzedzający wybuch I wojny światowej. Na Białorusi, która – wydaje się – z wieku cudów nigdy nie wyrosła, wojsko pewnego dnia pojawiło się na wschodzie. Wiadomo było, że w Sarajewie zginął Franciszek Ferdynand, ponoć Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii. Kiedy krótko po tych plotkach pojawiła się armia rosyjska, białoruskie wsie i miasteczka okazały się spichlerzami, które należało ogołocić. Armia zabierała wszystko, co przydatne: przedmioty codziennego użytku, konie, zwierzęta domowe. Nie oszczędzano mężczyzn; zostali wcieleni do posuwającej się na zachód masy. Kiedy po całym dniu marszu żołnierze zasypiali, zwerbowani po drodze chłopcy kopali umocnienia. Losy wojny szybko się jednak odwróciły. Latem 1915 roku ofensywa Niemców zmusiła Rosjan do wycofania się, a będąc w odwrocie, armia rosyjska niszczyła wszystko. Płonęły wsie i pola uprawne, na które za trzy tygodnie chłopcy mieli wyjść z sierpami. Armia paliła i kolejny raz zabierała ze sobą życie: kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn zostało wcielonych w jej szeregi. Dodatkowo działała propaganda: panował wszechobecny strach, że przyjdą Niemcy, a z nimi terror na niewyobrażalną skalę. Prym wiedli prawosławni duchowni – objawili spektrum piekielnych wizji, jakie najeźdźcy zgotują Białorusinom. Półtora miliona obywateli ruszyło na wschód. Ich wspomnienia są przerażająco identyczne: troska, co zabrać z domu, jak się spakować, opisy podróży – etapy pokonane bryczką, pociągiem, piechotą, zmieniające się nazwy wsi rosyjskich. Ci, którzy dotarli do upalnych rejonów Rosji, zapadali na choroby układu pokarmowego. Ci, którzy trafiali na północ, głodowali, marzli, mieszkali w wydrążonych zgrabiałymi dłońmi ziemiankach.

Ludzie, którzy zostali, mierzyli się z Kozakami. Ich oddziały, podpalając domy, chciały zmusić najwytrwalszych do ucieczki. Trzymający się domów ludzie byli świadkami starcia dwóch potężnych armii: Rosji i Niemiec,

które przyczajone utworzyły linię frontu dzielącą Białoruś na część wschodnią i zachodnią. Dwa i pół miliona żołnierzy przez dwa lata żyło w okopach, wykorzystując okolicznych mieszkańców jako siłę roboczą. Z samego regionu guberni mińskiej, mohylewskiej i witebskiej do armii carskiej powołano ponad sześćset tysięcy mężczyzn. Ich majątki przejęto. Zabierano nawet konie: pól nie było jak uprawiać, więc szybko zaczęło brakować żywności. Wycieńczeni deszczem i zimnem ludzie śpiący w prowizorycznych osadach padali ofiarami epidemii.

Prawdziwy dramat zaczął się jednak po powrocie. Wsie wyglądały jak zbiorowisko ledwo żywych rodzin w spalonych obejściach. Bez mężczyzn zdolnych do pracy, pośród pól zamienionych na nieużytki.

W tłumie uchodźców znalazła się Eufrozyna. Trumnę niosły zakonnice z połockiego monasteru.

Exodus na wschód nazywa się bieżeństwem.

Całe pokolenia wychowane zostały w legendzie bieżeństwa. Wydaje się, że zrozumienie tego fenomenu byłoby wytrychem do zrozumienia Białorusina. Bieżeństwo nie ma odpowiedników. Ten wielki marsz ludzi, którzy w zachodniej części kraju zostawili wszystko, żeby ocalić siebie, zamienił się w zbiorową traumę, być może najbardziej wiążącą naród. Ale istotą bieżeństwa nie jest ucieczka. Istotą bieżeństwa jest powrót.

Skala zniszczeń całkowicie zmieniła tych, którzy wrócili. Tradycja umarła, bo umarli więzi sąsiedzkie. To w niej ukryte są elementy dawnej układanki, która niegdyś wypełniała i nadawała sens trwaniu.

W jednym ze sklepów z kiczowatymi ludowymi lalkami i flagami, całym tym majdanem, którym chlubi się współczesna Białoruś, pomiędzy gablotami z wyszywanymi chodnikami przypominającymi dawną białoruską ornamentykę, pod sufitem wiszą wiązane w koliste kształty słomiane formy. Nie przypominają nic znanego, być może najbardziej bliskie im są łapacze snów: te plecione kółka z piórami, które ponoć mają moc odganiania koszmarów. Sprzedawczyni, młoda dziewczyna przez cały czas spoglądająca w telefon komórkowy, mówi, że są to ozdoby do domu – wieszają się pod sufitem. To „pajaki”, ozdoby charakterystyczne dla

społeczności rolniczych. Mają symbolizować to, co wydaje się nienaruszalne: cykl roku, cykl narodzin i śmierci. Ich koliste formy są symbolicznym potwierdzeniem wielkiego porządku, który miał nigdy nie ustąpić i powtarzać się bez końca. Pająk ma to samo znaczenie, co święte jeziora: cykliczność, trwanie, wielkie odrodzenie.

Archeolog Uładzimir Łobacz pisze jednak, że określanie jezior jako „świętych” nie do końca precyzuje ich istotę. Nie są święte w rozumieniu chrześcijańskim. Bardziej pasowałoby określenie „mistyczne”, w sensie pogańskim. Analizując mapę Białorusi, widzimy, że największa koncentracja takich jezior znajduje się w rejonie Połocka, Lepeli i Bieszenkowicz. Ziemie te niegdyś były centrum świata Krywiczów. Niektórzy naukowcy łączą te punkty z obecnością pogańskich miejsc kultu, świątyń lub miejsc pochówku z czasów przedchrześcijańskich. Większość jezior, o których mowa, to niewielkie zbiorniki, zwykle koliste. Koło jako symbol powtarzalności i odrodzenia, wędrówki duszy i powrotu było kluczowym elementem dla pogańskich kultów. Pierwsze miejsca kultu wyznaczano właśnie na planie koła. Przedchrześcijańskie grupy mogły traktować te małe jeziora jako swoje oko albo okno, które pozwala spojrzeć poza linearną strukturę czasu i zobaczyć w nim przyszłość. W folklorze pozostały – twierdzi Łobacz – echa zderzenia przyniesionego na te ziemie chrześcijaństwa z kultami pogańskimi: siły zewnętrznej i wyższej z siłą lokalną i słabszą. Konflikt, jaki powstał, znalazł odzwierciedlenie właśnie w kulcie jezior. Jeziora stały się uosobieniem przeszłości.

Chrześcijaństwo, które pojawiło się na Białorusi, narzuciło tym zbiornikom nowe znaczenie. Misjonarze, a potem księża, widząc, że ich starania mają małą skuteczność, obmyślili plan. Ludzie, którzy chodzili nad wodę oddawać cześć siłom kosmicznym, dowiedzieli się, że kiedyś w miejscu jeziora stał kościół albo wieś, która została ukarana za nieposłuszeństwo. Tak w podaniach zaczął pojawiać się motyw kościoła zapadającego się pod wodę. Starzy ludzie ze wsi Simakowo wspominają kościół pod wezwaniem Jana Chrzciciela, który pewnego dnia zniknął, a w jego miejscu pojawiła się woda. W okolicach Czaśnik stał kościół, koło

którego każdego dnia przechodzili ludzie w drodze do pracy. Pewnej niedzieli szli tamtędy na sianokosy. Kiedy wracali, kościoła już nie było. Była to kara za pracę w dzień święty. Czasem wystarczyło rzucić klątwę. Koło wsi Mikulina nieopodal Połocka pewna kobieta poszła do kościoła, stanęła przed nim i powiedziała: „przeklinam cię”. Kościół zniknął. Od tamtego czasu z wody, która się pojawiła, wydobywa się dźwięk bijących dzwonów. Czasem taki dzwon udaje się wyciągnąć na brzeg. Nieopodal wsi Trudy koło Połocka mężczyzna łowiący ryby wyciągnął dzwon. Powiedział: o, za taki dzwon dostanę mnóstwo tytoniu. Dzwon jednak wyślizgnął mu się z ręki i zniknął w głębinach. W pewnej wsi, w której ludzie nie chcieli przejść na chrześcijaństwo, starzec wbił kij w ziemię i z ziemi wystrzeliła woda, zamieniając całą dolinę w jezioro.

Ci, którzy nie zaakceptowali narzuconych nowych norm – mówi zupełnie nowy mit – zostali pochłonięci.

## Milicjanci i święcona woda

Wieczorem śródmieście Mińska wydaje się puste. Pojedyncze postacie nie pasują do formatu monumentalnych budynków. Na przedmieściach właściciele samochodów z głuchym hukiem zamykają blaszane garaże. W cerkwi pop w drucianych okularkach posuwa się wśród wiernych, trzymając kadzielnicę. Skupiony, ma inteligentny wyraz twarzy; patrząc na niego, trudno uwierzyć, że ludzie obawiający się Rosji i jej nieustannego apetytu na Białoruś twierdzą, że Cerkiew jest zamaskowaną delegaturą FSB. Wierni klękają, pochylają głowy. Kilka świec rozświetla ciemność, wszystko tonie w gęstym białym dymie.

Na placu, na wprost drzwi cerkwi, stoi cysterna. Wokół niej setki małych czarnych punkcików: wielka kolejka do święconej wody. Z boku cysterny wychodzi rura z systemem kranów. Sznur ludzi ciągnie się, zakręca, ginie w ciemności. Wierni są spokojni, nie dyskutują, cała kolejka sprawia wrażenie przygotowanej na kilkugodzinne oczekiwanie – wiadomo, żeby otrzymać świętą wodę, trzeba wystać swoje. Ludziom powiedziano, że woda ma moc, prawdopodobnie nad cysterną odprawiono modlitwę. Magia jednak działa. Kiedy już ktoś dojdzie do kranu, stawia zbiorniki na ziemi i odkręca wodę. Robi to z namaszczeniem. Są więc torby, słoiki, butelki, termosy i łaska, która przywędrowała spoza granic realnego. Ta łaska trafia do praktycznych pojemników. Potem jeszcze człowiek kładzie ją sobie na czole i na ustach. Pomimo tylu ludzi panuje cisza. Placu, który łagodnie opada w kierunku koryta Niamihy, pilnują mundurowi. Są niemal niewidoczni. Po dwóch, trzech, w niewielkich grupkach. Coś mówią do krótkofalówek, czujnie się rozglądają. Wróg nie śpi. Jego tożsamość pozostaje ukryta, co kilka lat za sprawą decyzji politycznych zmienia swoje położenie, raz jest na Wschodzie, raz na Zachodzie. Trzeba czujności, zbyt dużo ludzi wyszło z domów po wodę święconą. W powietrzu unosi się obawa. Może dojść do zamachu.

Na komisariacie młodzi i wychudzeni milicjanci siedzą za kuloodporną szybą. Mundury, które otrzymali z przydziału, są na nich za duże, wiszą na chudych ramionach. Mają ogolone głowy, z ogromnymi pagonami wyglądają komicznie: dzieci, które się przebrały w stroje dorosłych. Milicja to dobry adres dla ludzi poszukujących stabilnej pracy za w miarę przyzwoite pieniądze. Pewnie są to chłopcy z jakiejś wsi, którzy w mińskim komisariacie rozpoczęli wspinanie się po szczeblach. Chyba im ta praca odpowiada, są życzliwi, uśmiechają się znad papierów, znad zeszytu, w którym zapisują nazwiska kolejnych wchodzących. Pewnego dnia te pagony dostaną kolejne belki. Ale jeszcze nie teraz, jeszcze trzeba odczekać kilka lat. Słuchać przez pancerną szybę i odpowiadać. Szyba kuloodporna, więc każde zdanie należy powtarzać dwa razy. Meldunek o tymczasowym pobycie? Nie można. Dlaczego? Jak? Mówią, że nie można.

Młody milicjant idzie gdzieś z dokumentami. Drugi każe się cofnąć i czekać pod ścianą. Na płaskim, nowoczesnym telewizorze, który wisi na ścianie pokrytej boazerią, scena po scenie pokazane są rozbite samochody, krew na chodnikach i pokiereszowane ciała. To film propagandowy białoruskiej milicji albo materiał o zasadach zachowania na drodze. Konkluzja wydaje się jasna: ktoś panuje nad tym całym bajzłem. O nic się nie martw, pamiętaj, żeby jeździć zgodnie z przepisami. Materiał nie pozostawia wątpliwości: bez milicjanta zginiesz.

Do holu komisariatu co pewien czas wchodzi petenci. Powoli, bojaźliwie, kłaniają się i rozglądają, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Trafiają na tych dwóch szczyłów w za dużych mundurach i rzucają się do okienka. Ktoś ukradł mi wycieraczkę, panie władzo, panie władzo, chcę odwiedzić syna w więzieniu. Ale kiedy ten chudzielec w źle dobranym mundurze zobaczy po drugiej stronie szyby petenta, zmienia się. Patrzy spode łba, nie odpowiada na pytania, coś pisze. Zamiast mówić, wydaje komendy. Stopień w jakiejkolwiek strukturze siłowej albo administracyjnej czyni z człowieka półboga. Nawet jeśli wygląda w swoich insygniach władzy – tym za dużym mundurze – żałośnie.

Drugi typ ludzi wchodzących na komisariat to faceci w skórzanych kurtkach. Włazą szeroko, pchają drzwi mocnym gestem, idą pewnie gdzieś

przed siebie. Każdy z nich wygląda tak, jakby pod kurtką nosił pistolet. Sporo ich jak na osiedlowy posterunek.

Na płaskim telewizorze relacja z wypadku drogowego. Reporter mówi do kamery, ale kamera węszy i szuka czegoś za reporterem, omija go, podchodzi do wraku samochodu. Z pogiętej blachy, tam gdzie kiedyś był przód auta, wystaje ręka. Leniwym gestem próbuje się chwycić czegoś, czego nie ma.

Dwie godziny wcześniej błądziłem po ulicy tak szerokiej, że kierowcy, wysadzając pasażerów, nawet nie zjeżdżali na pobocze. Tłum ludzi na przystanku autobusowym patrzył przed siebie. W kiosku poprosiłem o miejscową gazetę lifestylową, ale żadnej nie było. Tylko wydawnictwa z Rosji. W gazecie reklamy rosyjskich produktów i celebryci z Moskwy. W sumie nic dziwnego: telewizja moskiewska, posługując się tym samym językiem, oferuje o wiele większe atrakcje niż telewizja z Mińska – siermiężnego miasta będącego stolicą niewielkiego kraju na obrzeżach imperium. Imperium być może słabego, z pewnością nie takiego, jak wtedy, gdy w Mińsku produkowało się legendarne lodówki Minsk, ale jednak nadal imperium. Zresztą, jakkolwiek Rosja byłaby słaba, i tak jest wielka. Zaczyna się zaraz za przejściem granicznym Krasnaja Gorka, a kończy gdzieś koło japońskich wysp. Z całej tej potężnej krainy do moskiewskich programów telewizyjnych idą modelki i aktorki, piłkarze i zwykli „ciekawi” ludzie. Rosja to gigant w porównaniu z niewielką Białorusią, programy są po prostu ciekawsze. Właściwie nie mają konkurencji.

W tych rosyjskich gazetach, tak jak i telewizji, można znaleźć historie z prawdziwego życia. Życia wielkiego jak cały kontynent. W jednym czasopiśmie było zdjęcie kobiety z węzem na szyi, stała w wyzywającej pozie w jakimś apartamencie, na innym czerwone ferrari na moskiewskich blachach, należące do jakiegoś sportowca albo aktora. Jeszcze jakiś bankiet, za którego oknami widać było Kreml. Kreml nocą to cud kolorów i iluminacji. Nie może się nie podobać. Spytałem, czy nie ma gazet o życiu z Mińska. Nie było. Były bilety na autobus.

Potem wszedłem do sklepu mięsnego, pytając o drogę. Tu było lepiej. Stały tam kobiety, żywe i piękne, przysadziste, zmarszczone łękiem

i świadomością, które raz na jakiś czas spotykają się niby przypadkiem i gadają. Kiedy jedna mówi, inne słuchają, a kiedy tamta kończy, znów inna zaczyna. Wyglądały jak z rzeźb Ernsta Barlach: ekspresyjne w swojej tężyźnie, gadały o cenie kapusty, dzieciach, jajnikach i sąsiedzkich sprawach. Matki, które mówią synom, czy dziewczyna będzie odpowiednia, żarliwie modlące się w cerkwi o ciepłą, bezpieczną posadę, budzone w nocy złym przeczuciem. Chciałem zapytać o drogę, ale odpuściłem, usłyszawszy, o czym rozmawiają. To było coś o ślubie. Ślub to wyrwa w przestrzeni: moment świętej radości. Widziałem kiedyś taki ślub, chyba jedyny na Białorusi. To było zimą. Młoda para wyszła przed urząd, było ze dwadzieścia stopni mrozu. Goście składali im życzenia, dziewczyna w miniówce i białej koszuli chodziła z tacą kieliszków, potem któryś z weselników zapalił niewielką świeczkę i w ciszy, która zapadła, rozprostował błękitny papierowy lampion. Taki chiński. Goście w milczeniu czekali, aż się uniesie, w końcu podleciał na tyle, że ludzie zaczęli bić brawo. Wisiał na tle stalowego nieba, drogą posuwały się samochody i miejski autobus. Naprawdę, nie było w tym autobusie nikogo, kto tamtego dnia się nie uśmiechnął, choćby w duszy, na widok tego papierowego klosza. Lampion szedł w górę, udowadniając fizyce, że wzniesie się tak wysoko, aż na niebie stanie się tylko punktem. Ale krótko to trwało. W mrozie, w niesprzyjającym dla lampionów otoczeniu uniósł się na trzy metry, zakołysał się przez chwilę, nie wiedząc, czy spaść, czy jeszcze spróbować wzlecieć. W końcu się poddał i osunął.

## Stalowe światło

Procedura jest prosta: żeby znaleźć dom, trzeba jeździć po wsiach i patrzeć. Dom łatwo dostrzec: okna ma ciemne, obejście zaniedbane. Od razu wiadomo, że został porzucony albo ktoś go trzyma „na wszelki wypadek”. Być może dawny właściciel wróci, ale raczej w ostateczności. Opuszczonych chat są tysiące, wybór jest spory.

Właściciel tego domu pracuje jako operator kamery, obsługuje widowiska sportowe. To dobra praca: jeździ po całym świecie z hokejową reprezentacją Białorusi, potem wraca do swojego domu na wsi z dala od Mińska, w którym ma jeszcze mieszkanie. Na wsi czuje się najlepiej: dom z kwiecistymi tapetami, małą, zagraconą kuchnią i jedną izbą z rozpadającym się piecem wydaje się po światowych podróżach rajem. Przez cały czas łązi w bluzie białoruskiej reprezentacji, jego rumiana, dobrotliwa twarz emanuje jakąś głęboką, niczym nieskażoną radością.

Zatrzymuję się u niego na noc, pijemy wódkę, stojąc w kuchni tak brudnej, że z trudem można znaleźć miejsce na postawienie talerza. Zresztą czystych naczyń nie ma. Kredens oblepiony odchodami much, zioła zwisające spod sufitu, brudne naczynia piętrzą się w misce. Żeby je umyć, trzeba przynieść wody i wlać do zbiornika z niewielkim zaworem. Zawór wykonany jest w formie klina: wystarczy unieść go ręką trzymającą naczynie, woda się leje; kiedy tylko ręka opada, zawór się zamyka.

Dzień później zabiera mnie do sąsiedniej wsi i pokazuje kolejną chatę, którą kupił. Jest podobna. Stoi na wzgórzu, z drogi idzie się do niej podmokłą łąką: buty grzęzną z nieprzyjemnym chlupotem w miękkich płowych trawach, bo ze wzgórza wypływa strumień. W środku chaty jest pusto. Żadnych mebli, tylko pojedyncze porzucone przedmioty. Jakaś makatka, połamane krzesło, stary siennik. W szafie sarta dokumentów: kołchozowe zeszyty z tabelami, zapisane ładnym, starannym pismem, kilka legitymacji w czerwonej oprawie. Są też zdjęcia. Szperam przez chwilę w szafie, wybierając kilka, potem układam na stole i robię im zdjęcie. Nie

chcę zabierać tych fotografii, choć mówi, że mogę. Wolę zrobić zdjęcie – przyjechaliśmy na chwilę, nie ma czasu i możliwości ich spokojnego obejrzenia.

Zdjęcie pierwsze: ściana drewnianej chaty. Kobieta i mężczyzna. Kobieta w chuście na głowie ma półuśmiech na twarzy. Biała chusta ciasno okala jej twarz i spada dwoma końcami na marynarkę w odcieniu spódnicy. Ręka na podołku. Mężczyzna o pulchnej twarzy ma na sobie polowy mundur czerwonoarmisty. Między nimi dziewczynka. Grymas strachu albo niechęci wykrzywia jej twarz, czapka z uszkami kota, a może kokarda, nie wiadomo, podkreśla tylko strach przed fotografem. Ręka ojca obejmuje ją w pasie, mężczyzna pewnie patrzy w obiektyw.

Zdjęcie drugie: dziewczynka stoi sama. Ma trzy lata, może cztery. Wełniana czapka ze śnieżynką na czole. Naburmuszona mina. Tło ciemne, dziecko trzyma w drobnych dłoniach jakąś zabawkę.

Zdjęcie trzecie: kobieta w sukience w kwiaty i mężczyzna. Przytuleni do siebie, ona szczęśliwa, uśmiecha się. Zdjęcie musiało być zrobione w jakimś miejscu publicznym – za nimi nieczytelny plakat.

Na innym widać, że życie tej kobiety się kończy. Stoi w czarnym płaszczu odsłaniającym nogi w półbutach. Na głowie jasna chusta. Za nimi drzewo i fragment ściany wiejskiego domu. Twarz w zmarszczkach.

W końcu leży w trumnie. Otacza ją jedenaście osób. Garnitury, kwieciste sukienki. Ludzie stoją ze spuszczonymi rękami i patrzą na ciało. Smutni, wydają się przytłoczeni nauką, jaką właśnie dostali.

Kiedy po oględzinach opuszczonej chaty wracamy do jego domu, ciągnie mnie jeszcze do ogrodu. Ogród to może za dużo powiedziane: trochę materiałów budowlanych przygotowanych do zbliżającego się remontu i latryna w głębi, za warzywniakiem. Przed wejściem duże drzewo owocowe. Prowadzi pod jego rozłożystą koronę, pokazuje kamień. Wykopał go z ziemi zupełnie przypadkiem. Kamień wydaje się zwykły, może tylko prosty, równomierny kształt na jednym z boków przyciąga uwagę. Ma pewność: na kamieniu Matka Boska zostawiła ślad ręki. Według mnie dłoń musiała należeć raczej do kosmity: paluchy za chude i za małe jak na dłoń ludzką. Nie zwraca uwagi na nieścisłości. Mówi: święty

kamień, nigdy go nie oddam. Klęka i przytula twarz trochę ze śmiechem, trochę jednak z miłością.

Matka Boska zostawiła więcej takich znaków. Na pewnym cmentarzu w wielkim głazie odkryto ślad stopy. Zagłębienie faktycznie przypomina stopę. Ale znów – małą jak u dziecka. Ludzie przychodzą na cmentarz do swoich zmarłych, wydaje się, że rozumieją, jak się sprawy mają, ale kładą koło tej stopy banknoty. Dociskają je kamieniem, tak jakby istniało niebezpieczeństwo, że jeśli zwieje je wiatr, Matka Boska czy kto tam inny, kto stał na tym kamieniu, tych banknotów nie znajdzie. Da się wyczuć jakiś wspólny mianownik w tym wszystkim – strach. Wszystkie kultury i pragnienia sprowadzają się do jednego: niech coś lub ktoś w końcu przyjdzie i rozgoni mrok. Niech w końcu stanie się światło.

Światło pewnie nie przyjdzie. Nie rozgoni mroku, rzeczywistość nie stanie się mitologiczną krainą powszechnej szczęśliwości. Pozostaje więc trzymać się razem. Tylko tak przetrwamy – mówi oficjalna doktryna. Jest w tym pragnienie wspólnoty, która wciąż nie jest w stanie zaistnieć, jest również zakamuflowany lęk przed utratą władzy. Wezwanie do budowania wspólnoty trafia nawet na billboardy, na których na tle jezior albo kwiatów, zawsze dużymi literami, widnieje wielki napis: „Razem jesteśmy Białorusią”. Z daleka ekrany przypominają reklamę usług albo wycieczek organizowanych przez biura turystyczne. Nikogo nie dziwią. Od dawna są częścią przestrzeni każdego miasta, czasem widać je gdzieś pośród pól przy głównych drogach. Być może Białoruś to jedyne państwo na świecie, które musi przypominać mieszkańcom, kim tak naprawdę są.

Konieczność przypominania o tym, co powinno być oczywiste, znajduje swoje odzwierciedlenie w socjologii. W marcu 1991 roku zadano ludziom pytanie: za kogo się uważasz? Za obywatela ZSRR czy obywatela republiki białoruskiej? Odpowiedź była bolesna. Prawie siedemdziesiąt procent pytanych powiedziało, że czuje się obywatelami ZSRR. Socjologowie byli zdumieni. W żadnym innej republice odsetek obywateli uznających się za Sowieców nie był taki wysoki. Co ciekawe: nawet Rosjanie zamieszkujący związkowe kraje nie byli tacy prosowieccy.

Aby ułatwić obywatelom współpracę z KGB, w 1996 roku uruchomiony został telefon zaufania. Od tej chwili każdy obywatel mógł zadzwonić i opowiedzieć o groźbach skierowanych pod jego adresem albo, na co liczyły służby, o podejrzanych faktach, które pomogą zwalczać przestępczość. W tym samym roku prezydent zwołał naradę przy drzwiach zamkniętych, na której postanowił omówić sposób przeprowadzania egzaminów wstępnych na studia wyższe. Nadzór miał wyeliminować przypadki wręczania łapówek, przy okazji kontrolowane miały być oceny wystawiane przez komisje egzaminacyjne. Zagraniczni komentatorzy stwierdzili, że egzaminy do szkół wyższych były dotychczas jedyną dziedziną życia społecznego niepodlegającą prezydenckiej kontroli. A tydzień później, zgodnie ze swoją wcześniejszą zapowiedzią, prezydent za pośrednictwem radia i telewizji podyktował tematy prac egzaminacyjnych w całym kraju.

To chyba specyfika każdej autorytarnej władzy. Rozdawać dyrektywy tak skutecznie, by każdy obszar życia został uregulowany. Wielki mit o zarządzaniu całą strukturą z jednego miejsca ma na Białorusi długą tradycję. To właśnie tu, w Krzyczewie – majątku, który Katarzyna II po rozbiore Polski przekazała Potiomkinowi, wybudowano prototypowy obiekt, który miał usprawnić nadzór nad niewykwalifikowaną siłą roboczą. Zaprojektowany przez Samuela Benthama, pozwalał minimalnym nakładem kosztów, przy wykorzystaniu jak najmniejszej liczby ludzi kontrolować pańszczyźnianych chłopów skierowanych do przymusowej pracy. Potiomkin Benthama sprowadził z Anglii; jego zadaniem było przeniesienie na grunt carskiej Rosji angielskich metod zarządzania pracą. W Krzyczewie odwiedził go brat, Jeremy. Zainspirowany wynalazkiem opracował ideę więzienia doskonałego – panoptikonu – w którym „ten jedyny” widzi i zarządza wszystkimi więźniami.

Ikonopisiec znalazł swój dom, ale nie może sobie z nim poradzić. Stojący na odludziu dworek przykryty ciężką czapą dachu wymaga remontu. Godzinę temu przeszła ciężka ulewa, która zamieniła ciepły dzień w wilgotny półmrok z kroplami wody leniwie spadającymi z liści. Na

ogrodowych meblach stały kałuże wody. Ponad dachem, wysoko nad drzewami przewalały się pierzaste chmury, tak wyraźnie wyrysowane, że słońce, które tutaj nie dochodziło, tam na górze tworzyło jaskrawe, fantazyjne plamy.

Dom kiedyś należał do rodziny Wereszczaków, tej od Marylki, ukochanej Mickiewicza. Potężne sale, których przestrzenie mogłyby pomieścić setkę ludzi, są niemal puste, pachną wapnem i cementem. Ikonopisiec remontuje we własnym zakresie i powoli: kawałek po kawałku. Jego pokój to mała kanciapa z doprowadzonym światłem: żarówka zwisa na kablu. Przy pulpicie oparta o ścianę nieukończona ikona przedstawiająca Chrystusa, biurko zavalone przyborami malarskimi. Żadna cela mistyka. Prosta praca – kolejne nakładanie kolejnych warstw. O ikonopiscu pisali nawet ostatnio w jakimś bezpłatnym magazynie rozdawanym na pokładach samolotów. Jego twarz była obok reklam drogich zegarków, alkoholi, hoteli, które swoimi wnętrzami próbują udowodnić, że raj już nastał, ale trzeba za wejście słono zapłacić.

Reszta pokoi tonie w ciemności. Ikonopisiec i jego żona żyją w symbiozie z gmachem, do którego jednak ludzkim formatem nie pasują. Oswajają go na swój własny sposób: ona wyrabia obiekty z kłosów zbóż, ostatnio wykonała żubra. Zwierzę stoi na niewielkim postumencie, trudno docenić wysiłek, bo w sali, w której zgromadziła swoje prace, panuje ciemność i trzeba przyświecać sobie komórką. Poza tym na ścianach wiszą wykonane przez nią makaty: duża część zbiorów to stare ludowe narzędzia, które skupują po okolicy. Atmosfera trochę jak w muzeum etnograficznym w środku nocy. Gospodarze zniknęli, żeby trafić do kuchni, trzeba kluczyć, uważać, żeby nie wpaść na worki z cementem albo aluminiowe profile. W końcu pojawia się kuchnia, oni siedzą przy maleńkim stoliku zastawionym salaterkami z dżemem. Właściwie sytuacja patowa: nie mogą poradzić sobie z remontem, nikt im nie pomaga, nie mają środków, a Mińsk nie wspiera renowacji zabytku.

Chcę zapytać o jego pierwszą ikonę, ale tego nie robię. Dawniej pisanie ikon zaczynało się od aktu Przemienienia Pańskiego. Moment przeistoczenia człowieka w Boga był próbą zmierzenia się z istotą ikony:

ktoś, kto chce wejść na ścieżkę ikonopisca, musi zmierzyć się z tym najtrudniejszym obrazem. To mądre: ikona nie opiera się na kolorze, opiera się na świetle. Spróbuj namalować światło, które nie ma fizycznego źródła. Zaczynij od Przemienienia Pańskiego, a potem będzie już łatwo.

Można więc być w domu i sięgać dalej niż sięga ludzki wzrok. Wykończone wnętrze stanie się w końcu czymś więcej niż czterema ścianami, klomby zarosną kolorowym kwiatem, porządek zapanuje aż do granicy swojej ziemi, choćby przekazana była na własność tylko umownie. Wielu ludzi, chcąc tłumaczyć przywiązanie Białorusina do domu, przywołuje opowieść o Bogu, który zapomniał o tym narodzie. Kiedy skończył pracę i cała ziemia została urządzona, a każdy naród osadził się już na swoim kawałku, przyjął na audiencji miejscowych. Byli załamani brakiem swojego miejsca na ziemi, przyszli po pomoc. Bóg w tej bajce był dobry, oddał im swój dom, pola i lasy, w których planował zamieszkać na starość: dzisiejszą Białoruś. Ludzie zapuścili korzenie. Czasem wydaje się, że to właśnie oni są najbardziej stałym elementem świata. Wszystko dookoła przecież pływa: granice państw przesuwają się, władcy odchodzą i przychodzą, narzucane narracje rodzą się i tak samo szybko tracą swoje znaczenie. Nie ma co się przywiązywać do obietnic ani opowieści, słowa są puste i jako takie nie mają już większego znaczenia. Zmęczeni zmiennością skupiają się na sobie. I tak broniąc się, mówią: jesteśmy tutejsi i należymy do tego miejsca.

## Ruchome sklepy

Im bardziej na wschód, tym rytm krajobrazu wyznaczany przez wsie staje się łagodniejszy. Pojawiają się rzadziej, jazda robi się monotonna, nie da się myśleć inaczej o tym miejscu, jak o płaskiej, nigdy niekończącej się równinie. Po kilkunastu kilometrach równej jak blat szutrówki pojawia się fragment asfaltu i pierwsze czapy dachów. Spomiędzy drzew prześwitują pojedyncze domy, przystanek autobusowy, w oddali zardzewiałe silosy. Do Witebska trzeba jechać sto kilkadziesiąt kilometrów na północ, droga wydaje się z tego miejsca podróżą na koniec świata, nikt tam nie jeździ, bo nie ma po co. Za duży koszt i wysiłek.

Najpierw z oddali ponad drzewami dobiega bulgot silnika, potem nad polami unosi się tuman kurzu. Wieś już wie, wkrótce będzie go widzieć. W końcu zwalista bryła MAZ-a pojawia się między drzewami, kurz wiruje, a potem opada. Kierowca zaciąga ręczny i idzie na tył, otwiera ciężkie drzwi. Chleb, masło, kawałki zafoliowanego sera, mąka. Butelki wódki cicho pobrzękują w skrzynkach.

Wyłaniają się spomiędzy drewnianych domów. Zwykle starsi, zwykle z siatkami nylonowymi w ręce, ociążali. Mężczyźni w poplamionych marynarkach, kobiety w chustach na głowach, ktoś prowadzi rower. Kupują w milczeniu, stojąc jeden za drugim. Ustawiają się tak, żeby schować się w cieniu otwartych drzwi.

Pokażny atlas *Riespublika Białaruś*. Atlas, wykonany w skali jeden do dwóch milionów, odzwierciedla to małe skupisko domów z matematyczną precyzją. Nawet szutrowe dukty, które ciągną się kilometrami pośród pól, są wiernie odwzorowane. Być może kiedyś po tych wsiach pozostanie tylko ta mapa. Wciąż wydaje się to niemożliwe, choć w obliczu tego, co się tutaj działo: tych szaleństw, które dotykały milionów ludzi, można przyjąć, że wszystko się pewnie jeszcze powtórzy. Jeśli znikną, pozostanie po nich ten nieszczęsny atlas – jedyny sprawiedliwy narrator przeszłości, która należy do świata tajemnic. Przeszłość trzymana w cudzych rękach, zmieniana,

stała się z czasem takim samym narzędziem niszczenia, jak masowe mordy czy przesiedlanie.

Od wieków ciemni chłopci, łażąc po bagnach, trafiali na resztki starych belek i konstrukcji. Z pewnością wykonał je człowiek, ale chłopci nie mogli sobie wyobrazić tego, że w tym miejscu było kiedyś siedlisko. Widzieli fragmenty, które rok po roku się rozpadały, i mówili: tam był dom, ale zapadł się pod wodę. Relacjonując swój spływ Niemnem w poszukiwaniu resztek historii regionu Grodna, sprawę próbował wyjaśnić Zygmunt Gloger. Tak jak inni, trafił na resztki konstrukcji wystających z wody. Obecność czarnych pali – spróchniałych i pożartych przez wodę – tłumaczył logicznie, jak to etnograf. Jego zdaniem były to resztki starych grodów. Na podmokłych terenach Białorusi stawiano je na palach. Czasy były dzikie. Przez te ziemie przewalały się z prawa na lewo bandy obcych, wybijając całe osady, do których udało się dotrzeć. Nawodna konstrukcja chroniła przed najazdami: można było ukrywać się w błotnych ostępach. Z czasem spalone i rozkradzione siedliska opustoszały.

Mongołowie pojawili się na tych terenach nagle. Z daleka przypominali kropki. Gońcy zdający relację władcom południoworuskich stepów opowiadali o nich niesłychane rzeczy. Po miastach pozostały zgłiszczka. Kim byli najeźdźcy? Skąd przybyli? Władcy słuchali opowieści o potężnej armii. Armia weszła na ich ziemie, niszcząc wszystko, co napotkała na swojej drodze. W 1223 roku przerażeni Rusini zawiązali koalicję i wyszli w step, uprzedzając atak. Z początku wydawało się, że wystarczy iść za ciosem. Rusini ruszyli na wroga, który sprawiał wrażenie zaskoczonego. Nieprzywykli do współpracy kniaziowie popełniali jednak błędy. Historycy tłumaczą, że to brak doświadczenia. Po raz pierwszy, za sprawą Mongołów, działali razem. Po pierwszych porażkach zaczęli wycofywać się chaotycznie, pozostawiając na polu bitwy swoich towarzyszy. Potem okazało się, że walczyli z oddziałem zwiadowczym Czyngis-chana, liczącym zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Mongołowie wrócili w czternaście lat później. Riazan po sześciu dniach oblężenia padł, a zdobyty, stał się sceną masowych mordów. Pod nóż poszli władcy grodu,

potem żołnierze, na końcu wyróżniło zwykłych mieszkańców. Część puszczono wolno z bagażem tego, co widzieli: mieli być posłami dobrej nowiny. Trzy miesiące później i dwieście kilometrów dalej padła Moskwa; została doszczętnie spalona. Po niej przyszedł czas na Suzdal i Włodzimierz. Nowogród, do którego śmierć zbliżyła się wiosną, uratowały podmokłe lasy, nieprzebyte o tej porze roku, inna teza mówi, że miejscowi kupcy zapłacili wysoki okup, dzięki czemu miasto nie zostało zniszczone. Atrakcyjniejszy jest jednak ten wariant bagienny, w którym konna armia ugrzęzła na bagnach sto kilometrów od miasta. Zniechęcona ruszyła na południe, docierając do Polski, na Węgry i podchodząc aż pod Wiedeń. Przeszli południem – terenami dzisiejszej Ukrainy. Tak rozpoczęło się trzystuletnie panowanie Mongołów na ziemiach Rusi. Miasta dzisiejszej Białorusi przetrwały, ich bagna okazały się nie do przejścia.

Ludzie twierdzą, że Mongołowie wyznaczyli kształt władzy sprawowanej w Moskwie. Scentralizowanej i pełnej siły. Mówią: tutaj jednak nie dotarli, to nas odróżnia od Rosjan. Jesteśmy kimś zupełnie innym. Innym narodem.

Drzwi ruchomego sklepu zamykają się z hukiem. Przez chwilę z jego wnętrza słychać stukot układanych skrzynek, po chwili wszystko zagłusza ciężki bulgot diesla. Samochód rusza, kołysząc się, zostawia tumany kurzu. Schował się za domem, jeszcze gdzieś nad płotem widać stalową burłę maszyny i koniec. Już sklepu nie ma, zresztą ludzi też już nie ma. Kilku mężczyzn schowało się do wiaty autobusowej z wyjętymi oknami. Piją wódkę z butelki, podając ją sobie z ręki do ręki. Mamroczą, palą. Jest w tym coś z przygotowania do procesji albo ludowego obrzędu. Wychodzą w końcu porażeni spokojem, kołysząc się pod jego ciężarem. Ktoś, przysyłając ten sklep na głęboką prowincję, o nich jednak pamięta.

## Balon i helikopter

Na początku lat dziewięćdziesiątych czterdzieści procent Białorusinów żyło w skrajnej biedzie. Ale nawet ci, którym powodziło się lepiej, mieli problemy. Pensje, chociaż nie najgorsze, były wypłacane nieterminowo. W Brzeskiej Fabryce Maszyn Rolniczych spóźnienie wypłat sięgnęło pięciu miesięcy. Na wsiach wypłacano ludziom wynagrodzenie w naturze.

We wrześniu 1995 roku nad Białorusią pojawił się amerykański balon, biorący udział w Pucharze Gordona Bennetta. Wystartował ze Szwajcarii i poleciał na północny wschód. Organizatorzy informowali poszczególne kraje o imprezie: balon przeleciał nad Niemcami, Czechami, Słowacją i Polską, ale białoruska obrona przeciwlotnicza wysłała śmigłowiec, który go zestrzelił. Amerykanie zginęli. Białorusini tłumaczyli, że pomylili go z balonem metrologicznym. Przytomni pytali: ale jako to? Strzelać do balonu meteorologicznego?

Po roku rząd Białorusi przeprosił USA za zestrzelenie sportowców. Ówczesny rzecznik Białego Domu Mike McCurry poinformował, że wspólne śledztwo będzie kontynuowane, ale Ameryka nie może przyjąć przeprosin. „Czas zimnej wojny już dawno minęły. W całej sprawie chodziło o balon, a nie bombowiec” – powiedział.

Narodził się dowcip: Spada balon z dwoma Amerykanami na pole ziemniaków. Pasażerowie otrzepują się i próbują ustalić, gdzie są. Widzą w oddali dwie postacie klęczące w radlinie. Dziad i baba patrzą na kombinezony, słoneczne okulary i milczą.

Amerykanie: „Do you speak English?”.

Cisza.

„Sprechen Sie Deutsch?”

Cisza.

„Parlez-vous français?”

Cisza. Odchodzą. Baba wstaje z kolan i mówi: „Ty durak, ani słowa w obcym języku, trzeba było się uczyć języków w szkole, tobyś się

dogadał”.

A dziad do niej: „A im uczenie się pomogło?”.

Tuż po wypadku załoga helikoptera otrzymała zegarki z herbem Białorusi jako dowód czujnej służby. Mieszkańcy na miejsce, gdzie spadł balon, przytargali kamień, pod którym zakopali jego resztki. Na kamieniu wyryli napis „wybaczcie”. W internecie znalazłem notkę, że technik helikoptera kilka lat później przeszedł na buddyzm. Wyjechał z Białorusi i udał się na Wschód.

## PEN

Mińscy intelektualiści, członkowie białoruskiego PEN Clubu, umówili się na spotkanie, na którym należało przyjąć stanowisko w sprawie wypowiedzenia najmu siedziby stowarzyszenia. Zebrali się w trzypokojowym mieszkaniu na jednym z mińskich osiedli. Samo zebranie było nudne: gołe ściany – w mieszkaniu nikt nie mieszkał, jeden stół, do którego usiadło dziesięciu mężczyzn. Włączono przenośny komputer z komunikatorem.

Władza wypowiedziała siedzibę, bo w trakcie kontroli wykryto niedociągnięcia. Droga pożarowa była za wąska, dodatkowo układ pomieszczeń może utrudnić ewakuację. Niby decyzja administracyjna, ale wiadomo, że represja. Walka polityczna sprowadzona do reguł przeciwpożarowych. Słowo „naród” ani razu nie padło podczas spotkania, zamiast tego dyskutowali, w jaki sposób sformułować list, do kogo wysłać, byli zgodni, że należy postępować zgodnie z procedurami. O wiele ciekawsze okazało się wchodzenie do bloku: pojedynczo, co kilka minut, tak żeby na ulicy nikt nie zauważył grupki ludzi. Kiedy już ustalą treść sprzeciwu, pismo pójdzie gdzieś do pokojów urzędniczych i tam dostanie się do zorganizowanej struktury administracyjnej. Tam, gdzie są setki ludzi. Komórki, departamenty, pieczętki. Ale z nimi nie walczy przecież urzędnik. Po drugiej stronie mają strukturę.

Metody walki się nie zmieniają. W pierwszym roku panowania Łukaszenki ośmiu redakcjom państwowy monopolista, drukarnia mińskiego „Domu Prasy” odmówiła druku. Jako uzasadnienie podano brak mocy przerobowych. Wśród tych ośmiu tytułów były cztery prywatne, niezależne tytuły. Wszystkie osiem łączyło jedno: krytyczny stosunek do nowego prezydenta.

W marcu 1921 roku zebrała się Rosyjska Komunistyczna Partia (bolszewików). Tematem spotkania były nowo przyłączone ziemie wschodniej Białorusi. Delegatom nie podobało się, że mińskim

komunistom marzy się odtworzenie białoruskiej narodowości. Stalin wstał i powiedział, że Białorusini mają prawo do własnego języka. Tylko przez język będą mogli rozwijać swoją kulturę. Ofiarowana Białorusinom wolność nie miała precedensu. W szkołach i na uniwersytetach zaczęto mówić po białorusku. Każdy młody człowiek, któremu marzyło się zgłębianie tajników wiedzy, choćby kwestii geologii, mógł teraz robić to po białorusku. Kiedy wychodził ze szkoły, cały czas posługiwał się tym językiem. A kiedy w swoim pokoju robił notatki albo nawet pisał wiersz, pisał go po białorusku. Armia Czerwona też się przestawiła. To nic, że tylko tu stacjonowała, że żołdaci o azjatyckich rysach byli zza Uralu. Od teraz mieli posługiwać się językiem lokalnym. Partia bolszewicka tak samo, urzędy tak samo. Miało to być zrobione szybko. Resorty oświaty i rolnictwa dostały rok. Sprawy wewnętrzne i resort sprawiedliwości – dwa lata. Żeby zdynamizować proces, zezwolono na otwarcie Instytutu Kultury Białoruskiej. Intelktualiści ukrywający się za granicą zaczęli wracać do domu.

W latach dwudziestych Instytut Kultury Białoruskiej skupiał trzystu białoruskich naukowców. Rozpoczęto badania nad normami miejscowego języka. Analizowano lokalne piosenki, wierzenia i mity, gromadzono literaturę. Naukowcy chcieli wydzielić z niej oryginalne, nigdzie indziej niepowtarzalne elementy. Badano losy Polaków, Żydów i Poleszuków – całej mieszanki żyjącej na jednym terenie. Cel był prosty: jak najszybciej zamienić niejasne określenie „Białoruś” w klarowną definicję. Kółka zajmujące się studiami nad kulturą białoruską otwierano nawet na prowincji. Kształcono przyszłych nauczycieli i lektorów. Wyniki przyszły szybko. W latach dwudziestych pojawiło się pięciuset nowych autorów. Nawet jeśli każdy z nich napisał jeden wiersz albo krótkie opowiadanie, to dużo: pięćset zapisanych świadectw. Pięćset dowodów na myślenie i bycie, pięćset relacji o świecie, obojętnie, jak naiwnie to brzmi. Z początku pisano w rewolucyjnej retoryce. Potem zaczęły się pojawiać pomniejsze grupy literackie. Każda z grup miała inne cele. Zaczął się ferment charakterystyczny dla żywej kultury. Wybuchły pierwsze konflikty środowiskowe, czytano z wypiekami na twarzy pierwsze teksty uznawane

za niebezpieczne. Zaraz za nimi pojawiły się teksty aresztowane. Przykład: niejaki Dudara porwał się na nazwanie sprawy po imieniu, pisząc wiersz *Rozsiekli nasz kraj na połowę*.

Ale czasy Nowej Ekonomii Politycznej dobiegały końca. Bolszewicy opanowali sytuację, przestali wspierać ruchy narodowe.

W roku 1929 do Mińska przyjechał rewizor. Przeglądał wydawane podręczniki, rozmawiał z ludźmi, badał przyznawane odznaczenia państwowe. Narzekał, że młodzież kojarzy nazwiska białoruskich poetów, a nie kojarzy ojca rewolucji Lenina. Ale nie można było wziąć się do wszystkich Białorusinów. Potrzebny był wróg. Wróg z krwi i kości. Nie można było wypowiedzieć wojny wszystkim. Trzeba było ich podzielić. Wpuścić do menzurki z jednorodnym płynem kroplę, która wywoła reakcję. Musiała powstać piana i tę pianę trzeba było zebrać. Moskwa wymyśliła definicję. Działanie precyzyjne wymaga precyzyjnego języka, jak zwykle chodziło o wrogów walki klasowej. Tym razem nazwano ich nacdemami. Narodowymi demokratami. Kreml uważał sprawę za poważną. Nacdemi chcieli przyłączenia całej Białorusi do Polski. To było zdradą, więc zaczęły się represje. Stanowisko stracił szef Białoruskiej Akademii Nauk, około stu naukowców Akademii zostało aresztowanych. Wykryto również nielegalną organizację nazwaną Związkiem Wyzwolenia Białorusi, której członków oskarżono o kontrrewolucyjność. W latach trzydziestych zostaną zamordowani. Potem okaże się, że organizację spreparowało NKWD. Załamany Usiewaład Ihnatouski, szef Białoruskiej Akademii Nauk, popełnił samobójstwo, Janka Kupała, oskarżony o przewodzenie fikcyjnej organizacji, próbował się zabić, ale tylko się zranił.

Wraz z ruchem i z ludźmi aresztowany został język. Wydawało się, że nie można aresztować języka. Można aresztować wszystko i każdego, ale nie język. Białoruski jednak zamarł. Można nim było mówić, stał się jednak niczym więcej niż dialektem, który przestał mieć znaczenie. Czas odrodzenia się skończył, odszedł w przeszłość.

Zebranie w sprawie siedziby PEN Clubu dobiegło końca. Zrobiło się trochę luźniej. Sekretarz – jedyna kobieta w grupie, poprosiła o dodanie jeszcze

jednego punktu do uchwały. Właśnie podała się do dymisji. Kiedy to oznajmiała, łamał jej się głos. Stała w kącie pustego pokoju nad ławą mężczyzn i mówiła, że ustępuje z funkcji. Długo pracowała na stanowisku sekretarza, ale już nie może. Ma rodzinę, plany na życie. Po prostu nie może już tego wytrzymać. Boi się. W sumie nikt się nie dziwił.

Rozeszli się pojedynczo. Stojąc w korytarzyku obitym boazerią, cicho rozmawiali. Wychodzili co dziesięć minut. Drzwi się uchylały, kolejna postać znikwała w półmroku klatki schodowej, na dworze w ostrym słońcu trwała niedziela, wesoło grały telewizory.

## **Chcę do telewizji**

Jest taki dowcip: przed Pałacem Republiki stoi facet z transparentem, na którym napisał: „Chcę na Białoruś”. Milicjanci podchodzą i pytają: „Jak to na Białoruś, przecież tu jesteś”. „Ale ja chcę na tę Białoruś z telewizji”.

## Drzewo i wstążki

Zupełnie znienacka na rozstaju dróg pojawia się drzewo. To jakaś lipa, jej rozłożyste konary dają przyjemny cień. Zwykłe drzewo, nawet ślad na pniu, w którym ktoś uważny zobaczył Matkę Boską, bardziej przypomina zaciek niż święte oblicze. Pozostało powiesić kolorowe wstążki, które wyblakły. Szare od słońca, rozchodzą się z pnia promieniście do ziemi. Za drzewem ciągnie się płaskie pole, wstążki i horyzont zlewają się ze sobą. Wydaje się, że drzewo odgrywa większą rolę niż cała wieś, ludzie przyjeżdżają tu modlitwą błagać o wybaczenie. Wsiadają w swoich miastach i wsiach do autobusów wycieczkowych i suną do tej średnio ładnej lipy. Ostatnie dwadzieścia metrów pokonują w milczeniu. Naukowcy mogą robić pomiary, jak daleko sięga świętość. Na dwadzieścia, może trzydzieści metrów. Przypadkowych można rozpoznać z daleka. Idą i gadają. Nawet kiedy podejda, zamiast świętych kształtów na pniu widzą tylko plamy. Łaska wiary dzieli przybyszów na dwie zupełnie ze sobą niezwiązane grupy. Kobiety we wsi doskonale wiedzą, kto do której grupy należy. Są spokojne. Mówią: Matka Boska z tego miejsca błogosławi cały świat. To nie żaden zabobon. Do naszej wsi przyjechał pop i poświęcił. Ludzie śpiewali, były znaki krzyża, błogosławieństwa. Święte drzewo. Klękajmy.

Bolszewicy byli podzieleni w kwestii problemu walki z religią. Część uważała, że należy ją zdeptać: napiętnować i skazać na zapomnienie. W marcu 1919 roku rozpoczęli akcję demaskowania relikwii. Tych wszystkich pokurczonych i wysuszonych ciał świętych i błogosławionych, które po śmierci zamykano w rakach – na dalszą, wieczną służbę. Trzeba było uderzyć w punkt: wierni, oglądając pomarszczone twarze swoich świętych, wierzyli, że ich ciała dotknięte boską łaską nie ulegają rozkładowi. I to przekonanie trzeba było zburzyć.

23 czerwca 1922 roku w Połocku pojawiła się komisja poszukująca relikwii Andrzeja Boboli. Pamięta się o nim, bo poniósł dramatyczną śmierć pełną cierpienia z rąk białoruskich Kozaków, którym marzyła się

Białoruś bez polskiej władzy i obecności jezuitów. Bito go godzinami, a w końcu (jak to w ogóle możliwe?) wyjęto mu język przez dziurę zrobioną w karku.

Komuniści spodziewali się oporu ze strony wiernych. Wraz z komisją pojawiała się grupa żołnierzy, bo wizytatorzy mogli zostać zaatakowani. Ostatnim razem niepokojono świętego w 1866 roku. Wtedy chciano jedynie zbadać relikwię. Boska siła obroniła Bobolę: cegła oderwała się z sufitu i mocno raniła jednego z urzędników. Reszta uciekła.

Tym razem poszło gładko. Lenin nakazywał otwieranie rak komisyjne. Ludzie patrzyli i myśleli: z pewnością będą niszczyć święte obrazy. Ale obrazy urzędników nie interesowały. Przeszli przez cerkiew, doszli do relikwii i zwalili ją na ziemię. Ciało się jednak nie rozpadło. Byli tym nawet zdziwieni. W raporcie pojawił się zapis: trup zawdzięcza zachowanie w dobrym stanie właściwościom ziemi, w której się znajdował. Wrócili po kilku tygodniach. Relikwię zapakowano na samochód i wywieziono do Moskwy, do gmachu Higienicznej Wystawy Ludowego Komisariatu Zdrowia. Bobola wylądował w gablocie.

Wyrzucane relikwie zwykle okazywały się samymi szkieletami albo słomą uformowaną na kształt leżącego człowieka. Te rewelacje nie były jednak w stanie zburzyć przekonania, że święci żyją nawet po śmierci. Wierni, którzy widzieli słomiane kukły ciągnięte po podłodze, z zachwytem wołali, że święty tuż przed zrzuconiem na posadzkę uciekł do nieba, pozostawiając wśród ludzi tylko słomę i szmaty. Tak profanacja stawała się cudem.

W twierdzy brzeskiej w Dzień Zwycięstwa pojawiają się tysiące ludzi. Czekają na nich atrakcje: balony, muzyka i mięso skwierczące na ruszcie. Plastikowe kubki złocistego piwa i wata cukrowa. Twierdza to gigant; stolnica, na której ktoś poukładał fragmenty fortyfikacji. Ponad wszystkim wznosi się pomnik radzieckiego obrońcy. Góruje nad ludźmi, właściwie wykracza poza nasze ludzkie miary. Obrońca patrzy niewidzącym wzrokiem spode łba. Brytyjscy dziennikarze nazwali go jednym

z najbrzydszych pomników na świecie. Rzuca cień, nie sposób ukryć się przed jego gorzkim spojrzeniem.

Porsche cayenne, ustawione na promenadzie prowadzącej do serca fortyfikacji, ma wyklejone podobizny Stalina. Całe rodziny podchodzą do fury i ustawiają się do zdjęć. Ojcowie w klapkach i matki w letnich sukienkach. Synek w czapeczce z daszkiem i córka z rękami założonymi na piersiach. Potem ojciec oddaje kubek piwa i zostaje w kadrze ze Stalinem. Stalin patrzy przed siebie lekko ponad kołem samochodu. Za jego głową tańczą podniosłe słowa najpopularniejszej pieśni wojennej Związku Radzieckiego. „Wstawaj, kraju ogromny, wstawaj na śmiertelny bój, z faszystowską potęgą ciemną, z przekłętą hordą”.

Dla tych, którzy muszą zasmakować zwycięstwa wszystkimi zmysłami, po obu stronach trasy ustawiono szeregi budek. Wszędzie akcesoria wojenne sprzed dziesięcioleci. Granat, manierka, pas z czerwoną gwiazdą. Można się przebrać i wykonać zdjęcie stylizowane na fotogram z epoki. Dzieciaki się rwą do przebierania, rodzice, mrużąc oczy, próbują uchwycić aparatem ten dziwny stan: dziecka-żołnierza. Mali chłopcy ubrani w stroje marynarzy i dziewczynki w hełmach i z replikami broni prężą się, odtwarzając gesty dziadków. Strzela migawka. Do samochodu obklejonego Stalinem wsiada masywny właściciel. Silnik zaczyna pracować, z trzeszczących głośników na dachu wydobywa się muzyka. Robi się podniosłe. Silnik ma chyba z pięć litrów i stuningowaną rurę wydechową: brzmi jak średniej wielkości kuter ruszający w morski rejs. Kiedyś, za pięćdziesiąt lat, twarze fotografowanych dzieci znajdą się na innych nadkolach i zderzaku, z pewnością Stalin też tam będzie. Samochód rusza, ludzie machają na pożegnanie. Głowa Stalina potakuje. Oby tak dalej.

Twierdza była budowana solidnie. Architekci carscy uznali, że najlepszym dla niej miejscem będzie akurat stary Brześć. To, co dało się przenieść, przeniesiono. To, czego nie dało się ruszyć, usunęli saperzy. Potem teren wyrównano, a nowy Brześć zbudowano kawałek dalej. O domach pogrzebanych pod twierdzą się milczy. O wspólnej defiladzie Niemców i Sowietów również, choć było to właśnie tutaj. Kiedy dwa fronty spotkały się, armie Niemiec i Związku Radzieckiego odbyły w Brześciu

wspólną defiladę triumfu. Jedyną wspólną defiladę dwóch potęg. Przymierze nie trwało długo. W 1941 roku Niemcy zaatakowały Związek Radziecki. Wybuchła Wielka Wojna Ojczyźniana.

Muzeum fortu milczy o starym Brześciu. Wchodzi się do niego przez małe, zatłoczone drzwi. Przy drzwiach tłum, przy okienku do kasy kolejka. W środku chłód i dokumentacja. Wielu chce pogłębić wiedzę o przeszłości.

A wokół świętego drzewa cisza. Nie ma już ludzi, wiatr też jakby odpuścił. Wstążki zwieszone w bezruchu wyglądają smutno, jakby przypadkiem znalazły się na pniu. Drzewo jeszcze postoi. Może dziesięć, może dwadzieścia lat. Może więcej. Potem padnie. Być może trafi do relikwiarzy. Będzie dzielenie świętego kawałka na drobniejsze święte kawałki. Będzie handel: kawałek świętego drzewa za kawałek jakiejś biblijnej szaty albo gwóźdź z drzewa krzyża Jezusa. Targi święte mają swoje prawa, które są trudne do rozpoznania dla postronnych. To nic, że takich gwóździ – chrystusowców, można policzyć na całym świecie kilkaset. Ludzie i tak oddają im pokłony. To, co święte, świętym pozostanie. Pewnych rzeczy nie należy zmieniać.

## Domy na domach

Najpierw na niemal bezchmurnym niebie pojawiają się ptaki. Są za daleko, żeby można było usłyszeć ich krzyk. Setki, a może tysiące czarnych punktów wiszących na niebie spadają co jakiś czas chmarą, przez chwilę niebo robi się czyste, potem znów, jak na komendę, wznoszą się i zastygają. Cały czas tkwią w jednym miejscu, dopiero za nagim wzgórzem wszystko staje się jasne. W dole, w niecce płytkiej doliny, rozciąga się szara połąć zalegająca na zielonej równinie – wysypisko śmieci. W powietrzu latają worki foliowe, wplątują się w gałęzie drzew, wiszą na drutach trakcji elektrycznej. Nie widać żadnych strażników, nikt tego majdanu nie pilnuje. Kiedyś musiał przedstawiać większą wartość: uniesiony szlaban i krzesło na trzech nogach wciąż trwają przy wjeździe. Może chodziło o cele statystyczne: notowanie liczby samochodów, godziny ich wjazdów, wszystkie te dane, które pozwalają zza biurka kontrolować procesy. Analizę sobie jednak odpuszczono. Betonowe płyty rzucane na ziemię, ugniatane przez ciężarówki, topią się teraz w śmieciach.

Tak naprawdę na wysypisku nie ma przedmiotów. Na wysypisku przedmioty rozpadły się na czynniki pierwsze. Zamiast telewizora leży pęknięty kineskop, obok kilka płyt głównych z procesorami. Zamiast talerza porcelanowe ostrze z resztką wzoru. Szmaty i papiery wypełniają każdą szczelinę, wszystko ubite na płasko. Można po nich chodzić swobodnie, nie tonąc butami. Kiedy pojawia się ciężarówka, jej koła chrzęszczą przez chwilę na betonie, pneumatyczne ramiona podnoszą naczepę, kierowca nawet nie wychodzi; spogląda tylko w lusterko z obojętnym wyrazem twarzy. Robił to pewnie tysiące razy. Potem stalowa kłapa zamyka się z hukiem i ciężarówka rusza w drogę powrotną. Chmara ptaków znów spada w dół. Precyzyjny mechanizm działa.

Z metalowego kontenera budy wychodzą ludzie. Rękawice i podarte płaszcze, widać, że wysypisko przeobraziło ich na swój własny sposób, teraz bardziej przypominają bezdomnych niż pracowników. Muszą tu

mieszkać od dawna, w blaszanym baraku stojącym na środku pola. Za pomocą zaostrzonych kijów szybko segregują to, co zjechało z naczepy: puszki, szkło, budzik, kartony. Trwa to nie więcej niż dwadzieścia minut i w miejscu, gdzie przed chwilą była sterta świeżych, wilgotnych odpadów, znów robi się płasko. Nie ma nic więcej do wybrania, więc wracają do swojej budy ociężali, zwalają się na ławkę w cieniu, przeglądają wybrane przedmioty. Jeden z facetów kończy palić, bierze rower oparty o ścianę, rower skrzypi, z trudem jedzie po płytach. W siatce kołyszają się kawałki aluminium, na bagażniku przewiązane sznurkiem jakieś szmaty. Przejeżdża przez szlaban, widać go jeszcze chwilę za drzewami, na których powiewają plastikowe worki. Potem znika.

Marzy mi się taki porządek rzeczywistości, w którym nie ma zniszczenia. W którym wszystko trwa w nieziennej formie. Prosty system: początek i trwanie. W tym układzie telewizor byłby wiecznie telewizorem, talerz w kwiaty talerzem spełniającym po granice czasu swoje zadanie. Nie ma ruin. Z tego trwania wyłoniłyby się finezyjne miasta. Miasta nadbudowywane przez lata. Domy na domach, których opowieść czytana byłaby od dołu do góry, piętro po piętrze. Wyżej i wyżej. Takie świadectwo, które nie ulega zniszczeniu, które daje się badać. Nic dziwnego, że najbardziej sfrustrowaną grupą białoruskich intelektualistów są historycy. Być może to jedyni na świecie naukowcy, którym przedmiot badań wymyka się z rąk. Ich praca przypomina działanie weterynarza, który żeby zbadać dzikie zwierzę, musi je najpierw samodzielnie złapać. Może dlatego tak bardzo zainteresowani są polityką. Polityka determinuje historię, osadza ją w jakimś kontekście, od polityki, choćby nie wiadomo jak chciało się uciec, zależy sprawiedliwe trwanie historii.

Tak było ze słynnym Chatyniem – wsią, w której Niemcy w czasie II wojny światowej spalili w stodole ludzi. To również dowód na to, jak propaganda radzi sobie z najtrudniejszymi przypadkami historii. Władza lubi pamięć posłuszną, więc zamieniła miejsce, w którym kiedyś była wieś, w miejsce kultu.

22 marca 1943 roku kapitan Hans Woellke ze 118 batalionu policyjnego zginął zastrzelony w leśnej potyczce. Ten ulubieniec Niemców i Hitlera, złoty medalista igrzysk w Berlinie w pchnięciu kulą, był żywym okazem nadczłowieka. Dla propagandy hitlerowskiej Woellke ucieleśniał to, co Leni Riefenstahl pokazywała w swoich filmach: siłę, wolę i upór. W swojej doskonałości potrafił zanurzyć się w białoruskie błota i tropić tych, którzy wydawali się wyrastać z zieleni.

Nadczłowiek, spec od tropienia partyzantki antyniemieckiej, musiał zostać pomszczony. Uznano, że Chatyń to wieś, która ukryła partyzantów. 118 batalion tworzyli ukraińscy kolaboranci słynący z okrucieństwa, dodatkowo w operacji w Chatyniu 118 batalion współpracował z brygadą Dirlewangera: demoniczną jednostką ss. W ramach wyrównania rachunków zapędzono mieszkańców do stodoły, a budynek podpalamo. Rano z pogorzeliska wyczołgał się Iosif Kaminski: jeden z sześciu ludzi, którzy przeżyli masakrę. Wyszedł, bo słyszał swojego syna. Dziecko umierało poparzone na trawie kilka metrów od wrót. Doczołgał się do niego i przytulił. Teraz pomiędzy płaskimi murkami stoi sześciometrowy pomnik ojca z dzieckiem na ręku. Taka męska pieta.

Zafascynowany historią wsi Elem Klimow nakręcił w 1985 roku film *Idź i patrz*. Główny bohater, szesnastolatek Flora, wstępuje do partyzantki. Podróżuje przez świat koszmaru. Przygnieciony tym, co widzi, starzeje się: jego twarz z każdą chwilą robi się coraz bardziej pomarszczona. W końcu staje się starcem w ciele dziecka. Tonie w ziemi tak, jakby ziemia chciała go pochłonać.

Po wojnie Sowietom w Chatyniu upamiętniali ofiary niemieckich zbrodni. Wybór miejsca należał do politycznych. Jako metaforę hitlerowskiej opresji wybrali właśnie tę stodołę, bo zdecydowała nazwa. Chatyń brzmi podobnie jak Katyń. Dobrze wprowadzić zamieszanie i ukryć przed światem to, co powinno być ukryte.

Pod lasem na parkingu wysypują się z autobusów uroczyste delegacje. Idzie się kawałek między drzewami. Dalej, kiedy las rzednie, pojawia się polana – pofalowana przestrzeń o soczystej trawie; łagodne pagóry, po

których chodzą konie. Ofiary pogromu upamiętnione są niskimi murkami, które idealnie wpisują się w teren. Nisko, blisko trawy i ziemi. Architekci wykonali dobrą robotę, pomnik jest piękny. Żaden obelisk, żadne krzykliwe płaskorzeźby. Tylko równe, płaskie bryły. Są jeszcze dzwony. Biją co pewien czas, ich dźwięk rozchodzi się i ginie w zieleni.

– I zobacz, że od strony parkingu widać przede wszystkim pomnik ojca. Tego, który do ostatniej chwili walczył o życie dziecka – mówi mi Historyk, z którym przyjechałem do Chatynia. – To przemyślana strategia. Nawet jeśli jego gest ratowania syna zasłużył na upamiętnienie, dziwne, że z całego dramatu wyciągnięto jedną postać, innym ofiarom odbierając prawo do pamięci.

Historyk w politykę nie chce się mieszać. Za duży bałagan. Opozycja podzielona, posłowie w parlamencie przekupywani przez Moskwę, właściwie trudno powiedzieć, kto tak naprawdę rządzi na Białorusi. Raz poszedł jednak na demonstrację, nawet nie był do końca przekonany, że to słuszne i że pójdzie tam coś zmienić. Właściwie zrobił to dla towarzystwa. Znajomi szli, uznał, że nic nie szkodzi.

To było po kolejnych wygranych przez Łukaszenkę wyborach, tych w 2010 roku. Wszyscy dyskutowali o fałszowanych wynikach. Na ulicę wyszło kilkadziesiąt tysięcy ludzi i on wśród nich. To było nawet podniosłe uczucie. Nie skandował, patrzył, cieszył się, że zdecydował się wyjść z domu. Potem pojawiła się milicja, tłum się rozproszył, ludzie zaczęli uciekać, on zgubił gdzieś przyjaciół, pozostał sam, opadł go strach, prawdziwy strach, taki, który powoduje, że nogi nie mogą ruszyć z miejsca. Stał, a wokół niego krzyki i szamotanina. Tylko patrzył. Wyciągnięty ze swoich książek, rycin i starych map znalazł się nagle na polu bitwy, o którym tyle czytał. W pewnym momencie dostrzegł przed sobą starca. Mężczyzna próbował zejść z ulicy w stronę parku. Ale kiedy dreptał w płaszczu i kapeluszu, podbiegł do niego milicjant z oddziałów specjalnych OMON i z całej siły uderzył go pałką w plecy. Starzec poleciał do przodu, spadł mu kapelusz. Miał białe, rzadkie włosy, które zasłoniły twarz. Jedną ręką chciał podnieść kapelusz, drugą poprawić opadające kosmyki, ale milicjant uderzył go jeszcze raz. Wokół panował chaos, nikt

na tych dwóch nie zwracał uwagi. Demonstranci uciekali albo byli wleczeni do autobusów, które nagle pojawiły się na placu. Akcję zaplanowano perfekcyjnie, milicja była wszędzie, udało się rozbić tysiące ludzi na chaotyczną zbieraninę bez liderów i jednego ośrodka. OMON-owiec podszedł do staruszka, wydawało się, że zwalisty facet podniesie go, ale zamiast tego mechanicznym ruchem zaczął go okładać. I wtedy Historyk ruszył do przodu, podbiegł do milicjanta i krzyknął: dlaczego?

Dostał pałką przez głowę, popędzili go do autobusu. Jeden trzymał za ramię, drugi za kołnierz. Milicjanci w cywilu wpychali kolejnych zatrzymanych. Kiedy Historyk usiadł, cały dygotał. Za oknami trwała pacyfikacja. Przechodzący środkiem autobusu funkcjonariusz walnął go w tył głowy z taką siłą, że wylądował twarzą na metalowej poręczy fotela. Rozbił nos, miał krew w ustach. Nie podnosił już głowy, patrzył przed siebie, na poręcz i obicie fotela. Pierwszy raz w życiu ktoś go uderzył.

– Pierwszy raz w życiu – mówi Historyk. – Moje książki, notatki, badania, wszystko stało się śmieszne, takie chłopięce, kiedy patrzyłem na tę poręcz fotela. I wiesz co? Jak tak patrzyłem, oświeciło mnie. Łukaszenka to ojciec. A wiedząc, że masz ojca nad sobą, nigdy nie wydoroslejesz.

Potem, po feralnej demonstracji, włączył się w działania opozycji. Na swoich zasadach: walczył o zabytki, chociaż tak na prawdę nie miał o co walczyć. To, co można było zniszczyć, zostało zniszczone.

## Jak się robią cuda II

Olmany siadły swoimi domkami na kawałkach suchej ziemi wystającej z mokradeł. Wieś przecież mogła powstać w bardziej przyjaznym terenie: gdzieś na suchych i pylistych równinach biegnących do Mińska albo jeszcze bardziej – do Homla albo Mozyrza, punktów na mapie, za którymi rozciąga się bezmiar Wschodu. Ale tu? Na bagnach?

Właściwie nie ma gdzie iść. Piaszczysta droga robi kółko pomiędzy domami i wraca w to samo miejsce. Gdyby nie szosa, która biegnie na Stolin, bagna stałyby się więzieniem pełnym krzyku ptaków i otwartej przestrzeni. Bagna pojawiają się za domami jako zupełnie niewinne łąki. Zdradza je wieczorna mgła. O zmierzchu unosi się, wszystko pod nią blednie, matowieje. Mgła rusza z łąk i wchodzi do wsi, sunie między domami, podchodzi pod sklep. Wtedy Olmany wyglądają najlepiej. W mlecznej zawieszynie wydają się miejscem, które należy jedną nogą do ludzi, a drugą do natury. Domy przestają przypominać domy, są raczej czymś zwalistym jak wielka kopa siana; ogrody i sady jeszcze bardziej dziczeją, krzywe płoty biegną i roztapiają się w bieli. Mgła wszystko upraszcza, ludzie przestają istnieć. Postacie na piaszczystej drodze przypominają jakieś skrawki snów – kontury, z których nic nie da się wyczytać. Nie wiadomo, kto do kogo należy: wieś do natury czy natura do wsi. Mieszkańcy się przyzwyczaili. Przyjezdni patrzą jednak zdziwieni. Józef Obrębski, badający Polesie w latach trzydziestych XX wieku, pisał, że dla Białorusinów mieszkańcy bagien to zupełnie inny naród. Ciemny i niewykształcony. Niekulturalny. Wszędzie brud i nieczystość. Ludzie żyją tam jak bydło. Tylko krzaki i błoto. Zbigniew Zenkteler, student socjologii z Poznania, który odwiedził Olmany w 1936 roku, relacjonował Florianowi Znaniowskiemu w liście pisanym na gorąco, że na wsiach poleskich zatrzymać się można jedynie w szkole. Domy zupełnie do tego się nie nadają. Sami Poleszucy niechętnie przebywają w nich latem. Połowa ludzi to analfabeci, niektórzy nie umieją liczyć powyżej dziesięciu. Pewien

człowiek, którego zabrano do kopalni soli w Wieliczce na zorganizowaną przez kółko turystyczne wycieczkę, po prostu zwariował. Po powrocie łąził po lasach i grzebiąc łaską w ziemi, próbował wykopać z niej sól.

Ale szaleństwa w Olmanach już nie ma. Niebieska cerkiew błyszczy pomiędzy drzewami, w sklepie przy głównym placu sprzedawczynię w białych fartuchach i koronkowych opaskach na włosach pochylone nad ladą liczą drobniaki wysypane na kawałek gazety. Na półkach biały chleb, wysokie zielone kalosze importowane z Chin. Pod drzewem przed sklepem na ławce siedzą klasyczne wiejskie dziady w marynarkach i maciejówkach na głowach. Piją piwo w środku dnia, nie ma chyba lepszego momentu między świtem a zmierzchem na to, by odpocząć. Synowie chłopów jeżdżą po wsi starym oplem. To jakaś ascona albo omega w sedanie, stary, wypielegnowany grat, zbyt cenny, żeby go sprzedać. Nadkola podmalowano sprayem, wisiory na przedniej szybie. Za dwadzieścia lat to oni będą siedzieli na ławce i zmęczeni krążeniem po okolicy zajmą miejsca swoich ojców. W oddali słysząc warkot traktora. Ilekroć chłopcy milkną, jego głos dociera aż tutaj, do ławki. Słysząc wielką przestrzeń.

Etnografowie podnieceni samotnością wsi odwiedzają Olmany od ponad stu lat. Notują wszystko, również miejscową legendę. Według niej dawno temu przechodziła tędy, wędrując przez świat, Matka Boska. Była już w ciąży i zmęczona usiadła na kamieniu, a gdy zapłakała, z jej łez powstało jezioro otoczone bagnami. Powstała nawet kładka: długi drewniany dukt przez mokradło. Ale mężczyźni przed sklepem nie słyszeli o ciężarnej. Wzruszają tylko ramionami. Ciepłe piwo, butelka w dwóch palcach, spocone czoło otarte chustką. Matka Boska? Patrzą po sobie z ironią w oczach. Co za pomysł. Nic nie słyszałem. Tam nic nie ma, tylko bagna.

Na kładce z trudem mijają się dwie osoby. Gdziekolwiek się spojrzy, widać płowe kępy traw i cienkie drzewa. Opite wodą brzozy łamią się i pokazują swoje miękkie wnętrza. Wilgoć pokona wszystko, całe fragmenty lasów zamienione zostały w czarne kikuty wystające z wody. Resztki drzew leżą w trawach, pnie miękkie, nie da się po nich nawet chodzić. Jeszcze trochę i wtopią się zupełnie w płynną masę, która je wciąga. Jedyne opór stawiają dęby, są już bez liści, czarne i powyginane,

całość przypomina krajobraz księżycowy. W wysokich trawach śpiewają ptaki, ciemne, duże jak pies czaple nieruchome obserwują ruch. Nie uciekają. Są zbyt świadome swojej wolności. Tam gdzie pojawia się lustro wody, widać czasem węże – czarne i lśniące.

Samo jezioro nie ma w sobie nic szczególnego. Może to, że jeszcze nikt w nim nie utonął. Tak mówią we wsi, i tego akurat są pewni. Przy samym brzegu kładka zamienia się w pomost. Pociemniałe deski, wiata, krzyż ze spłowiałymi koronkami.

Kiedy w Połocku aniołowie i ludzie zakończyli budowanie cerkwi Przemienienia Pańskiego, Eufrozyna zaczęła planować podróż na południe, do Jerozolimy. Musiała być zachwycona. Czym był Połock z leniwą Dźwiną i kilkoma murowanymi budynkami w porównaniu z tą gigantyczną metropolią, która opromienia Wschód? W Połocku pachniało nagrzanymi od słońca deskami, zgniłym sianem, końskim moczem. W Jerozolimie większości zapachów nie umiała nawet nazwać. Mirra, meble z drzewa sandałowego, worki kminu z trudem wystawiane przez handlarzy przed sklepami. Obchodziła świątynie jerozolimskie, odwiedziła grób Chrystusa, w którym modląc się, prosiła, by mogła na Ziemi Świętej zakończyć życie. Kiedy wróciła do swojej celi w monastyrze Najświętszej Bogarodzicielki – jak pisze ksiądz Ignacy Stebelski – „wpadła w niemoc cielesną i położyła się na łożu boleści, dziękując i za to panu Bogu tymi słowy: Chwała Tobie, Panie mój, Jezu Chryste, że i w tym wysłuchałeś mnie niegodną służebnicę twoją i uczyniłeś ze mną, jakoś chciał”.

Przed śmiercią chciała jeszcze dotrzeć do Jordanu, nie była jednak w stanie. Przywieziono jej wody, której się napiła, a resztą oblała ciało. Ostatkiem sił poprosiła archimandrytę ławry Świętego Saby, by pozwolił jej być pochowaną na terenie świątyni. Odmówiono jej, wyjaśniając, że miejscem pochówku kobiet jest „monastyr pospolity najświętszej Bożej Rodzicielki Teodyzuszów”. Tak zakończyła się jej historia. Być może, gdy szła na południe, ostatnim miejscem, które mijala, były właśnie Olmany? Może to nie Matka Boska płakała nad świętym jeziorem, ale ona? Chłopy pod sklepem nic nie powiedzą, bo nie wierzą w legendy. Albo nie chcą się

przyznać, wstyd być przecież zacofanym i dzikim. Ale to wszystko i tak nie ma znaczenia, Olmany będą trwać dalej, etnografowie będą tu przyjeżdżać. Powstaną kolejne prace naukowe o tym dziwnym miejscu pomiędzy światami. Pewnie już zawsze tak będzie: podział na wieś i świat zewnętrzny. Ze świata przychodzić będą jakieś pojedyncze fragmenty wielkiej układanki. Mgliste opowieści o polityce, wojnach.

Za jeziorem, na bagnach, tuż przy granicy z Ukrainą, na polanie stoją porzucone transportery wojskowe. Tak mówią ludzie we wsi. Jak tam się dostać? Trzeba dotrzeć do jeziora i przepłynąć przez nie łódką. Nie tą, która leży przy krzyżu obwieszonym wstęgami – starą dłubanką poczerniałą od działania wody. Trzeba wypożyczyć łódź z płaskim dnem, żeby można było posuwać się dalej, kiedy woda zacznie mieszać się z trawami. Tam, po drugiej stronie, zobaczysz cielska transporterów zakopane w wysokich trawach. Gąsienice, wieżyczki. Stalowi żołnierze porzuceni przez armię na wieczne zatonięcie.

Na polanie przy kładce bawi się wielka rodzina. Kilka samochodów, pod drzewami koń, jego wytarta od popręgu naga skóra błyszczy w słońcu, dyszel płacze się pod kopytami. Światło pada przez korony drzew na wydeptaną ściółkę, z ziemi wychodzą korzenie, wody gruntowe są wysoko, więc drzewa nie muszą drażyć. Koń stąpa, wóz ze skrzypieniem posuwa się za nim.

Wielka rodzina wróciła na kilka dni z miasta, jak mówią. Biały dym grilla, suszona ryba darta palcami, wódka w plastikowych kubkach, sok z brzozy lany ostrożnie z pięciolitrowego słoja. Mężczyźni na uboczu palą papierosy, ich sprawy są poważne. Nie uśmiechają się, kobiety przy stole za to śmieją się perliście. Jeden z mężczyzn – chudy, w dresach – chce koniecznie wiedzieć, jak wygląda Białoruś dla tych, co tu przyjeżdżają. Ale raczej nie słucha, tylko opowiada: prawda, że piękne te ziemie? Chcecie je z powrotem pewnie, ale nie będzie łatwo. Wojna idzie. Rosja się odradza. Teraz gadamy, pijemy jak przyjaciele, ale będzie moment, że przyjedziemy do was na czołgach. Nienawidzicie nas.

– To nieprawda – mówię. – My po prostu nic o was nie wiemy.

## Beton

Raz opowiadam w pociągu z Warszawy o książce, którą piszę, przypadkowemu człowiekowi. To Polak. Ma sześćdziesiąt pięć lat, ostatnie czterdzieści jeździł na ciężarówkach. Od siedzącego trybu pracy dostał wydatnego brzucha oraz specyficznego poczucia humoru. Przez lata dobrze mu się wiodło. Za jeden wyjazd do Iraku w latach osiemdziesiątych kupił malucha. Wracając z Gruzji, przywiózł tyle arbuzów, że wypełnił nimi, jak twierdzi, pięć taczek. Nigdy nie błędził. Nigdy nie miał wypadku. Raz tylko kierowca osobówki, któremu zajechał drogę, wysiadł na następnym skrzyżowaniu i urwał mu lusterko. Przeciekającą chłodnicę łątał fusami z kawy: wylewał je, a one zapychały dziurę. Potrafił oszukać tachograf. Dzięki temu wykazywał większe zużycie paliwa niż w rzeczywistości. Nadmiar paliwa zlewał i sprzedawał. Było dobrze.

– Białorusini? To ruskie przecież. Po co o nich książka. Oj, jak miałem tam jechać, to byłem chory. Te czapy jak lotniska i te zakazane ryje. I tylko łapówki. Tylko dolary. Ale ludzie tam dobrzy. Biedni. Wielkie serca. Ile razy dali mi jedzenie. Tak za nic. A kiedyś nawet to milicjanci nas zatrzymali, wódkę przynieśli i kazali pić. I rubli nam jeszcze dali na drogę. Bo Rosji bez wódki nie rozbierzesz.

– Białorusi. Mówimy o Białorusi.

– Jeden pies. Dla mnie to wszystko, co na wschodzie, powinno się zaorać, jeszcze raz zaorać, potem wyrównać i na końcu zalać betonem na dwa metry.

Wysiadamy w Mińsku, razem z kierowcą idziemy jeszcze kawalek, rozstajemy się na placu Zwycięstwa.

To w sumie wielkie rondo w stylu wschodnich satrapów. Granitowy ostrosłup wymierzony prosto w niebo, przed pomnikiem na placu płonie ogień. Cokół pomnika przedstawia sceny zbiorowe. Jak zawsze ci sami atletyczni rolnicy i żołnierze. Na płaskorzeźbie są jeszcze kobiety i dzieci: potencjalne ofiary. Muskularne ciała je zasłaniają.

Siła pomnika emanuje na okolicę. Samochody kołyszą się w słupie gorącego powietrza. Okoliczne domy ułożono w półluk. Człowiek to drobiazg. Jednostka nie ma szans na przetrwanie. Kiedy podchodzisz z dzieckiem do wiecznego ognia, spada na ciebie poświęcenie tych, którzy oddali życie. Patrzysz na zastygłe w walecznym napięciu torsy, zacięte, zatroskane twarze. Oni, ginąc, myśleli o tobie. A ty? Słysząc to wszędzie: w granicy, w sile ognia, w falującym obrazie miasta poruszonym wiecznym płomieniem. W cieniu iglicy można tylko przeproszać za swoją miałość albo dziękować za to, że czasy spokojne, niewymagające poświęcenia.

Ale to nie takie proste. Ekonomia szwankuje, nie ma kapitału. Gdyby był, wszędzie rosłyby wysokościowce. Zamiast spektakularnych dzielnic drapaczy chmur Mińsk oferuje jedynie kilka prezydenckich gmachów: wśród nich bibliotekę w formie diamentu. Wiedza to przecież skarb – wydaje się mówić gmach. Kilka rozpoczętych punktowców, które nie doczekały się fasad, straszy szkieletami z widocznym układem przyszłych pięter. Folia, deski szalunkowe, nierówne płyty z blachy. Wokół dźwigi. Budowy wyglądają na porzucone. Czekają na lepsze czasy.

Pod iglicą na placu Zwycięstwa biegnie podziemne przejście. W półmroku na ścianach widać nazwiska ofiar i pomordowanych, na środku żarzy się kamień. Wykonana z matowego szkła albo twardego plastiku rzeźba ma bursztynowy kolor i wygląda jak kawałek lawy. W korytarzach dudni niski ton. Jakaś ciężka pieśń, mocna, sięgająca dna duszy. W jednej z odnóg młody chłopak w kurtce ze skóry gra na gitarze, którą opanował w muzycznym konserwatorium. Repertuar to utwory Włodzimierza Wysockiego. Faktycznie charczy tak jak on, ale jednak to tylko replika Wysockiego. Nawet kiedy gra głośno, monotonne buczenie przebija się przez hałas gitary.

Tydzień później sto, może dwieście metrów od placu Zwycięstwa na murku spotykam prawdziwych wschodnich hipsterów. Wytatuowani tak, jakby byli po wyrokach. Siedzą godzina za godziną i wołają ze śmiechem do zgarbionych postaci ciągnących swoje siatki i torby. Ludzie odpowiadają śmiechem. Potem jeden z hipsterów umawia się ze swoją byłą żoną

w jakimś ogródku piwnym, jedynym, jaki widziałem w Mińsku. Kucharz podrzuca na patelni zieloną fasolę, spalenizna unosi się w powietrzu, kelnerzy szybkim ruchem przelewają wódkę do półlitrowych karafek. Była żona Saszy pojawia się ze swoją przyjaciółką. Przyjaciółka na ramieniu ma wytatuowanego maleńkiego kota, wszystko chce wiedzieć: skąd jestem, ile zarabiam, czy mam mieszkanie, jakim jeżdżę samochodem, a nawet czy stać mnie na letnie wakacje na Krymie. Jest dociekliwa: pyta, ile razy tam byłem i w jakich hotelach mieszkam. Ona na Krymie była wiele razy. Potem gra w otwarte karty i mówi: chcę na Zachód.

– Jesteś żałosna – śmieje się Sasza. Zachód się skończył. Całe światło idzie z Moskwy. Moskwa to centrum. Wy w waszej Europie nic nie wiecie o Rosji i chcecie ją zniszczyć, a tam przecież narodziła się niemal każda nowa idea. Na przykład hipsterzy – dodaje po chwili namysłu, a jego słowa giną w śmiechu. Śmieje się nawet facet z sąsiedniego stolika. Po północy podjeżdża ford mondeo i żona Saszy się zmywa. On sam odprowadza swoją przeszłość smutnym wzrokiem i markotnieje.

„W swych zdecydowanych dążeniach i skłonności do rozwiązań skrajnych, narzucania wszystkiemu jednolitej postaci Wschód dochodzi do absurdu – pisze Ihnat Kanczeuski w eseju *Odwiecznym szlakiem*. – Stąd na przykład i to, że Wschód nie uznawał nas jako Białorusinów, lecz wymagał od nas przyjęcia swojej własnej, wschodniej postaci, która wedle wschodniego rozumienia jest obowiązująca. »Słowiańskie strumienie spłyną do rosyjskiego morza« – oto jak ugruntowano obowiązkową rusyfikację. Stąd płynie gwałt i ucisk naszej indywidualności, stąd gwałtowne pragnienie pozbawienia nas twarzy. Oni nie rozumieli, że wraz z białoruskością tracimy również lepszą część człowieczeństwa.

Wyzwolenia, ratunku przed opresją ze Wschodu oczekiwaliśmy od Zachodu. Szedł on ku nam z zachęcającym uśmiechem na różowych wargach. [...] Doświadczenie historyczne nauczyło nas, że gdy człowiek Zachodu robi nam przyjemność, to jeszcze nie oznacza, że nie doznamy przykrości z jego strony. Jego pocałunek świadczy nie tylko o przyjemności, lecz i o możliwości zdrady. Dowodzi tego gruntowne

doświadczenie naszego ludu. [...] Niósł nam najpiękniejsze idee humanizmu, liberalizmu, demokracji, ale za pięknymi słówkami zawsze podążał gwałt duchowy i ekonomiczny, wyzysk, ucisk, pogarda. Piękne słowa i haniebne czyny współistnieją w życiu Zachodu dziwnym i niepojętym dla nas sposobem”.

## Mów mi Kim

Ludzie twierdzą, że na całej Białorusi nie dało się znaleźć takiego dziwaka i odszczepieńca jak on. I nie chodzi o to, że miał dziwne imię. Cały był inny. Tak bardzo inny, że do dziś nie wiadomo, kim tak naprawdę był. Mówią o nim różnie. Ci, co nie boją się wielkich słów, uważają, że był szaleńcem, który odważył się żyć w zgodzie ze sobą. Porównują go również do mędrca niepoddającego się żadnej władzy. A w rzeczywistości człowiek ten jedynie pił, czytał i gadał. Pił wszystko, co zawierało alkohol, i gadał o wszystkim, co można było przeczytać. Nauczyciel bez katedry, pijak bez problemów alkoholowych.

I to jego imię: Kim. Kim Chadzieju.

Według legendy imię dali mu rodzice na cześć Młodzieżowej Międzynarodówki Komunistycznej. Ale jego radykalna antysowieckość ujawniła się już podczas studiów. W trakcie zebrania, na którym żądano kar dla działaczy zaangażowanych w „spisek lekarzy kremlowskich”, wstał i powiedział, że Stalin jest zabójcą i ukarani powinni być nie niewinni lekarze, lecz on. Nie rozstrzelano go tylko dlatego, że w trakcie śledztwa udało się ustalić, że nie stała za nim żadna tajna organizacja. Nie był to spisek, ale jedynie głos jednostki. Jego słowa, jako nieszkodliwe, wyceniono na dziesięć lat więzienia.

W obozie Chadzieju dołączył do odsiadujących wieloletnie wyroki naukowców i artystów skazanych przez Stalina jeszcze w czasie przedwojennych czystek. Latami przysłuchiwał się rozmowom największych umysłów ówczesnej Białorusi. Otoczony inteligentami, którzy uniknęli rozstrzelania w latach trzydziestych, profesorami, którzy przeżyli wyniszczającą wojnę, ale po wojnie zwinięto ich za przedwojenne deklaracje. Siedzieli tam również ludzie z ostatnich łapanek: tak jak ci z organizacji Czajka. Czajka była najprawdopodobniej misternie utkaną prowokacją. W 1946 roku NKWD nawiązało kontakt z zainteresowanymi Białorusią słuchaczami Instytutu Nauczycielskiego w Baranowiczach.

Kiedy organizacja się rozrosła, jednego dnia zgarnięto całą siatkę, oskarżając ją o nacjonalizm i przygotowywanie zamachu terrorystycznego. W pokazowym procesie skazano winnych na dwadzieścia pięć lat więzienia.

Ale był jeden problem. Nie miał czym notować. Kim będzie mówił, że największym darem, jaki dał mu obóz, była umiejętność zapamiętywania.

Zwolniony po śmierci Stalina wrócił do Mińska. Krótco potem trafił jeszcze na dwa lata do lochów mińskiego KGB. Tam, jak głosi legenda powtarzana w środowiskach opozycyjnych, zupełnym przypadkiem dostał możliwość korzystania z biblioteki zgromadzonej przez służby specjalne. Zbiór ukryty pod ziemią liczył tysiące książek niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Biblioteka miała już swoje lata. Powstała w 1935 roku, kiedy Stalin, nie mając już kogo aresztować, zabrał się do aresztowania druków. Do bibliotek w całym kraju rozesłano listy zakazanych tytułów, które należało zwrócić. Tak powstał zbiór, do którego dostęp mieli jedynie funkcjonariusze aparatu władzy. No i on.

Po wyjściu, jako dysydent, nie miał szans na pracę zgodną ze swoimi kwalifikacjami, pisał więc doktoraty i prace habilitacyjne za pieniądze. Łącznie kilkadziesiąt: socjologia, historia, filozofia, nawet nauki ścisłe. Pewnego razu poproszono Chadziejeua o pomoc w napisaniu eseju filozoficznego *Zasada przyczynowości w fizyce kwantowej*. Chadziejeu napisał go, nie przestając pić. Pił w ogóle dużo. Po latach Anton Kułon, jeden z uczniów Chadziejeua, wspominał: piło się wermut, wódkę, żubrówkę, azerbejdżański portwajn, wodę kolońską Trojnoj, wszystko, co się pali. Wielu z tych, którzy przebrnęli przez bagno tego rajy Kima, kończyło jako alkoholicy, trafiało na leczenie do zakładów psychiatrycznych, wielu zostało pisarzami czy artystami. Większość jednak już nie żyje. Imponowało im to, że jedynym miejscem, w którym Kim mógł znaleźć pracę, jak większość dysydentów w Związku Radzieckim, były stróżówki nocne.

Drzwi do jego mieszkania były drzwiami do innego świata. Rządziła w nim zasada: wolna myśl. Latami ciągnęły do niego całe zastępy młodych ludzi zmęczonych oficjalną nowomową. Dyskutowano, poruszano

najbardziej odległe tematy. Bawiono się i kochano. Słowem: prawdziwa akademia. Kułon, wspominając tę akademię, mówił, że jedni trwali miesiącami, inni wymęczeni nadmiarem wódki i wiedzy odchodzili, ale na ich miejscu pojawiali się następni. Rozmawiano o polityce i poezji antycznej, o socjologii i afrykańskich rewolucjach, historii i tradycji kulturowej Europy. Chadziejeu na każdy z tych tematów miał wiedzę niemal ekspercką. Zawsze z papierosem Pamir w ustach, marką tak taną i powszechną, że niemal kultową, zawsze ze szklanką alkoholu. Był dobrym duchem: moderował dyskusję, znikał gdzieś w drugim pokoju, by z kilkoma osobami rozmawiać na osobności, znów wracał, rzucał jakąś myśl i znikał. Za oknami był szary socjalistyczny Mińsk.

Tajne biblioteki od zawsze zaprzętały umysły ludzi. W 1563 roku, pacyfikując Połock, car Iwan Groźny obserwował akcję topienia tysięcy połockich Żydów w Dźwinie i wysłuchiwał raportów oddziału szukającego legendarnego zbioru połockich ksiąg. Tego, o którym pisał w *Labiryntach* Łastouski. Biblioteka zawierała rękopisy świętej Eufrozyny, Cyryla i Metodego, a także bizantyjskich kronikarzy. Iwan Groźny, choć przekonany o jej istnieniu, nic nie znalazł.

Ale biblioteka istniała. Szesnaście lat po pacyfikacji przez Groźnego miasto kolejny raz przeszło oblężenie. Tym razem zdobył je Stefan Batory. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (1887) pod redakcją Chlebowskiego i Walewskiego informuje, że gdy wojska królewskie podpaliły zamek, część obrońców miasta się poddała. Wojewodowie ruscy i arcybiskup Cyprian, mimo że nie byli w stanie się bronić, zabarykadowali się w soborze Sofijskim. Po krótkich negocjacjach wyszli. Król wspaniałomyślnie uwolnił wszystkich jeńców, zrezygnował nawet z symbolicznego palenia cerkwi. Na jej czele postawił nowego biskupa. W trakcie przeszukiwania pomieszczeń odkryto – jak piszą autorzy słownika – bardzo szacowną bibliotekę, w której miały się znajdować latopisy ruskie i księgi doktorów Kościoła greckiego, przełożone na język słowiański przez Cyryla i Metodego.

Nie wiadomo, co się stało dalej z biblioteką. W legendach miesza się z biblioteką jezuitów, których do Połocka sprowadził Batory.

Jezuici otrzymali cerkiew Świętych Piotra i Pawła i zamieszkali w domu opuszczonym przez księży prawosławnych. Do miasta przyjechał brat Jan Aland. Uczył się lokalnego języka. Wraz z dwoma zakonnikami ruszył na poszukiwanie nowych wiernych. W trzystu czterdziestu drewnianych domach mieszkało zaledwie tysiąc osób. Zakonnicy znaleźli siedem katolickich rodzin. Rok później pierwsza klasa składała się z pięciu uczniów. Rozpoczęło działalność kolegium jezuickie. Zakonnicy organizowali przedstawienia i jasełka. W 1584 roku zaprosili przedstawicieli innych religii na dyskusję. Mimo że, jak donosi kronikarz, innowiercy i oponenci nie przybyli, udało się rozwiać przesady o wierze katolickiej. Włoch Antoni Mora, ówczesny komendant milicji połockiej, zachwycony siłą wiary zakonników, wsparł ich, wysyłając swoich żołnierzy na msze, a kiedy procesje przesuwwały się krętymi uliczkami miasta, jego ludzie oddawali honorowe salwy. Majątek jezuitów obejmował sto osiemdziesiąt wsi i okolicznych folwarków. Centralny punkt stanowił budynek kolegium znajdujący się kilkaset metrów od soboru Sofijskiego.

W roku 1601, kiedy fala dżumy pustoszyła miasto, piętnastu zakonników dniem i nocą walczyło o życie chorych. Zdarzały się wypadki: na przykład wybuchł pożar. Ogień stopił dzwon na wieży. Z zegara zostały tylko pojedyncze elementy. Uczniowie kolegium wraz z zakonnikami z trudem wynosili z płonącego budynku całą bibliotekę.

Kolegium jezuickie zorganizowane było z przepychem. Rozpoczęciu roku akademickiego towarzyszył bal z iluminacjami i huczną muzyką graną przez czterdziestu muzyków. Długie korytarze obwieszane były obrazami olejnymi. W murze tuż przy wejściu znajdowała się ozdobnie obmalowana armatnia kula, która utkwiała w trakcie jednego z ostrzałów. Kolegium miało własnych rzemieślników, lekarzy i świetnie zaopatrzone piwnice. W muzeum oglądać można było maszyny, przyrządy chemiczne i teleskopy. Na półkach stały zwierzęta i wypchane ptaki. W słojach pływały zarodki ludzi i zwierząt.

W roku 1773 papież Klemens XIV rozwiązał zakon. Dwór Burbonów nie chciał obecności niepokornych zakonników we Francji i Hiszpanii. Ponad czterdzieści prowincji z domami i kolegiami zostało zamkniętych. Ponad dwa tysiące zakonników straciło dom. Z pomocą przyszła Moskwa. Carya Katarzyna II zaprosiła jezuitów na ziemie należące niegdyś do Polski, które zdobyto w trakcie rozbiorów. Do roku 1814 były to jedyne jezuickie ośrodki w Europie. Ale szczęście trwało krótko. W 1820 Aleksander I nakazał jezuitom opuszczenie Połocka, więc bracia zaczęli przygotowywać się do drogi. Jezuicki szafarz, stary Szymański, z żalu, że nie może jechać z zakonnikami, dwiema brzytwami rozciął sobie brzuch i po dwóch dniach zmarł. W dniu wyjazdu za mury wyjechał najpierw asesor, za nim dziewięć wozów. Tłum zebrany przed kolegium zaczął płakać. Kobiety rzucały się na ziemię i ze śladów od kół zbierały piasek.

Tak zrodziła się legenda o skarbie, który pozostawili połoccy jezuici. Według niej, kiedy doszło do kasacji zakonu w Europie, Połock – ostatni ośrodek zakonu – miał stać się jego skarbcem. Oprócz pieniędzy czy złota przywieziono tutaj podobno najcenniejsze książki, które posiadał zakon. Opuszczając Połock, zakonnicy zdecydowali się na pozostawienie ich w ukryciu, prawdopodobnie w podziemiach kolegium. Ale *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* dość precyzyjnie informuje, gdzie trafił majątek jezuitów: naukowe zbiory, gabinety i biblioteka przeszły w ręce pijarów, a kiedy w gmachu kolegium jezuickiego ulokowano korpus kadetów, cenniejsze okazy biblioteki wywieziono do Petersburga i Moskwy. Ludzie jednak swoje wiedzą. Biblioteka została w podziemiach. Przecież nie można było wywieźć jej kilkoma wozami.

Jezuici długo będą wspomniani. Jeden z wychowanków mówił, że „jezuicka przytomność w kraju stała się potrzebą bezwarunkową, weszła w nałóg bytu, w normę zwyczajów i dążeń społeczeństwa”. Wyjeżdżając, pozbawili młodych ludzi możliwości nauki pod okiem surowych, wymagających nauczycieli. Zamkniętych zostało kilkanaście szkół rozlokowanych na terenie całego kraju. Skończył się czas nauki.

## Galeria Ź

Stare godło Białorusi to Pogoń: rycerz na koniu z uniesionym mieczem. Powstało na początku XX wieku. Koń cwałuje, rycerz jedną ręką trzyma uzdę, drugą unosi miecz. Symbol odwołuje się do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Za czasów ZSRR godło Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej wyglądało inaczej – było kombinacją czerwonych wstążek, kłosów i złotego słońca na horyzoncie. Słońce przysłonięto znakiem sierpa i młota. Było tam wezwanie do proletariuszy, żeby się łączyli, i czerwona gwiazda. Kiedy w 1991 roku ZSRR się rozpadł, Białoruś wróciła do Pogoni. Znowu symbolem kraju stał się rycerz pędzący na koniu. Rycerzowi brakowało jednak wyrazistości kłosów i wstęg godła socjalistycznego. Kiedy do władzy doszedł Aleksander Łukaszenka, zorganizowano referendum. Godło znowu się zmieniło. Oficjalne dane mówią, że trzy czwarte obywateli chciało jego zmiany. Być może to prawda. Od tamtego czasu godło znowu nawiązuje do starego znaku, tego z czasów ZSRR.

Galeria Ź to mekka ludzi tęskniących za Zachodem. Mekka z białymi blatami i menu pisanym kredą na ścianie. Na półkach leżą książki czołowych białoruskich opozycjonistów. W części restauracyjnej unosi się atmosfera Zachodu. Każdy, z kim chcę się spotkać w Mińsku, zaprasza do Ź. Spędzam tam całe godziny. Chodząc po sklepie, oglądam upominki. Są tam ręczne wyroby – szmaciane lalki, których autorzy dobrze rozumieli, że przytulanka może mieć abstrakcyjną formę, ciuchy lokalnych projektantów poszukujących inspiracji w białoruskiej tradycji. Szczęśliwi ludzie dookoła, kelner z tunelami w uszach i tatuażem na przedramieniu przynosi kawę w sporym kubku: podwójne espresso z włoskiego automatu ciśnieniowego. Pod kopułkami ze szkła ciasta, domowe wypieki.

W sklepie z upominkami ruch. Sprzedawczyni pochylone nad albumem pozwalają się rozglądać. Z takiego miejsca warto mieć pamiątkę. Coś trzeba kupić. Są naklejki na lodówkę. Socrealistyczne scenki rodzajowe: junak na motocyklu z kołchozową dziewczyną. Mkną przed siebie, on

pochylony, jej wiatr zadziera spódnicę, odsłaniając silne nogi. Sprzątaczką w stylu amerykańskich pin-up girls wygina się w seksownej pozie nad wiadrem. Szukam herbu Pogoni. Na naklejkach go nie widzę. Na pocztówkach także. Pytam o herb sprzedawczynię w rogowych okularach o wyglądzie bukinistki z Kreuzbergu. Ale ona, jak przystało na rezydentkę tego wycinka prawdziwej Europy, nie może sobie przypomnieć, jak wygląda ten symbol. Proponuje inne magnesy. Robotnicy, chłopki, traktorzystki. Kupuję parę na motocyklu. Pamiątka zawsze musi trafiać w punkt.

## Idź pod ziemię

Jazep Januszkiewicz bardzo długo siedział w książkach, tak długo, aż stał się od tego postacią literacką: żywy człowiek, ale jednocześnie bohater jakiejś romantycznej opowieści. W jego życiu warstwa idei i warstwa codzienności sprzęgły się ze sobą: zaludniają je postacie, które dawno umarły. To nic, że nie żyją, tym bardziej trzeba dać świadectwo. Januszkiewicz stał się ratownikiem tych zapomnianych biogramów. Jak każdy ratownik posiada sprzęt do ratownictwa i z nim zapuszcza się w biblioteki. Szuka. Kiedy znajduje zapomniany biogram, skanuje fragmenty, przepisuje, dodaje do swojego katalogu. Jego komputer to stary, obity i głośno szumiący notebook, on jednak nie chce go zmieniać.

– Kiedyś robili bardzo wartościowe rzeczy – mówi. Do tego ma jeszcze dysk zewnętrzny, statyw, aparat fotograficzny. Pas ortopedyczny zapięty wokół lędźwi. Od siedzenia strzelił mu kręgosłup.

Wydaje się szaleńcem, ale jednocześnie doskonale wie, gdzie są granice szaleństwa. Z głowy recytuje fragmenty tekstów, recytację kończy numerem strony, potem sprawdza sam siebie. Ma wrażenie, że krok w krok chodzą za nim tajniacy. Kiedy dostrzega dwóch mężczyzn w eleganckich garniturach siedzących dwa stoliki dalej, stwierdza, że to bezpieczni.

– To oni. Ja ich znam, mnie nie zmylą – mówi i w tych słowach zawiera się wszystko: oto człowiek ze świata idei musi brudzić się czymś tak prymitywnym, jak służby specjalne. Twierdzi, że podsłuchują jego telefon, bo służby szukają takich, którzy chcą przywozić pieniądze dla opozycji i wpychać tu Europę. Wynurza się więc raz na jakiś czas ze świata ludzi umarłych i spotyka to: opór, kontrolę niezrozumienie. Być może faktycznie ci dwaj to ludzie z KGB. Januszkiewicz jest ojcem chrzestnym dziecka Alesia Bialackiego. Bialacki dwa razy nominowany był do Pokojowej Nagrody Nobla. Genua dała mu honorowe obywatelstwo. Europa widzi go jako upartego, wsadzanego do więzień, represjonowanego bojownika o wolność.

Januszkiewicz mówi: ta ziemia kryje w sobie groby. Ale te groby są puste. Na takiej właśnie ziemi żyjemy. Odwiedzamy miejsca symboliczne, bo przyparci do muru powiedzieliśmy sobie, że są tam pochowani nasi ojcowie. Wiemy, że groby są puste, ale odprawiamy nad nimi rytuały. Odgrywamy spektakl. Wokół nas są też groby, o których nie wiemy. Ciała pochowane w ziemi w nieoznaczonych miejscach. Tak żyjemy. Nie wiemy tak naprawdę, gdzie zostali pochowani nasi bliscy. Może codziennie tamtędy przechodzimy, może leżą gdzieś daleko. Gdzie? To pytanie zadajemy sobie od zawsze. Możemy tylko przypuszczać: masowe mogiły, przypadkowe doły w lesie, nieoznaczone kwatery na jakichś cmentarzach Rosji. Tak u nas jest. Bo my jesteśmy narodem cenotafów. Wiesz, co znaczy greckie słowo *kenotáphion*? Pusty grób. Żyjemy na pustych grobach, szukając w nieskończoność miejsc, w których leżą nasi bliscy. Tak to trwa.

Nie mają ciał, ale mają pomniki. Pomnik to fantastyczny pomysł na zbudowanie jednej wspólnej narracji. Są wszędzie, zupełnie niewarte postoju, stoją gdzieś pod lasem albo pośród pól. Co pewien czas na równinie pojawia się żołnierz idący na zachód z karabinem w ręce, patrzący prosto na wroga. Dokąd idzie ten człowiek? Jaką rolę odgrywa? Nie wiadomo. Bezimienny, odbywa wieczną wędrówkę, której finał to śmierć w walce i w czasie. Są więc pola ciągnące się po horyzont, rozstaje dróg, pojedyncze drzewa i gdzieś tam wstawione te pomniki. Ktoś przyniósł kwiaty, ktoś postawił znicz. Chwała bohaterom, którzy oddali życie.

Wystarczy jednak przeanalizować liczbę pomników i starannie zaznaczyć te, które stawiano za wyjątkowe zasługi w dziedzinie chemii, fizyki, pracy społecznej, literatury. Ile ich będzie? Niewiele, porównując do liczby uhonorowanych żołnierzy. Okazuje się, że lepiej zginąć w nie swojej walce o nie swoje cele. Po co szukać grobów swoich ojców? Jeśli służył władzy, naród będzie o tobie pamiętał. Jeśli byłeś przeciw władzy, nie zasłużyłeś nawet na oznaczony pochówek.

W 1995 roku, w półwiecze zwycięstwa walki nad faszyzmem, białoruski rząd zdecydował się wydać sto miliardów rubli na upamiętnienie tego wydarzenia. Odgórne zalecenie brzmiało: wdowy i sieroty po bohaterach

mają otrzymać medale pamiątkowe. Ich liczbę oszacowano na trzysta siedemdziesiąt tysięcy sztuk. Dodatkowo każdy uhonorowany miał otrzymać pieniądze: osiem średnich krajowych. I jeszcze cenny podarunek. Tutaj Mińsk zostawiał dowolność – władze terenowe same podejmowały decyzję. Oprócz tego była defilada, akademie na pięć tysięcy osób, konferencja naukowa, odsłoniętych zostało kilka pomników. Wydano i książkę – ponad pół tysiąca stron. Tytuł: *Pamięć*.

Władze rejonu postawskiego za pośrednictwem lokalnej gazety zaprosiły weteranów II wojny światowej po odbiór prezentu. Każdy, kto się pojawił, otrzymał dodatkowy kilogram cukru. Odbierali. Ci, którzy unieśli się dumą, prawdopodobnie żalowali. Miesiąc później w ciągu jednego dnia dziesięciokrotnie podrożały chleb i mleko.

Z Witebska droga trzyma się biegu Dźwiny. Żniwa się kończą.

W oddali kombajn sunie po płaskim polu, za nim unosi się wstęga żółtego pyłu zbożowego. Mały punkt i ta chmura są jedynymi punktami na horyzoncie. Nie da się do pracujących tam ludzi dojechać samochodem, trzeba iść miedzą prawie kilometr. Ze zmęczeniem wypisanym na ogorzałych twarzach, w nieśmiertelnych battledressach armii rosyjskiej – najtrwalszym odzieniu wszystkich kołchoźników – mierzą się z bezmiarem. Sterani pracą, kręcą w brudnych dłoniach papierosy. Pachną cierpkim zapachem słodkiej cebuli i potu. Skłonni do dalszego życia o tyle, o ile można wypić chłodne piwo pod sklepem na koniec dnia i zjeść coś ciepłego przed wieczorem. Ich czas, ich refleksja nad czasem wydaje się dotyczyć tylko początku i końca dnia pracy. Dalej chyba nie ma sensu myśleć, bo po co patrzeć wstecz? Sowiecka historiografia wymazała ich ojców, pozostawiając w miejscu przeszłości pustkę. Oni tę pustkę dopełniają. Są bohaterami, dzięki nim kręci się machina państwowego gospodarstwa rolnego, ale są bohaterami, jak zawsze, bezimiennymi. Oto świat, który ma pomniki, ale nie ma bohaterów. Coś tam majączy w zamierzchłych dniach, ale co to? Nie wiadomo. W kolejnych pokoleniach pewnie znów pojawi się pytanie: kim my właściwie jesteśmy? Albo będzie jeszcze gorzej – ludzie będą mówić: nie mamy tożsamości, tożsamość ma Rosja albo Europa. Tak

będzie, to nieuniknione, zasiane ziarno wątpliwości musi ostatecznie zamienić się w kompleks. Zresztą, kogo ten cały bałagan z tożsamością obchodzi? Są przecież ważniejsze problemy. Traktor nie chce odpalić. Brudne od smaru ręce wykręcają filtr paliwa, wydobywają jakiś wężyk, w gorącym powietrzu pachnie ropą. Kombajn przejeżdża i wyrzuca w niebo chmurę pyłu żniwnego, jeden z facetów wkłada końcówkę wężyka w usta i z całej siły dmucha. Wypada kłębek – jakieś nitki, które zablokowały dopływ. Wężyk wraca na miejsce, filtr paliwa również, stalową obręcz trzymającą element trzeba dokręcić scyzorykiem. Jeszcze przykręcić pokrywę. Potem kluczyk. Stalowy kolos łapie oddech, silnik ryczy, z rury wydechowej wylatuje czarny obłok. Cenotafowie cieszą się, traktor chodzi, oni zapalają papierosy.

## Strażnik

Martwych, naprawdę martwych wsi są dziesiątki. Mapa informuje skrupulatnie, która wieś żyje, a która umarła – maleńką czcionką dopisano pod jej nazwą: „*nieżyw*”. W administracyjnym określeniu zawiera się cały czarnobylski horror. Do tych miejsc prowadzą kilometry piaszczystych i gładkich jak stół dróg, ich powierzchnię wyrównał wiatr i deszcz. Żadnych śladów opon, czasem tylko ślady zwierząt. Nic więcej.

W tej wsi jest jak zwykle. Drewniane domy, pod lasem cmentarz świecący z daleka kolorowymi wstążkami. Z bliska można oglądać to godzinami: krzyże obwieszone szarfami, czerwień, żółć, zielen. Przychodzi wiatr i cały cmentarz przez chwilę tańczy. Na pomnikach czarno-białe zdjęcia zmarłych w formie medalionów. Na jednym kobieta w chuście, o wystających kościach policzkowych i mocnym, pewnym spojrzeniu.

Starzec, może przez zbyt obszerną marynarkę, wydaje się bardzo niski. Na koszulę naciągnął pulower, choć dzień przecież ciepły. Musi mu być gorąco, bo cały czas ociera pot z czoła. Ze wsi ludzi wywiało, przepędziła ich chmura radioaktywna, on został, pilnuje kaplicy. Nawet się jakoś szczególnie nie wita. Nie ma czasu na zbędne rozmowy.

– Idziemy, idziemy – mówi. Od razu rusza przodem, wyjaśniając kluczowe sprawy: ta ulica należała do *panów*. Tam gdzie pokazuje grubym paluchem, widać drewniane fasady domów z bali i rozpadający się gont dachu. Wszystko tonie w płowej zieleni i suchych gałęziach. – Domy *panów* – powtarza, a jego oddech staje się nierówny, szeleszczący od wysiłku. Odzwyczaił się od mówienia, mało ludzi tu przyjeżdża. Kim byli panowie? To ci, którzy mówili po polsku. Oto specyficzna precyzja języka, który umie dostosować się do dziwności świata. Mamy tych, którzy mówią po polsku, więc nazwiemy ich *panami*. Jakby za faktem posługiwania się innym językiem szła inklinacja do bogacenia się, najmowania ludzi, dalszego bogacenia się, wychodzenia ze stanu chłopstwa w stan drobnej szlachty.

– A tu – odzywa się starzec kawałek dalej – mieszkali *mużycy*.

Domy *mużyków* są identyczne. Właściwie nie ma różnicy między domami *panów* i *mużyków*, których domy znajdowały się po drugiej ulicy. Gont, drewniane fasady wypłowiałe od słońca. Ale język i tak znalazł sposób na podział.

Ulica *mużyków* prowadzi do kaplicy. To dla strażnika kawał drogi. Słońce i piach utrudniają spacer, strażnik z każdym krokiem staje się coraz bardziej zmęczony. Kraciastą chustką ociera czoło, nogi w kolanach wygięły się jeszcze bardziej na boki. Kiedy oddycha, z jego płuc wydobywa się ciężki świst, łapie powietrze, laska grzęźnie w piachu.

Kaplica otoczona niebieskim płotkiem ma nierówno otynkowane ściany. Wszystko zmarnowane upływem czasu. Dziadek szuka po kieszeniach, wyciąga chustkę, zaraz po niej pęk kluczy. Grzebie przy zamku, zagląda do dziurki, próbuje wpasować. Wnętrze ma dwa metry kwadratowe. W środku kilka dywanów i mnóstwo ikon, święte przedmioty nachodzą na siebie. Pozłacane wisioriki powieszone na gwoździkach przysłaniają ikony na ścianach, tam gdzie nie ma miejsca na ikonę, jakaś czuła ręka wpięła mały obrazek. Przez ten cały ścisk przedmiotów kaplica wygląda tak, jakby jej wnętrze się kurczyło. Pod sufitem kołuje mucha. W zasadzie nie ma nic do oglądania, starzec stoi na progu i spogląda trochę na ulicę, gdzie słońce wypala każdy kolor prawie do bieli, trochę do ciemnego wnętrza. Poprawia marynarkę, obserwuje ruchy, nic nie mówi. Taka jego rola. Otworzyć, dopuścić, potem zamknąć drzwi.

Po chłodnym i ciasnym wnętrzu przestrzeń wsi tonie w blasku i płowych trawach. Ostre światło zamieniło wstążki na cmentarzu w poszarpane kawałki materiału. Szczyty domów żyją: starannie cyzelowane płaskorzeźby w drewnie wyslizgane od słońca i deszczu jarzą się czystym kolorem drewna. Dłoń rzeźbiarza była precyzyjna. Na kozłach albo gdzieś na trawie godzinami wydobywał kształt za kształtem; pogłębiał linie, żeby w końcu umieścić małe dzieło sztuki wysoko pod szczytem. Rzeźby mają różne formy, są tam kwieciste wzory z opadającymi łodygami i słońce, od którego odchodzą promienie. Cykliczne, powtarzające się ornamenty przypominają w swoim zapętleniu styl wikingów. Jeśli te domy

kiedykolwiek zatoną, rzeźbione ornamenty zrobią to jako ostatnie. To pocieszające; nawet jeśli miałyby zniknąć wraz z całym budynkiem, będzie taki moment, w którym znajdą się blisko ziemi, tak jak w chwili, kiedy powstawały.

– Wszystko martwe – mówi strażnik. – Ludzie pouciekali, do kaplicy nikt nie przychodzi. W najlepszych latach jej sława wyszła za wieś i dotarła do urzędów, chciano ją nawet usunąć.

Działo się to jeszcze w latach pięćdziesiątych. Był wtedy młodym chłopakiem, któremu wydawało się, że trwanie bardziej przypomina prostą niż odcinek zamknięty punktami. Od dziecka widział, jak piaszczystą drogą do kaplicy udawali się ludzie. Robili to co niedzielę, kobiety wystrojone posuwały się grupkami, szło się bokiem, po zielonej trawie, krok po kroku przy płocie, tak żeby butów nie zakurzyć. Niektórzy, jak wspomina, buty nieśli w ręce. Wkładali je dopiero przed wejściem, na oczach innych. Nie było w tym wstydu. Z daleka przyjeżdżał pop z cerkwi, takiej prawdziwej: do której mogą wejść ludzie. Najbliższa leży trzydzieści kilometrów od wsi, więc przyjazd popa, wysiłek, jaki wkładał w drogę, dodatkowo wiązał z nim ludzi. Po wojnie nastąpiły jednak zmiany. Partia bała się człowieka, który idzie się modlić. To nie było spójne z tym, co partia mówi i myśli. Człowiekowi się nie wejdzie do głowy, nie zapanuje się nad jego myślami, więc można jedynie ograniczyć mu pole działania. Za pomocą decyzji administracyjnych nie da się jednak sprawić, by ludzie przestali się modlić. Sposób jest tylko jeden: kaplica musi zniknąć. Wówczas nastanie porządek.

Pewnego dnia we wsi pojawili się urzędnicy. Mieli papiery. W papierach było jasno napisane, że obiekt trzeba rozebrać. Powołana została nawet komisja, żeby rozbiórki nie nazwać wandalizmem. Jeśli coś dzieje się przy udziale urzędnika, ma moc w prawie. A jeśli prawo o czymś stanowi, człowiek nie ma wiele do powiedzenia. Żeby jednak rozebrać kaplicę, należało zebrać siłę ludzi. Poszukiwanie chętnych, którzy pomogą przy burzeniu, byłoby problemem. Wiadomo: miejscowi odmówią, nawet katolicy. Urzędnicy sprowadzili więc traktor i kierowcę z innej wsi. Kazali mu otoczyć kaplicę łańcuchem i przewrócić. Ale robota nie szła dobrze. Ktoś podniósł krzyk, ludzie zbiegli się i zasłonili budynek. Partyjni

wymachiwali dokumentami, grozili, ale nic to nie dało. No i traktorzysta uciekł. Zsiadł i pobiegł przed siebie, zostawiając nawet maszynę.

A potem, po Czarnobylu, ludzie zniknęli. Z dnia na dzień. Tym razem sprawa była o wiele poważniejsza: w powietrzu wisiała radioaktywna śmierć. Zrobiło się pusto, wiadomo przecież, że ze śmiercią się nie wygra. Do martwej wsi przyjechał pop, pokręcił się chwilę po kaplicy, powiedział, że więcej już się nie pojawi, i dał klucz. Mianował go strażnikiem. Potem pop zapakował się do samochodu i ruszył do siebie. Strażnik został. Teraz tak łązi. Oparty o łaskę, która grzęźnie w piachu, na swoich pałkowatych nogach wygiętych ze starości, w zbyt dużej marynarce. Cisza, nikogo wokół nie ma. Wstążki na krzyżach czasem poderwą się z wiatrem. Wtedy na chwilę robi się pięknie: jakoś tak żywo i kolorowo.

## Sprawa Bykaua

W grudniu 1986 roku, pół roku po katastrofie w Czarnobylu, intelektualiści białoruscy napisali do Gorbaczowa list. Oczekiwali, że Kreml zmieni politykę kulturalną i językową na Białorusi. Chcieli, żeby język białoruski był językiem białoruskiej polityki i szkolnictwa. List nazwany został później „listem dwudziestu ośmiu”. Otrzymali odpowiedź, że przecież swoboda językowa istnieje: ukazała się nawet trzydziestopięciotomowa *Encyklopedia twórczości ludowej* oraz białoruskie tłumaczenie dziesięciotomowych dzieł zebranych Lenina.

Napięcia najlepiej rozładowywać żartem.

Coś się jednak zmienia. W czerwcu 1988 roku w gazecie „Litaratura i Mastactwa” ukazał się artykuł archeologa Zianona Pazniaka i Jauhiena Szmyhaloua *Kuropaty. Droga śmierci*. Autorzy zdają w nim relację z badań, jakie prowadzili od lat siedemdziesiątych, próbując ustalić, co stało się w lesie nieopodal Mińska. Miejscowi nazywają ten las Kuropatami – od gatunku rosnących tam kwiatów. Tekst dowodzi, że w lesie pod ziemią leży ćwierć miliona trupów. Otoczonego płotem terenu strzegli strażnicy z psami, sprawa była tajna, przez parkan nic nie wydostawało się na zewnątrz. Może tylko głuche strzały pistoletów.

Odsłonięte groby pokazały, że część ofiar zabijano jednym pociskiem na dwóch: ustawiano ofiary obok siebie, aby potem strzelić tak, że kula przelatowała przez dwie głowy. I te grzyby: wszędzie wychodziły z mogił czerwone, nakrapiane grzyby. Do tego ruszająca się ziemia: zapewne od gazów z gnijących ciał. Po rozebraniu płotu, kiedy zakończono operację mordowania, ludzie chodzili tam patrzeć. Ziemia oddychała, jakby bezimienna masa trupów w nieoznaczonym grobie wciąż przewalała się z boku na bok.

W październiku 1988 roku opozycjoniści zorganizowali w Kuropatach obrzęd dziadów. Dziady, stara tradycja kultu zmarłych, zmieniły się w polityczną manifestację. W całym kraju ludzie wyszli na ulicę. Pojawiały

się armatki wodne, pacyfikacje, prześladowania. Protestujący trzymali kartki z zatajonymi przez Kreml informacjami o zniszczeniach, jakich dokonał Czarnobyl. Kult dziadów spoił żywych. Potem mówiono, że na demonstrację szli ludzie, a wracał naród. Wiadomo: kiedy nie ma się do kogo zwrócić, trzeba wołać zmarłych.

W 1992 roku podjęto próbę odtworzenia krzyża Eufrozyny. Prace trwały pięć lat. Łazar Bohsza, złotnik, który wykonał krzyż na zlecenie świętej, pierwszy raz od tysiąca lat mógł zasnąć z uśmiechem na ustach. Ktoś odtworzył jego krzyż. Gorzej mieli ci w ziemi w Kuropatach – zamiast pomnika dostali ławeczkę, którą w prezencie przywiózł Bill Clinton.

W 2001 roku władze postanowiły, że przez Kuropaty przebiegnie mińska obwodnica. Rozpoczęło się osiem miesięcy protestów. Aktywiści żyjący w namiotach byli szykanowani, namioty same z siebie zapalały się w środku nocy. Pazniaka i Szymhaloua uciszono znacznie wcześniej. Paźniak dwa lata po objęciu przez Łukaszenkę fotela prezydenta uciekł z kraju. Władze założyły mu sprawę karną za zorganizowanie protestów ulicznych. Szymhalou wycofał się z życia publicznego.

„List dwudziestu ośmiu” podpisał również pisarz Wasil Bykau. Bykau dla Białorusinów to odbicie ich losu: na jego życiu cień położyła wojna, w której brał udział jako nastolatek. Pisał o tym przez resztę życia, a w tym pisaniu było tylko okrucieństwo człowieka i historii. Jego najlepsza książka to *Obława*. W *Obławie* syn ściga swojego ojca, który uciekł z łagru i wrócił w rodzinne strony.

Bykau zaangażował się w politykę: współtworzył białoruski Komitet Helsiński, wymieniano go jako żelaznego kandydata do literackiego Nobla. Szanowano go również w Rosji, Jelcyn chciał mu wręczyć order. Strony nie mogły jednak dojść do porozumienia, gdzie miałyby się to odbyć. Na Kremlu czy w ambasadzie Rosji w Mińsku.

W roku 1997 wydał zbiór zatytułowany *Ściana*. Bohater tytułowego opowiadania trafia do celi. Cela ma ściany z kamienia, budynek postawiono dawno, nowy dyrektor przejął go od poprzedniego, a tamten od jeszcze wcześniejszych. Dyktatorzy w tym kraju istnieli od zawsze – pisze Bykau. Więzień planuje ucieczkę, palcami wydrapuje tynk spomiędzy kamieni,

robi to miesiącami, traci paznokcie, potem trze opuszkami palców. W międzyczasie narrator wspomina aresztowanie: wyszedł z domu na chwilę, zostawił swoją dziewczynę, żeby udać się na umówione tajne spotkanie z kolegą. Spotkanie okazało się podstępem, trafił do celi, a jego dziewczyna nie wie o tym i już pewnie nigdy się nie dowie, gdzie się znajduje. Jedynym znakiem potwierdzającym, że nie rozproszył się w powietrzu, są słowa mundurowych, którzy mówią jej, że okazał się zdrajcą. W końcu kamień ściany ustępuje, potem drugi, bohater przeciska się przez dziurę, raniąc ciało, i z trudem wychodzi na drugą stronę. Leży na bruku, próbując złapać oddech. Nie pamięta, kiedy oddychał świeżym powietrzem. Kiedy wstaje, okazuje się, że znajduje się na małym dziedzińcu więziennym otoczonym ścianami. Na środku stoi szubienica.

Łukaszenka był wściekły. Po publikacji opowiadania Bykau wyjeżdża z kraju.

Wrócił dopiero w 2003 roku, żeby umrzeć. Jak mówił – na swojej ziemi. Miał ostatnie stadium raka.

## Pies dynamit

Na pagórku koło drogi stoi pomnik, wokół niego kolorowe klomby. Ludzie idą od strony sklepu: dzieci w białych koszulkach i furażerkach, oficjele w garniturach, w rękach wiązanki kwiatów. Techniczni poprawiają kable od wzmacniacza pociągnięte do agregatu, ktoś niesie sztandar. Na miejscu cały tłum ustawia się dość szybko w równy szereg, sprawa musiała być ćwiczona wiele razy. Urzędnicy w garniturach ściśnięci w gromadkę słuchają śpiewu dzieci, przychodzi w tym czasie kilku starców, wtedy wszyscy milkną, czekając, aż weterani dotrą do swoich krzeseł. Trwa to chwilę, bo z trudem wspinają się po schodach. Ktoś wręcza im kwiaty, niemal natychmiast z drżących ze starości rąk odbierają je opiekunowie. Zapada minuta ciszy, w której wszyscy zastygają w geście salutowania. Tak po rosyjsku – z ręką zasłaniającą światło. Podchodzę potem do jednego z tych staruszków i ściskam mu dłoń. Siedzi na krześle zmęczony słońcem i toną orderów na piersi. Patrzy ma mnie, ma pusty, zmęczony wzrok. Taka kukła, którą wyciąga się raz w roku ze schowka i pokazuje niewiernym.

\*

Mówią: chcesz wojny, idź do muzeum.

W Narodowym Muzeum Sztuki Republiki Białorusi w Mińsku na ścianach wiszą sceny rodzajowe: sanie i brzozy. Pejzaże naśladowców pointylizmu toną we mgle. Portrety rumianych dam i mężczyzn z wyłupiastymi oczami patrzą zamyślane. W jednej sali jest nawet czasowa wystawa Chagalla. Te wszystkie latające w powietrzu krowy, domki z ciężkimi strzechami i Żydzi w chałatach pochodzą z prywatnych zbiorów. Na żelaznych tabliczkach z podpisami prac widać miasta całego świata: Nowy Jork, Tel Awiw, Paryż. Wejście na Chagalla kosztuje. Ludzie kupują dodatkowy bilet. Każdy chętnie płaci za oglądanie świata, którego już nie ma.

No i znowu wojna. Chodzi się wąskimi korytarzami z szeregiem obrazów jeden obok drugiego, a potem idzie się po schodach na wyższe

piętro i tam przed oczami otwiera się pięknie osadzony w pustej przestrzeni wielki obraz. Oczywiście przedstawia ruiny. Bez ruin nie ma życia. Ruiny są dowodem na to, jak było i jak może jeszcze być. Na obrazie tłumy mieszkańców Mińska, którzy wypełzli ze swoich jam i piwnic po tygodniach bombardowania i witają sowieckie czołgi wjeżdżające do miasta. Obraz namalował Walancin Wołkau. Dał mu tytuł *Mińsk, 3 czerwca 1944*. Obraz malowany był długo: od 1945 aż do 1955 roku. Samo osadzenie go w złoconej ramie, tak nieprzystającej do surowej proletariackiej prawdy, jaką nieśli czołgiści ze wschodu, sprawia, że nie da się od niego odwrócić wzroku. Dodatkowej mocy nadaje przestrzeń w muzeum, którą wokół niego zaaranżowano. Wszystko razem gra: czysta w swojej formie potężna sala i czyste emocje. Socrealizm to triumf siły i prostoty, za którymi kryje się ideologia. Wydaje się, że Wołkau szlifował swoją pracę pod czułym okiem nadzorców, bo na twarzach ludzi brak wątpliwości: wszyscy, bez wyjątku, są szczęśliwi. Czołgiści cieszą się, oto dotarli swoją kolumną do kolejnego punktu. Radość ludzi wykracza poza ruiny miasta i sięga o wiele dalej. Mają nadzieję na całkiem nowe życie. Praca Wołkaura powinna nazywać się: „Najszczęśliwsza grupa ludzi na świecie”.

Badacze wiedzą jednak lepiej niż malarze. Rosjanie wjeżdżający na czołgach do zrujnowanego miasta są tylko fragmentem historii. Bo najpierw Sowietów musieli się wycofywać. A kiedy się wycofywali, niszczyli wszystko, co za sobą zostawiali.

Kiedy wojska niemieckie ruszyły na wschód w 1941 roku, armia sowiecka straciła kontrolę nad sytuacją. Nie spodziewała się niemieckiej ofensywy, dowódcy sowieccy nie mieli wystarczającego doświadczenia, żeby zrozumieć nagły zwrot akcji. Doświadczenie mieli starzy generałowie, ale ich wykończyły czystki Stalina, który jeszcze przed wojną, uzdrawiając naród, zlikwidował każdego, kto wydawał się niebezpieczny. Wybuchła panika. W konfrontacji z Niemcami Sowietów stracili ponad siedemset samolotów, z czego prawie pięćset na lotniskach. Rozpoczęło się pośpieszne wycofywanie. I walka każdym możliwym sposobem. Dyrektywy były proste: jeśli gdziekolwiek patrol zobaczy wrogie oddziały,

ma z nimi walczyć za pomocą wszelkich dostępnych narzędzi. Nawet rolniczych. Mówiono: walczymy o każdy kawałek Białorusi. O każde miasto i każdą wieś. Jeśli trzeba się wycofać, bierzemy ze sobą wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, wróg nic nie może dostać. Jeśli coś weźmie, to tylko spaloną nieprzydatną ziemię. Taka była kolejna dyrektywa.

Brzmi to jak relacja z I wojny światowej, ale przecież historia lubi się powtarzać.

Mieszkańcy wsi ze zdziwieniem patrzyli na transporty kolejowe wywożące w głąb Związku Radzieckiego wszystko, co było cenne. Jechały całe fabryki, rozebrane do kawałka ciągi technologiczne pakowano na wagony i puszczano na wschód. Daleko, nawet pod Mandżurię. Za nimi maszyny rolnicze, silniki, obrabiarki. Setki tysięcy zwierząt domowych: świń, koni, krów, trafiło na rampy wagonów bydlęcych, ale wywieźć swinię nie tak łatwo jak obrabiarkę. Świnia ma swoją wolę, nie można upchnąć jednej na drugą, więc na stacjach kolejowych zarzynano tysiące zwierząt, żeby wywieźć ich mięso. Ze wschodu kraju, tego sowieckiego, uciekali też zwykli obywatele. Język rosyjski był przepustką do śmierci. Tak mówiła propaganda. Wyjechało ich półtora miliona. A kto został, miał walczyć.

Na końcu pojawiły się bataliony niszczące. Zorganizowano ich kilkadziesiąt. Wchodzili w ich skład działacze partyjni i pracownicy kołchozów. Dobijano resztki tego, co cenne. Niszczono dom za domem, wieś za wsią, jakby było mało mroku.

Eugeniusz Mironowicz, podsumowując działania wojenne na Białorusi, pisze, że kraj znajdował się w strefie szerokiego frontu walki dwóch totalitaryzmów nieliczących się z żadnymi kosztami, także ludzkimi. Stąd tak wielkie rozmiary tragedii. Oprócz strat w ludziach wojna doprowadziła do ruiny gospodarkę. Spalonych zostało ponad dwieście miast i miasteczek. Najbardziej ucierpiały Mińsk i Witebsk. Ogółem podczas II wojny światowej spalonych – jak pisze – zostało prawie dziesięć tysięcy wsi i ponad milion budynków.

Niemcy dołożyli swoje. Kiedy wycofywali się w 1944 roku, również zabierali ze sobą to, co zostało. Z kraju zniknęła niemal cała elita narodowa. Część zginęła podczas okupacji, część ewakuowała się wraz z armią

niemiecką, pozostali znaleźli się wkrótce w gułagach. „Na Białorusi zabrakło – pisze Mironowicz – sił zdolnych chociażby do przypominania o idei niezależności i własnych symbolach narodowych. Wszystko to zostało skompromitowane w okresie okupacji niemieckiej, reszty dopełniła propaganda sowiecka, przedstawiając każdą myśl o Białorusi niebędącej częścią świata radzieckiego jako zdradę narodową i przejaw tendencji nacjonalistyczno-faszystowskich”.

Po armiach pozostały ruiny.

Horror wojny najlepiej widać u Wasilija Grossmana. Rosyjski pisarz pojechał jako korespondent wojenny z armią sowiecką na Berlin. Relacjonując skalę zacięcia obu stron w walce o białoruską ziemię, opisuje, jak pod Homlem doszło do starcia jego brygady z niemiecką dywizją pancerną. Najpierw wokół rozniósł się ryk silników, który powodował drżenie nóg, potem w oddali pojawiły się przysadziste kształty. Czołgi to w dużej mierze efekt psychologiczny – nikt nie może przeciwstawić się ich sile. Pojawił się jednak oddział Rosjan z psami. Wyciągali je z samochodów, przypinali im ładunki wybuchowe do brzuchów i opinali pasami. Każdy pies miał na grzbiecie zainstalowany pionowy pręt. Zwierzęta na widok czołgów szarpały się na smyczach: chciały biec w stronę maszyn. Puszczane, gnały przez chaszcze i wbiegały pod podwozia. Eksplozje następowały jedna po drugiej. Niemiecka piechota pozbawiona wsparcia ciężkiego sprzętu cofała się, z unieruchomionych pojazdów próbowali wydostać się płonący żołnierze. Rosjanie dobijali rannych. Coraz bliżej do zdobycia Homla.

Psy uczono od małego. Karmiło się je w koszarach na placu manewrowym. Miska wkładana była pod czołg, silnik odpalano. Nawyk karmienia w huku maszyny miał sens. Potem wystarczyło tylko dobrze głodzić zwierzę, żeby na widok czołgu odruchowo pędziło pod jego podwozie w poszukiwaniu żarcia. Zmęczeni walką Niemcy także chronili się za zwierzętami. Wycieńczeni kilkudniowym broniem wsi w obwodzie homelskim zabierali gospodarzom gęsi i przywiązywali je do drzew na skraju lasu. Nocą, kiedy ptaki zrywały się spłoszone, Niemcy gotowi byli do walki. Gęsi krzyk oznaczał, że ktoś zbliża się do zabudowań.

Być może malarz Wołkau miał rację: trzeba pokazywać uśmiech. Szczęście tego jednego momentu, w którym po zniszczeniu tli się mała nadzieja, że historia zatrzyma się na chwilę i spokój trwać będzie już w nieskończoność. Tak się jednak nie stało. Ludzie na jego obrazie nie wiedzą, że ten teren to jedynie makietka: jakiś symboliczny plan państwa, który rozstawiono na wolnym obszarze. Pobudowano miasta i wsie, zasiedlono, pociągnięto linie kolejowe. W razie potrzeby można trenować strategię i zagrania. Ataki z nieba i powietrza, kontrolowane wybuchy i zrzucanie bomb. Wypędzenia na wschód i wielkie projekty inżynierii społecznej: osadzanie obcych ludzi na nowych ziemiach. Cudowne pole doświadczalne dla tych, którzy tu nie mieszkają.

Miński taksówkarz nie lubi muzeów. Narodowego Muzeum Sztuki Republiki Białorusi też nie. Kasyno, piekielko któregoś hotelu, ostatecznie mecz hokeja albo dobry obiad. Obrazy nie: nie ma co oglądać. Liczy się życie. Taksówkarz ma rodzinę w Polsce. Tam się żyje. Wyjechałby, ale nie może, bo ma chorą matkę. Zresztą to już nie te lata. A po co tutaj? Książka o Białorusi? O czym tu pisać? Pewnie o Łukaszence. Albo o opozycji. O nich pewnie będzie książka. Ale zanim się napisze, trzeba się przyjrzeć. Nie wyciągać pochopnych wniosków. Opozycja to bandyci. Zresztą, i jedni, i drudzy to bandyci. Opozycjoniści zarabiają na przeszkadzaniu władzy. Po co to robią? Wiadomo: dla pieniędzy. Dla grantów. Tych dolarów, za które chcą wicherzyć i skłócać, podburzać. Bo Europa nie odpuści. Chce tu wejść za wszelką cenę.

Chwilę milczy, szuka jakiegoś dowodu. A, właśnie: o samolocie słyszałeś?

W 2012 roku ze strony Litwy na Białoruś wleciała szwedzka awionetka. Długo potem wstydzono się, że cywilny samolot, taki łatwy do zestrzelenia, w jakiś dziwny sposób dostał się w przestrzeń powietrzną państwa. Awionetka dotarła aż pod Mińsk i tam zrzuciła setki pluszowych misiów, do których przyłączone były kartki z apelem o wolność słowa.

Aleksander Łukaszenka zdymisjonował szefa służb granicznych i dowódcę służb powietrznych. Chwilę potem ambasador szwedzki

w Mińsku stracił akredytację. Powodem była nieprawidłowa, zdaniem Mińska, postawa ambasadora: „niszczył wszystko to, co pozytywne w stosunkach Białorusi i Szwecji”. Samych pilotów Mińsk wezwał do siebie, żądając, aby poddali się wymiarowi sprawiedliwości: groziło im więzienie. Na poligony wyjechała artyleria trenować strzelanie bojowe do samolotów. Sprawa rozeszła się szerokim echem: Unia Europejska rozesłała do ambasadorów Białorusi list ze słowami poparcia dla Szwedów.

– A potem – mówi taksówkarz – okazało się, że to była reklama jakiejś firmy ze Szwecji. Żadne walczenie o wolność. Reklama. Zwykła reklama. Ludzie, którzy to wymyślili, zrobili się sławni i zarobili potem kupę kasy. Cała ta walka o wolność to tylko kasa. Tylko kasa. My, zwykli ludzie, nic nie wiemy.

## Mnie tu nie ma

Jedna z rządowych gazet – „Sowietskaja Bielorusija” – na pierwszej stronie opisała Alesia Ancipienkę. Tekst dowodził, że Aleś to pies na pasku zachodnich sił destabilizujących Białoruś.

Ancipienka mieszka w Mińsku w dwupokojowym mieszkaniu, lato spędza na daczach. Lokalizację podmiejskiego ogródka wybierał długo: za każdym razem, gdy znalazł miejsce, ściągał człowieka ze sprzętem do badania skażenia terenu. Czarnobylska chmura zamieniła mapę Białorusi w system plam: ziemia chora przeplata się ze zdrową. W domku pachnie wakacyjną stęchlizną, na tyłach ogródka budowana jest niewielka bania. Pies czasem biega po ogrodzie, większość czasu spędza jednak na wersalce. Bardzo to pasuje do jego imienia; nazywa się Czyła, od angielskiego słowa *chill*, spokój. Żona Alesia – Alena – kiedyś miała swoją grupę baletową, jeździła na występy po całym Związku Radzieckim. Drobną, bardzo drobną, po domu chodzi w dresach z bezprzewodowymi słuchawkami na głowie. Wydaje się być obok wszystkiego: obok pracy Alesia i jego wyjazdów. Jest jego cieniem. Cały czas przy nim, krok w krok, dzień w dzień. Opowiada z czułością o ich wspólnym życiu swoim chrapliwym od papierosów głosem. Może tylko raz wyrzywa się jej delikatny wyrzut: on całe życie oddał sprawie, a ona, nie mając wyboru, całe życie oddała jemu.

Aleś z drobin informacji i raportów składa fakty, zestawia je, pozwala im mówić w sposób klarowny o tym, co nieoczywiste. Komentuje rzeczywistość polityczną i społeczną, próbuje objaśniać. Jako analityk i komentator nie należy do posłusznych obywateli. Z ciągłego napięcia, które mu towarzyszy, ucieka w czytane wieczorami teksty sakralne. Z Pisma Świętego najwyżej ceni Kazanie na Górze, tę radykalną naukę Chrystusa, którą chrześcijaństwo w swoich naukach pomija: jest zbyt trudna do przestrzegania dla wiernych zgromadzonych przed ołtarzami. Zbieżne prawdy odnajduje również w *Kazaniu na Górze według Wedanty*. Autor – indyjski filozof i mnich Swami Prabhavananda – wskazuje na

podobieństwo nauki Chrystusa i tradycji wedyjskiej. Mocno to pasuje do Alesia: to sięganie do myśli Wschodu i Zachodu jednocześnie, dwoistość odbija się nawet w spojrzeniu – przenikliwość i spokój idą w parze. Każdego wieczoru milknie i zapada się w siebie – medytuje. Nie wiadomo, gdzie znajduje się jego umysł, w kompletnej ciszy słysząc jedynie głęboki oddech. Ciało leży, jego tu jednak, przynajmniej na chwilę, nie ma.

Przez kilka lat był szefem Kolegium Białoruskiego. Kolegium stworzyła garstka inteligentów, którym po nocach śniła się świadoma wspólnota. Program rozpisano na lata, twórcy wyszli z założenia, że łatwo robić pikietę albo pisać z zagranicy teksty demaskujące władzę, o wiele lepiej jednak skupić się na nauczaniu ludzi. Wielki projekt, który trwać ma latami, wygląda w sumie słabo: z ulicy o monumentalnych gmaszyskach schodzi się do piwnicy, gdzie stoi kilkanaście krzeseł. Obok, w pokoju administracyjnym ksero, papiery, teczki. Nie ma żadnej pewności, że starania zaowocują czymkolwiek, jeszcze mniejsze są szanse, że twórcy Kolegium zobaczą owoce swojej pracy. Nowy świat przyjdzie za pokolenie albo dwa. A może nigdy.

O szesnastej pojawiają się cztery osoby: młodzi ludzie. Ostatni wchodzi Andrej Chadanowicz – poeta i tłumacz literatury francuskiej, członek PEN Clubu. Uśmiechnięty, średniego wzrostu, w średnim wieku, dziś będzie mówił o symbolice łabędzia w poezji. Wykład, oderwany od spraw bieżących i upadającej gospodarki, sprawia wrażenie akademickiej rozprawki.

Czwórka słuchaczy notuje. Zapytany o to, dlaczego jego wykład nie był polityczny, Chadanowicz odpowiada: całe szczęście. Nie chodzi przecież o walkę polityczną, przynajmniej nie o tę doraźną.

Po wykładzie Chadanowicz spotyka się z kolegami. Piją piwo, dyskutują o ostatnim wydarzeniu w światku literackim Mińska. Autor książki, która startowała w konkursie literackim, obraził się i kazał wycofać swój tekst, który otrzymał złą recenzję. Śmieją się, padają nazwiska, wszyscy wszystkich znają. Intellektualiści białoruscy żyją w małym środowisku.

Efekty wykładów mają przyjść za dekady. Tak działa Kolegium Białoruskie. Ancipienka zdaje sobie sprawę, że wyzwanie przekracza

wyobrażenia polityków.

– Białoruś to nieukończony projekt budowania narodu – mówi. – Z tego powodu Białorusini mają problem z samookreśleniem. Do tego dochodzi problem z położeniem geopolitycznym. Znajdujemy się między Europą a Rosją. Ponad osiemdziesiąt procent obywateli naszego kraju określa siebie jako Białorusinów, jednak większość powołuje się na miejsce zamieszkania, a nie historyczną czy kulturalną odmienność. Nasz kraj to arena najprzeróżniejszych pomysłów na to, kim jesteśmy i jaką należałoby przyjąć strategię względem kultur Wschodu i Zachodu.

Białoruski Instytut Studiów Strategicznych przeprowadził ankietę, w której zadał pytanie, jakie cechy charakteru są najbardziej typowe dla Białorusina, Europejczyka i Rosjanina. Powstał diagram, w którym zapisano tożsamość narodu. Słupki ilustrujące odpowiedzi były w kolorze zielonym, niebieskim i czerwonym. Zielony to Białorusini, niebieski to Europejczycy, czerwony to Rosjanie. Białorusini oceniają się bardzo dobrze. Zwykle to w swoim narodzie dostrzegają największą skłonność do gościnności, tolerancji i życzliwości. Najgorzej wypadają w pytaniach o wolność i skłonności do wzięcia losu w swoje ręce. Zielony białoruski słupek ledwie widać.

Ten stan mogłyby zmienić media. Ale media państwowe utrudniają zrozumienie problemu. Media, podobnie jak było to za czasów sowieckich, są antyeuropejskie. Redakcje serwisów informacyjnych mają tendencję do dość radykalnej selekcji materiału, w tym również relacji z Zachodu. Poza tym wystarczy spojrzeć na Aleksandra Łukaszenkę, który występuje w telewizji, żeby wiedzieć, na czym polega fenomen i jego, i telewizji. Komentując słabe wyniki białoruskich sportowców na olimpiadzie w Londynie w 2012 roku, Łukaszenka tłumaczył, że porażki są elementem walki Europy z Białorusią. Jego zdaniem sędziowie zostali zmuszeni do wystawienia niskich not, bo takie są w Europie polityczne dyrektywy. Mocno i szczerze przy tym gestykulował. Ludzie mu uwierzyli. Bo komu mają wierzyć?

– Trzeba nauczać ludzi. Tylko świadomi ludzie mogą coś zmienić – mówi Ancipienka.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych środowisko opozycyjne się podzieliło. Wyłoniła się grupa polityczna i druga – złożona z białoruskich intelektualistów. On sam nie musiał wybierać: istotę edukacji zrozumiał dość wcześnie, jeszcze w mieszkaniu Kima Chadziejeua.

Opozycja intelektualna ma kruchą strukturę. Pewnego dnia z siatki ludzi, z którymi pozostajesz w kontakcie, wypada jedna postać. Zrywa kontakt, odchodzi w swoje rewiry. Ci, którzy pozostali, mówią: zaczyna żyć. Potem okazuje się, że brakujący głos albo opinia zastąpiona zostaje innym głosem albo opinią. Pojawia się dziwne poczucie ulgi. Puste miejsce zastępują inni. Ale potem znów ktoś znika.

Aleś przygotowuje na obiad pilaw. Pilaw to warzywa zasypywane ryżem i duszone pod przykryciem. Potrawę zna cała Azja Centralna, jej odmiany istnieją nawet w Indiach. Podstawę pilawu, mieszanek przypraw, można kupić gotową, ale lepiej przyrządzić ją samemu. Przyprawy należy rozgrzać na oleju, dodać warzywa. Całość zasypać dobrze wypłukanym ryżem. Do tego podaje się sałatkę z pomidorów i cebuli z bardzo tłustą śmietaną. Takiej w Europie się nie kupi. Konsystencja przynosi na myśl łagodny krem.

Dzwoni telefon, Aleś odbiera. Krótka rozmowa. Okazuje się, że jego znajomy, naukowiec z Grodna, wyskoczył przez okno. Śmierć na miejscu. Potem Aleś dzwoni jeszcze w dwa miejsca, by przekazać informację, po wszystkim kładzie się na swoim łóżku. Nie można mu przeszkadzać. Zamyka oczy i leży. Medytuje. Taki moment, w którym może być tu i teraz, ale jednocześnie gdzieś indziej.

Czyła leży koło jego nóg. Czeka. Pana tutaj nie ma.

## Dwie siostry

Siła Czarnobyła wyrzuciła ludzi z domów, wyniosła ich gdzieś na północ. Wieś zarosła, wszędzie chaszcze, przyroda weszła do wsi i dusi kolorowe niegdyś domki. Budynek poczty zamienił się w pustostan z zabitymi dyktą oknami. Przed budynkiem plac tak duży, że bez problemu da się na nim zawrócić samochodem. W bezruchu wsi pojawiają się psy, cztery albo pięć. Potem przychodzą siostry. Ich twarze są zmęczone, ale kobiety ożywione spotkaniem gestykulują, zapraszają do siebie. Mówią zachęcająco: będą jajka, kiełbasa, herbata. Gość w zonie to rzadkość, ludzie się boją promieniowania. Trzeba świętować.

Mieszkają oddzielnie. Ta, która przepracowała życie na poczcie, mieszka dalej. Dwa pokoje z kuchnią, nie ma bieżącej wody. Kuchenka gazowa postawiona jest w zupełnie przypadkowym miejscu: przy wejściu, tak jakby sił nie starczyło, żeby butlę zaciągnąć w głąb. Dłonie kobiety są pokryte plamami, ścięgni i chude mięśnie wydają się nie mieć siły, ale z dziwną siłą, zupełnie nieprzystającą do tych rąk, potrafią rąbać drewno. Sterta gałęzi leży na podwórku, a ona z siekierą chodzi wokół niej; wybiera, ciągnie gałęzie, które się płaczą. I znów siekiera idzie w górę. Pozostało jeszcze rozpalić ogień w piecu. W kuchni z kartonów i słoików ustawionych pod ścianą wybiera produkty i kładzie na taborecie. Klęka na ziemi i w misce zarabia mąkę z wodą. Mówi przy tym, strasznie dużo. Co chwilę wstaje z kolan, narzekając na bóle, i macha białą od mąki ręką, zostawiając drobiny wirujące w powietrzu. Pozwala się rozejrzeć, ale niechętnie: wstydzi się domu.

Pierwszy pokój przedzielony zasłoną rozpiętą na sznurku pełni funkcję jadalni i pokoju gościnnego. Drugi to pokój męża, który umiera na raka.

– Rak nie jest następstwem Czarnobyła. Te choroby od elektrowni to bajka – mówi kobieta. Jej mąż leży w głębi pokoju, nawet nie wzdycha. Szafka zastawiona fiolkami, szare, pocerowane pierzyny, których rąbek dało się dostrzec z progu. Tam się nie wchodzi.

Nie wstaje z łóżka, ale jego duch krąży. Nawet kiedy pojawia się druga siostra i obie szybko rzucają na olej uformowane dłonią kulki wieprzowiny i łykowate piersi kurczaka, przygląda się po gospodarsku pracy. Milcząca obecność trwa nad stołem pokrytym kraciastą ceratą, na którą zamaszystym ruchem zarzucają dziurawą, ale wykrochmaloną serwetę. Z kredensu zdejmują dodatkowe, nieużywane na co dzień szklanki, przecierają je fartuchem. Wciąż czegoś szukają. Nieużywana materia rozpełzła się swoim własnym, niewidocznym dla oka tempem. Głębokie talerze są zupełnie gdzie indziej, widelców brakuje, nie ma kieliszków. Siostry biegają na zmianę do kuchni i tam giną w kłębach błękitnego dymu, który zasnuł wnętrze. Potem wychodzą na podwórze po wodę i jajka.

A więc tak to wygląda. Szafa politurowana, która dostała liszaju tam, gdzie słońce omiało pokój, wpadając przez okno. Wyblakłe zasłony i makaty na ścianach. Przeszklona witryna wypełniona przedmiotami trzymanymi z pieczołowitością kogoś, kto się boi, że jeśli odejdą przedmioty, zostanie czymś na kształt zwierzęcia. Takiego jak ten wilk, który przychodzi do wsi każdej nocy. Odszczepieniec, który włóczy się bez celu w zupełnej samotności. Przedmioty ratują. Deskowana podłoga ugina się pod krokami, ściany pomalowane pędzlem we wzorzyste znaki pęcznią od wilgoci. W wychodku na gwoździu pożółkłe gazety z końcówki lat osiemdziesiątych. Siekiera wbita w pień.

Za domem ścieżka zaczyna się rwać. Przez korony akacji spada soczyste światło. Pod drzewami stoi gmach szkoły, dwupiętrowy, ogołocony z okien i drzwi. Wszędzie gruz, w korytarzu głównym leżą pojedyncze meble. Buty, podręczniki – wszystko rozrzucone. W sali gimnastycznej, przestronnej i jasnej, boisko do kosza zamieniono na śmietnik. Tablice do koszykówki pozbawione sznurkowych siatek nadal tkwią w swoim miejscu. Przez okna wchodzi powój. Szkoła to pejzaż romantyczny: resztki budowli i działanie czasu.

Wieczorem siostry zamykają kury i ryglują bramę. Od ciemnej i groźnej ściany lasu idzie chłód. Nad szczytami drzew stoi jasny punkt: Wenus. Dwa miesiące temu można było obserwować tranzyt planety: przejście przez tarczę Słońca.

Siostry podnoszą kieliszki słodkiego wina. Szkło cicho dźwięczy, piją małymi łykami, ledwie mocząc usta. Zmieniły się, nie tylko dlatego, że zdjęły poplamione od codziennej krzątania fartuchy i poprawiły włosy przed poczerniałym lustrem. W takiej świętej chwili upływ czasu człowieka nie chwyta. Wróciły do swojej doskonałej formy, dwóch młodych sióstr, które dobrze rokują. Stają takie odmienione na środku pokoju i trzymając się w pasie, śpiewają. Mocne głosy ciągną piosenkę, która kołysze nimi przy każdym zaśpiewie.

Kiedy zasypiam, myślę o tym starym człowieku, czekającym pod kołdrą, aż natura wyrówna swoje sprawiedliwe rachunki. Z jego pokoju nie wydobywa się żaden dźwięk. Może śpi zmęczony całodziennym hałasem. Jeśli prawdą jest, że w młodości całe wieczory spędzali z młodzieżą nad jeziorem nieopodal poczty, tej nocy tamten czas musiał do niego wrócić. Może pod postacią snu, w którym znów młody, wierzący w życie jako niekończącą się formę, ciągnie między drzewa dziewczynę ze swojej wsi, która właśnie dostała pracę na miejscowej poczcie.

Szkoła bladym świtem wygląda jeszcze smutniej. Kawałek dalej, za akacyjowym zagajnikiem, las ustępuje i zaczynają się pola przecięte miedzą. Od horyzontu płyną ciężarówki, jedna za drugą kursują w tumanach kurzu, wjeżdżając do zony po drewno i zboże. Po dziesięciu kilometrach pojawia się punkt kontrolny. Każdy samochód musi wdrapać się na rampę. MAZ z wyciem silnika wspina się, ludzie w kombinezonach zlewają z węża koła i podwozie. Wyniesiony dwa metry nad ziemię pomnik spalinowej siły ocieka, faceci siadają na murku, zdejmują maski. Piją wodę i palą. Brygada to pięciu ludzi. Ktoś ich rano przywozi, odbiera wieczorem. Transport przyjeżdża co chwilę. Dużo pracy, trwają właśnie żniwa. Nie boicie się? Czego? Promieniowania? Są maski. Co wieziemy? Wiadomo, zboże. Zboże z zony? A co? Kto pozwoliłby takim obszarom się marnować? I Białorusini będą to jeść? Śmieją się. Nie będą. To wszystko na eksport.

W oddali przez ściernisko biegnie łoś. Sunie w lekkich podskokach niepodobny do niczego, fantastyczny byt wymyślony przez kartografów nieistniejących krain. Potem znika między drzewami.

## Bazylianie

Gdyby istniało mityczne muzeum świata, w którym na aksamicie leżałyby artefakty tożsamości, gablota Białorusinów byłaby pusta. Symbole zastąpiłaby kartka z informacją o zmianie ekspozycji albo notka informująca, że eksponaty tymczasowo przeniesiono do magazynu.

W roku 1704 do Połocka przyjechał Piotr Wielki. Po nocy spędzonej na zamku uczestniczył w porannym nabożeństwie. W przypływie dobrego humoru nakazał swoim muzykom akompaniować w trakcie katolickiej mszy. Połock wspominał go bardzo sympatycznie.

Rok później pokazał zupełnie inną twarz. W środę wielkanocną w klasztorze ojców bazylianów pojawił się namiestnik cara Aleksandr Mienszykow w towarzystwie sześciu oficerów. Mienszykow, przybłęda wychowany na moskiewskich ulicach, dzięki uporowi i niezwykłemu talentowi w dowodzeniu wojskiem stał się najbliższym współpracownikiem cara. Przywołano przeora. Szybko zeszło na temat drewnianej figury błogosławionego Jozafata Kuncewicza, unickiego duchownego, którego Mienszykow określił jako bałwana. „Czciecie bałwana” – wołał poirytowany. Głos moskiewskiego gubernatora odbijał się echem po korytarzach i trafił do cel braci. Ci, jak pisze naoczny świadek, potrchleli, słysząc, w jakim kierunku zmierza rozmowa. Mienszykow kazał sobie przynieść Biblię. Na jej podstawie konfrontował unickie dogmaty z prawosławiem. Wpadł w furję. Rozkazał otworzyć wrota soboru Sofijskiego, którym opiekowali się bazylianie. Stojąc przed ołtarzem, wykrzykiwał: wy, bazylianie, uczeni ludzie, jesteście tak samo kłamliwi jak wasi połoccy sąsiedzi, jezuici. Każdego dnia pijecie krew Jezusa, więc i wasza krew wkrótce się poleje. Przeor prosił Mienszykova o opanowanie. Przypominał, że car dał wojsku skierowanemu do Polski rozkaz, aby uszanować wiarę katolików, Żydów i Tatarów. Mienszykow słuchał, chodził po świątyni, oddał pokłon przed ikoną Matki Boskiej i wyszedł. Tej samej nocy spłonął dom stojący tuż obok klasztoru.

Kilka miesięcy później pijany car wszedł do refektarza w towarzystwie oficerów. Grupa stanęła pod obrazem błogosławionego Jozafata i w całkowitej ciszy car spytał wikarego, kogo ten obraz przedstawia. Męczennika. Kto go zamęczył? Jakiej wiary byli oprawcy? Twojej, Panie – odpowiedział wikary i zanim skończył, Piotr walnął go na odlew w twarz, a potem pociął zakonnika. Chwiejnym krokiem wyszedł przed klasztor, skierował się na pobliski cmentarz, usiadł na trawie i wytarł w nią ręce. Po chwili wstał i poszedł do klasztoru żeńskiego. Zwalił się na krzesło w refektarzu i oglądając swoje zakrwawione dłonie, uspokajał zakonnice, że nic im się nie stanie. Kazał sobie przynieść wina.

Jego nienawiść do bazylianów wydaje się uzasadniona. Bazylianie, podporządkowani Rzymowi, zakładali szkoły i drukarnie, by Cerkiew unicka mogła jak najszybciej dorównać poziomem wykształcenia wiernym Kościoła katolickiego. W programach nauczania opierano się na języku, jakim posługiwało się białoruskie chłopstwo.

Losy bazylianów wpisują się w tradycję ruchów intelektualnych na Białorusi: po rzezi, którą zgotował zakonnikom Piotr, sobór Sofijski został zamieniony na magazyn prochu. Pięć lat później magazyn wybuchł, a zabytek zamienił się w ruinę.

Gabinet Dzianisa Duka na Uniwersytecie Połockim to wyremontowany pokój o nieskazitelnie białych ścianach. Biel kontrastuje ze starymi woluminami i kawałkami wykopanych staroci, leżącymi na półkach. Niski stolik zastawiono paczkami herbaty. Duk jest archeologiem. Wysoki i szczupły góruje nad studentami, przechodząc korytarzem.

– Podziemia połockie? Rzeczywiście, ciekawy temat. Mnóstwo legend i mitów. Ludzie do teraz je produkują – mówi.

W lutym 2012 roku Białoruś obiegła informacja, że amatorom archeologii po latach poszukiwań udało się dotrzeć do tajnych korytarzy prowadzących od brzegu rzeki Pałaty wprost pod sobór Sofijski. Korytarz biegł ponoć prosto pod nieistniejącym już dziś klasztorem bazylianów, zburzonym przez Rosjan w 1956 roku. Nowopołocka gazeta udzieliła głosu odkrywcom: Andrejowi i Alaksiejowi Buchawieckim. „Badając brzeg rzeki

Pałaty, trafiliśmy na przysypane ziemią drzwi do lochu. Wewnątrz było sucho, ludzie musieli tamtędy chodzić: na ceglanym sklepieniu wciąż widać ślady od pochodni. Szliśmy około osiemdziesięciu metrów, dalej jednak się nie dało. Zaczęło brakować powietrza”.

Pierwsze, co zrobili bracia po wyjściu, to powiadomili władze o odkryciu. Ale o lokalizacji wejścia nie chcieli mówić. Twierdzili, że korytarz wymaga jeszcze dokładnego zbadania.

Historycy są sceptyczni. Ich zdaniem archeolodzy amatorzy najprawdopodobniej odkryli jeden z kanałów służących do drenażu wód gruntowych z piwnic pod dawnym soborem Sofijskim. Kanały te odprowadzały wodę, która zbiera się pod całym wzgórzem. Kiedy w 1970 roku trwały prace renowacyjne w soborze, zdarzyło się kilkakrotnie, że ciężki sprzęt zapadał się w ziemi i odsłaniały się podziemne chody.

– Mamy tu bardzo wysoki poziom wód gruntowych – mówi Dzianis Duk, odkładając wycinek prasowy. – Dawne kolegium jezuickie, w którym dziś znajduje się nasz uniwersytet, sobór Sofijski i miejsce po klasztorze bazylianów znajdują się bardzo blisko siebie. Kiedyś ich piwnice z pewnością łączyły się ze sobą, tworząc swoiste labirynty. Dziś już nie można się nimi przedostać, bo uległy zniszczeniu. Co więcej, te główne korytarze łączyły się również z drenażami: wąskimi kanałami służącymi do odprowadzania wody. Drenaże pozwalały utrzymać budynki we względnej suchości. Wielu ludzi, którzy schodzili do podziemi, brało je za korytarze, szczególnie że często ich ściany były murowane z cegieł albo deskowane. Miłośnicy tajemnic przeciskali się, przechodząc nimi setki metrów, aż trafiali w końcu na osuwisko i wracali, twierdząc, że znaleźli wejście do lochów. Do tego jeszcze metaforyczna kwestia zbiorów książek: jezuickich, biblioteki świętej Eufrozyny i już mamy wszystkie składowe mitu o podziemnym mieście Łastouskiego. Ale jak przystało na mit: dotrzeć do niego trudniej, niż go przekazać.

Z placu przed soborem Sofijskim widać łożysko Dźwiny. Rzeka płynie tak już tysiące lat. Widziała wszystko. Płynęły nią ciała pomordowanych, w wodzie odbijały się łuny płonącego miasta. Rzeka nie może lubić ludzi.

Ludzie są dla rzeki zbyt nerwowi. U stóp soboru, tam gdzie zbocze zaczyna opadać, ze skały wypływa woda. Woda spływa do rzeki. Różnica poziomów między Dźwiną a źródłem sprawia, że do rzeki biegnie strumyk. Mały ciek otacza kult. Ludzie mówią: kto napije się wody i pomyśli życzenie, zapewni sobie pomyślność i spełnienie prośby. Zimna woda ma kredowy, cierpki smak.

## Jeden kłos

Kilkadziesiąt kilometrów za Połockiem równina wydaje się nie kończyć. Ale nagle w szczerym polu pojawia się przystanek autobusowy. Nie prowadzi od niego żadna ścieżka, żadna boczna droga nie wskazuje na to, że istnieją tam ludzkie osiedla. Ktoś jednak z tego przystanku korzysta. Wszędzie leżą niedopałki papierosów, ściany wyklejone są powiewającymi na wietrze ogłoszeniami. Czasem przystanki budowano w sposób zaskakujący: strzeliste dachy, okrągłe okna, modernistyczne bryły wsparte na kilku słupach. Pobielonej ceglanej budce z płaskim dachem i jednym oknem fantazji brakuje. Droga na Mohylew pusta. Można tak siedzieć na ławce i patrzeć, jak po drugiej stronie szosy łagodnymi falami ciągną się pola pszenicy. Równy asfalt, niewidoczne skowronki wysoko toczą swoją walkę na głosy. A potem pojawia się stado krów. Wielkie stado krów. Przebiegają asfalt i wbijają się dzikim klinem w drugie pole. Po chwili schodzą się mężczyźni. Najpierw jeden z trudem biegnący w gumiakach. Za nim drugi z uniesioną witką w ręce. Są przerażeni, rzucają się w pole i rozgarniając rękami pszenicę, pędzą za stadem. Dudnienie zwierząt oddala się, ich krzyki gasną. Znów spokój. Wtedy pojawia się trzeci. Biegnie z rowerem, rower szoruje po ziemi, on go ciągnie, przeklinając głośno.

Zostaje przystanek i ławka. Chcąc nadać fantazji ceglanej bryle, artysta wysprejował na ścianie kłos zboża. Wymalowana od szablonu formuła wyraźnie odbija się od bieli muru, znak z daleka przypomina strzałki, które na lotniskach i w centrach handlowych regulują przepływ tłumów. Tutaj kłos wskazuje w dół.

## Odchylenie ideologiczne

Dawne Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, które służyło do 2014 roku, to kilka sal wypełnionych gorzkim wspomnieniem przerobionym na sukces. Budynek mieści się w bocznej ulicy przy Pałacu Republiki, kilkadziesiąt metrów od jego surowej bryły. W środku pusto, szatniarce się nudzi. Koniecznie chce wiedzieć, z jakiego regionu Polski pochodzę. Ile kilometrów do Berlina z domu? Pyta i liczy w głowie czas przejazdu. Berlin, miejsce triumfu sowieckiej armii, jawi się jej jako raj na ziemi: ma przyjaciółkę, która tam wyjechała. Przyjaciółka sprząta domy bogatych Niemców. Berlin to wymarzony świat. Szatniarka chwilę się waha, sięga po swoją torebkę wiszącą na wieszaku i wyciąga portfel. Pokazuje zdjęcia swoich dzieci. Dwudziestolatki patrzą z fotografii uśmiechnięte i uczesane.

Trasę zwiedzania ułożono chronologicznie: trochę tablic z opisami, trochę sztuk broni, armata. Nie ulega wątpliwości, że wojna była straszna. Ale również, że wojna była zwycięska. Białoruś, jak i reszta Europy, została wyzwolona przez Sowietów. Wszystko zaczyna się od wąsatego Stalina na Krymie i informacji o zerwaniu paktu o nieagresji przez Niemców. Teza zobrazowana jest czołgiem. Czołg rozbija tekturową ścianę i pojawia się nad głowami zwiedzających. Dalej w podobnym tonie. Nic o zniszczeniu Mińska, nic o terrorze Stalina. Po co drażnić temat.

Przed muzeum spokój. Plac przez Pałacem Republiki sprawia, że ludzie wydają się pojedynczymi kropkami. Gina w przestrzeni. Wojskowy w mundurze zapytany o zgodę na zdjęcie rządowego obiektu nie rozumie, o co mi chodzi. Kłania się i z życzliwym uśmiechem na szerokiej, spoconej twarzy stawia teczkę na ziemi, ociera chustką pot z czoła i poprawia włosy. Potem zastyga z rękami spuszczoneymi wzdłuż ciała, patrząc prosto w obiektyw. Wyjaśniam nieporozumienie, a on śmieje się głośno.

– Trzeba przyjechać zimą – mówi. – Wtedy ten plac zamienia się w lodowisko. To prezent dla mieszkańców miasta od prezydenta. Prezydent

kocha hokej, sam gra.

Zimą plac rzeczywiście wygląda lepiej. Po zmierzchu robi się tu przytulnie. Potężne, monumentalne bloki oświetlone lampami wydają się płaskorzeźbami. W dole tłum łyżwiarzy bawi się przy muzyce. Jest w tym synergia władzy i obywatela. Władza milcząca i wyniosła, a pod jej okiem wesoły tłum ludzi. Lodowisko jest ogromne. Pary trzymają się za ręce, grupki chłopaków w hokejówkach suną zygzakami, rodzice powoli prowadzą swoje dzieci z trudem utrzymujące równowagę. Im bardziej robi się ciemno, tym bardziej chce się być blisko tych ludzi i życia. Milicjanci obstawiający lodowisko wydają się zadowoleni.

Po wojnie w Mińsku pozostał co dziesiąty budynek. Dawne miasto przestało istnieć. Stalin miał wizję nowego Mińska i kazał je odbudować po swojemu. Planiści, nie patrząc na przeszłość ani na mapy starego miasta, zaprojektowali coś zupełnie nowego. Miało to być wcieleniem architektonicznej doskonałości. Tak powstał największy na świecie kompleks budynków socrealistycznych. Wielkie mauzoleum idei stalinowskiej. W latach sześćdziesiątych miasto otrzymało zaszczytny tytuł Miasta Bohatera. Ludzie mówią: Stalin jaki był, taki był, ale miasto odbudował pięknie.

Ziemia się jednak przeciwstawia. Hotel Mińsk budowany na siedemdziesiątą rocznicę rewolucji październikowej zaczął się chylić, zanim został ukończony. Wszystko przez błota. Odchylenie, które sięgnęło u szczytu kilkunastu centymetrów, potraktowano również jako ideologiczne. Inżynier opiniujący warunki geodezyjne w obawie przed procesem popełnił samobójstwo. Paharełau, architekt, wpadł w panikę. W pokojach komunistów, wyłożonych skrzypiącymi parkietami, rozgrywało się polityczne śledztwo. Ostatecznie dobudowano kompleks wypoczynkowy, który wsparł konstrukcję. Dziś w hotelu można się i wypaść, i zrelaksować.

Pałac Republiki stanął na zgliszczach klasztoru dominikanów. Stojący nieopodal klasztor i kościół pod wezwaniem Świętego Tomasza z Akwinu przetrwał zrujnowany wojnę, ale w latach pięćdziesiątych Sowietci wysadzili go w powietrze. Być może chodziło o zniszczenie jednej

z najstarszej ulic Mińska – ulicy Jurowskiej. To był symbol trwałości miasta: mieścił się tam Wysoki Rynek z kościołem, klasztorem i pałacem Sapiehów. Może jednak poszło o to, że potężny kościół stanowił tło dla pomnika Stalina i Gruzin, mimo dumnej postawy, wyglądał marnie. Przez trzydzieści lat plac przygotowany pod Pałac Republiki pozostawał pusty. Prace ruszyły dopiero w latach osiemdziesiątych XX wieku. Już pierwsza koncepcja zakładała, że gmach będzie posiadać podziemne ciągi komunikacyjne łączące obiekt z Komitetem Centralnym. Pod ziemią miało znaleźć się pięć kondygnacji przeznaczonych na parkingi i magazyny. Tego jednak nie udało się osiągnąć w pierwszym etapie. Prace przerwała pierestrojka. Największa geopolityczna tragedia XX wieku, jak mówi Władimir Putin, wymusiła weryfikację planów. Przez kilka lat na gigantycznym placu budowy nic się nie działo. Odkryta dziura w ziemi, głęboka na dwadzieścia metrów, prezentowała ściany wykopu pełne fragmentów murów, ceglanych zwieńczeń i starych fundamentów. Budowę udało się zakończyć dopiero za Łukaszenki. Dzięki pieniądzą z Moskwy można było zapomnieć o oszczędzaniu. Niedawno wrócono do budowy podziemnych korytarzy. Teraz w gmachu dawnego KC rezyduje Administracja Prezydenta. Sam Komitet również posiada potężne podziemia. Nie są dostępne dla zwiedzających. Połączenie ich z podziemiami Pałacu Republiki stworzy trudny do zdobycia system korytarzy. Wiadomo: trzeba mieć gdzie się schować.

## Człowiek idzie

Człowiek idzie! Ponad głowami żywych idzie człowiek. Niosą go w trumnie, pudło się kołysze, płynie ponad tłumem, ludzie podają je sobie z rąk do rąk. Eufrozyna Połocka wraca do swojego miasta z trwającej kilkaset lat wędrówki. Ktoś przytomny robi zdjęcie. Ustawia aparat i obejmuje trumnę i tłum. Jest początek XX wieku. Miasto wiele przeszło, ale pamięć o świętej przetrwała. Na zdjęciu kobiety mają kapelusze na głowach, na twarzach głębokie cienie. Carscy oficerowie w niebieskich galowych mundurach. Słońce świeci mocno i jakaś kobieta parasolką osłania małą zakonnicę. Nie widać jej twarzy, widać tylko trójkąt okolony jasnym welonem. Im dalej w głąb perspektywy, tym coraz mniej można zauważyć. Brody, wąsy, profile. Twarze ludzi są nieostre. Jeszcze gdzieś na trzecim albo czwartym planie widać jednego z oficerów, który oślepiiony światłem przykładą rękę do czoła i spogląda na trumnę, jeszcze na stopniach cerkwi stoi otoczona kadetami dziewczyna w ciemnej sukni, ale już dalej, za nią zaczyna się gęsty bezosobowy tłum. Wejść tam i przepychać się. Minąć potężnych popów opatulonych w ciężkie feloniony. Stłoczeni przed drzwiami cerkwi wyglądają jak jakieś pękate krasnoludy.

Dziwne to wędrowanie wbrew prawdom fizyki. Nie ma jej, ale jest. Święta szła do swojego domu, do wymurowanej w prawej ścianie cerkwi Przemienienia Pańskiego celi – małego pokoiku na planie krzyża, w którym dało się jedynie leżeć i modlić. Archeologom, którzy go otworzyli, ukazała się mała kopia świątyni. Na ścianach celi Eufrozyna kazała wymalować miniatury fresków, którymi ozdobiona była cerkiew. Freski w cerkwi przetrwały niemal tysiąc lat, żeby potem, w trakcie którejś z kulturowych wojen, zniknąć pod nowymi malowidłami. Cela Eufrozyny z zamurowanym wejściem przetrwała w niezmienionej formie.

Nie wiem, kiedy zostało wykonane zdjęcie sprowadzenia relikwii; znalazłem je zupełnym przypadkiem. Było bez daty, z nałożonym filtrem, który wyciągał tylko złoto i zielenie. Stoją więc przed cerkwią i odprawiają

rytuały. Jeszcze pięć schodów i finał. A może za wcześnie? Może trzeba ją najpierw oprowadzić i pokazać Połock? Ten, który zostawiła, wyglądał przecież zupełnie inaczej. Połock, który przyjdzie, też będzie całkiem inny. Chyba nie ma innego sposobu, jak pokazać jej plany miasta. Robione przez stulecia, nakładane jeden na drugi dałyby najlepszy obraz tego, że miasto żyło i żyje. Zginęły dzielnice, powstały nowe, spłonęły wsie, wsie odbudowywano, wszystko przeszło jedno w drugie. Budynki znikwały, a na ich miejsce pojawiały się nowe, Połock się przekształcił. Albo można by ją zabrać w podróż i zaprowadzić do Nowopołocka, pokazać niegasnące iluminacje fabryk i rafinerii, o jakich aniołom się nie śniło. Patrz: tu przerabiamy ropę na pochodne ropy. Dać jej nacieszyć się wielką magistralą kolejową, która oplata Połock. Z pewnością byłaby zadowolona. Zniknąć i pojawić się, żeby zobaczyć upływ czasu jak na dłoni – bezcenne.

Motyw znikania pojawia się również w książce *Szlachcic Zawalnia czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach* Jana Barszczewskiego. Zbiór to takie dziedzictwo białoruskich podań, a jego autora otacza powszechny szacunek. W XIX wieku jako młody chłopak jeździł po dworach. Zapraszano go na przyjęcia, bo wiadomo było, że potrafi rozbawić towarzystwo. Miał genialną pamięć i umiejętność żartu, poza tym świetną dykcję, no i uwielbiał opowiadać. Jego specjalnością były ludowe przypowieści. Żadnych opowieści z dalekiej Europy albo Rosji, żadnych plotek o innych dworach: po prostu nieszkodliwe bajki, których dobrze się słuchało, bo nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Bohater jednej z nich strasznie się męczył codziennością swojej wsi. Pewnego dnia zwierzył się wędrownemu handlarzowi ze swojego planu: chciałby uciec, ale nie wie jak. Handlarz, słysząc to, opowiedział chłopakowi o zielsku, które rośnie na dnie pobliskiego jeziora. Od zielska ponoć spada zasłona z oczu. Chłopak poszedł więc nad jezioro i zanurkował. Pod wodą otoczyły go tajemnicze świetliste istoty. W końcu znalazł to, czego szukał, nie miał wątpliwości: roślina świeciła swoim własnym światłem. Zerwał jeden liść i wyszedł na brzeg, przyłożył go do czoła, tak jak mu kazano. Nic się jednak nie stało. Rozczarowany wrócił do wsi, ale okolicy nie mógł już poznać. W oddali, na wzgórzu, gdzie kiedyś stał murowany kościół, drzewa

otaczały ruinę. Kawałek dalej, tam gdzie jeszcze przed chwilą osada rozbrzmiewała codziennymi hałasami, teraz rozciągała się równina. Poznał miejsce po dwóch gruszach. Wędrując tak, pytał ludzi o swoją wieś, ale jej nazwy nikt nie mógł sobie przypomnieć. W końcu spotkał starca. Siedział na zwalonym pniu pod lasem i odgarniał strąki siwych włosów z pomarszczonej twarzy. Chłopak rozpoznał w nim wędrownego handlarza. „Gdzie moja wieś?” – spytał. „Wieś? Już jej nie ma. A gdzie ty byłeś? Całe lata minęły od czasu, jak cię ostatni raz widziałem” – odpowiedział handlarz.

Eufrozyna nie zagrzała miejsca w Połocku. Kilka lat później z płaczem i w pośpiechu pakowano ją na wóz wyłożony sianem. Właśnie wybuchła I wojna światowa. Armia niemiecka zbliżyła się do Połocka. Zaczynało się bieżenie. Eufrozyna szła wśród ludzi na wschód. Potem znowu wróciła. Witali ją uroczyście. I znów ją wywieźli. Tym razem do Witebska, do muzeum. Zrobili z niej eksponat. Nawet sowiecka nauka ceniła relikwie.

– On ci pokaże podziemia – mówią do mnie naukowcy z połockiego uniwersytetu.

Wygląda na szaleńca, od razu nazywam go Jurodiwy. W kulturze dawnej Rosji Jurodiwy to ktoś na kształt mędrca, ale i głupca jednocześnie, święty człowiek, którego nawet dziś uważa się za postać stojącą między światami, tym ludzkim i tym, do którego ludzie z racji swojego ograniczenia nie mają jeszcze dostępu. To ktoś, kto dzięki czystemu sercu zajrzał za zasłonę zakrywającą prawdę i to, co tam zobaczył, sprawiło, że oszalał. Widać to po tym, jak chodzi, jak przepływa pomiędzy ludźmi pogrążony we własnych myślach. Idzie korytarzami połockiego uniwersytetu i nikogo nie widzi. Ludzie się rozstępują. Wiedzą, że ma swój świat i że w żaden sposób do tego świata się nie dostaną. Korytarze w gmachu uczelni wąskie, trwa remont. Jurodiwy to ostatni przyczółek przeszłości. Sale wykładowe są przenoszone, klatki schodowe nieczynne, pachnie świeżą farbą. Chcąc wejść na wyższe piętro, trzeba kluczyć. Wspinać się drugą klatką, żeby na końcu znaleźć się w rejonie pokoiów rektorskich. Trzeba więc znów zejść w dół i znów szukać kolejnej klatki schodowej. Wędrówka przypomina

grafiki Eschera: nic nie prowadzi tam, gdzie powinno, schody wiodą cały czas w to samo miejsce. Jurodiwy wie, jak iść. W jego pamięci budynek to żywy organizm, który się przemienia, a on rozumie jego przemianę. Jeśli odwiedzać podziemia uniwersytetu, to tylko z nim. Całe lata drąży i szuka, czuje się tam jak w domu.

Niechętnie godzi się na spotkanie. Nie powinno się mówić o podziemiach. Nikt tego nie zrozumie. Za głęboko w nie wszedł, za dużo widział, żeby móc tak nagle stać się przewodnikiem. Ale dostał nakaz od ludzi z wydziału archeologii. Nie miał wyjścia. Pojawia o wskazanej porze w uniwersyteckiej stołówce. Bez słów kiwa głową i każe iść za sobą.

Prowadzi mnie najpierw do biblioteki. Odnowiona wielka sala z półkami z laminatu. Może tylko globus sprawia wrażenie zabytkowego: pożółkła kula z wizją świata sprzed wieków. Kontynenty niby są, ale jakieś inne. Tak jakby wciąż rosły i wciąż jeszcze przetwarzały się w swój finalny kształt. Jurodiwy z nikim się nie wita, wchodzi między półki w swojej puchowej kurtce, wymiętolonej, wiszącej na nim jak na dziecku wojny. Spodnie od garnituru brudne, przetarte na kolanach. Włosy w strąkach, płowe. Poprawia je dłonią, kiedy opadają mu na twarz. Idzie między półki i wyjmuje książki. Rozkłada na stole okazałe tomisko i tłumaczy. Jego palce biegają po kolejnych kartkach, chyba nawet nie interesuje go, czy nadążam. Migają ryciny, brudnym paznokciem pokazuje akapity. Jego usta coś szepczą, mówi niewyraźnie, tak jakby całą wiedzę chciał zachować dla siebie. Pokazuje mapę podziemi: tu są fundamenty, tak biegną korytarze. Pójdziemy tam? Pójdziemy, pójdziemy. Patrz. To krzyż świętej Eufrozyny. Dotyka palcem jego pionowej belki, poprawia włosy, prostuje się i patrzy na mnie tak, jakby ten krzyż miał przed sobą. Potem idziemy. Znów korytarz, zakręt, prosta, zakręt. Prowadzi mnie do jakiejś gablotki, w której znajduje się makieta kolegium. Pochylony szepce coś, ale ja nie jestem w stanie słuchać. Nie chcę oglądać starannie wymodelowanego dachu, tych wszystkich aspektów architektonicznych, gąsiorów, cegieł. Nie makieta. Makieta mnie nie interesuje.

Potem wychodzimy przed budynek. Na dworze tłum studentów. Prowadzi mnie na dziedziniec i każe zaglądać do studni. Tam – w dół.

Patrz. Studnia. Stary wydrążony w ziemi otwór. On ma połączenie z podziemiami. Wychodzimy z dziedzińca przed uniwersytet.

Otwiera kluczem metalowe drzwi prowadzące z ulicy. Cegły, sklepienia łukowe, deski na podłodze. Idziemy korytarzem. Jego krok się uspokaja. Chodzi od ściany do ściany, powoli, krok po kroku, i pokazuje palcami układ cegieł. Po obu stronach korytarza są drzwi. Otwiera jedno: pokazuje się pomieszczenie, a w nim dwóch facetów w kitlach przy stole. Kanapki, szklanki z herbatą. Jakiś warsztat. Nic szczególnego: maszyny ślusarskie, cicho gra radio, na ścianie plakaty z gołymi babami. Faceci patrzą na nas, intruzów, my patrzymy na nich, przez chwilę milczymy, ci dwaj wyglądają jak jakaś scena z malarstwa flamandzkiego: oświetleni jarzeniówkami w otoczeniu swoich przedmiotów. Idziemy dalej, korytarze robią się coraz węższe, Jurodiwy otwiera kolejne drzwi, znów pojawia się boczne pomieszczenie. Kotłownia. Na środku, pod ceglanym sklepieniem, przez które wychodzi system rur, stoi piec: stalowy kolos osmolony od sadzy. Jurodiwy obchodzi go, stuka palcem w rdzawą powierzchnię, dotyka tego cielska z czułością, potem pokazuje jeszcze jakieś techniczne aspekty. Wychodzimy i idziemy dalej, linia żarówek się skończyła, robi się ciemno, coraz mniej technicznie. Ziemia, którą są wysypane korytarze, staje się miękka, pojawiają się półkoliste wnęki. Jurodiwy klęka i zagląda do jednej z nich. Wyjmuje latarkę. Klękam i zaglądam, ale nic nie widać. Pół metra wysokości, siedemdziesiąt centymetrów szerokości. Jurodiwy szepcze: kanał irygacyjny. Biegnie do soboru Sofijskiego. Można tamtędy przejść? Można. Ale trzeba się czołgać. Mówi: ludzie tam chodzili, ale trudno się idzie. Kawałek po kawałku, metr po metrze w ciasnej, klaustrofobicznej pozycji. I co? Nie wie co. Wie tylko, że te kanały łączą się z odwodnieniem całego wzgórza: systemem odprowadzenia wody wyłożonym drewnem. To nimi woda wychodzi ze wzgórza. Te kanały w głębi łączą się ze szczelinami skał. Tam chodził Łastouski, a przynajmniej jego bohater.

Idziemy jeszcze kawałek, a potem pochyleni przechodzimy pod niskim sklepieniem. Teraz znajdujemy się w zupełnej ciemności. Okrągłe pomieszczenie ma niski sufit. Klękamy i w świetle latarki odsłaniamy piasek. Pojawia się cembrowina. Odsłaniamy jeszcze trochę, aż zarysowuje

się jej kolisty kształt. To tutaj. Tutaj kiedyś było zejście na niższe kondygnacje. Jurodiwy mówi: pamiętam, że była tu nawet drabina, która prowadziła w dół. Potem władze uniwersytetu kazały zasypać to wejście. Nie próbowaliście kopać? Nie ma zgody. Żeby tam zejść, trzeba by zaangażować uniwersytet, znaleźć wsparcie finansowe: bez pieniędzy się nie uda. Za duże przedsięwzięcie. Więc co? Nic.

Wychodzimy na światło dzienne. Na placu przed uniwersytetem kręcą się studenci. W miejscu kościoła należącego kiedyś do jezuitów wznosi się wieżowiec. Na czwartym albo piątym piętrze kobieta rytmicznie tłucze trzepaczką dywan przewieszony przez balustradę.

## Jak się robią cuda III

W latach dwudziestych XX wieku Wacław Łastouski, wówczas dyrektor Muzeum Narodowego w Mińsku, zorganizował ekspedycję. Jej zadaniem było wywiezienie krzyża świętej Eufrozyny z Połocka i zdeponowanie relikwii w mińskim muzeum. Ekspedycja skończyła się sukcesem, krzyż zabezpieczono. Nie na długo. W latach trzydziestych XX wieku Stalin podjął decyzję o przeniesieniu stolicy z Mińska do Mohylewa. Mińsk jego zdaniem leżał zbyt blisko granicy ustanowionej w traktacie ryskim. Istniała obawa, że sięgnie go ostrzał artyleryjski ze strony burżuazyjnej Polski.

Na zdjęciach z lat trzydziestych zeszłego wieku Mohylew wygląda na małą miścinę. Brodaci Żydzi w chałatach, drabiniaste wozy, którymi wieśniacy przywożą do miasta swoje produkty. Bazar Szkłowski leżący przy prospekcie Dnieprowskim kwitnie.

W 1938 roku rozpoczęto budowę Domu Sowietów – przyszłej siedziby rządu. Zlecenie otrzymał Iosif Łanhbard. Powstała bryła, w której odbijały się jego słowa o architekturze: „wertikalnej, pionowej, silnej, pełnej czynu i dynamiki, która stoi w naturalnej opozycji do tego, co horyzontalne, płaskie, pozbawione woli życia i nieskłonne do wewnętrznego przeobrażenia”. Swojski Mohylew stał się polem ideologicznego eksperymentu.

Pod mohylewskim Domem Sowietów, w systemie magazynów i schronów złożono cenne białoruskie artefakty zwiezione z różnych zakątków kraju.

Trafił tam również krzyż.

We wrześniu 1941 roku na tereny podbite przez niemiecką Grupę Armii „Środek” wjechała grupa specjalna kierowana przez nadradcę Archiwum Wojsk Lądowych barona Ottona von Waldenfelsa. Ten pięćdziesięciodwuletni mężczyzna, łączący od dzieciństwa pasję wojskowości z miłością do archiwaliów, miał za zadanie zebranie i zabezpieczenie wszystkiego, co pozostawiła po sobie Armia Czerwona.

Interesowały go przede wszystkim biblioteki. Z wrażliwością archiwisty pisał w kolejnych raportach swojemu szefowi, generałowi Friedrichowi von Rabenau, o odkryciach. Jego raporty to były proste słowa. W Mohylewie odwiedzał biblioteki, muzea i kościoły, budynki użyteczności publicznej. Wiele nie pozostało. Dokumenty odnalezione w cerkwi Świętych Piotra i Pawła doszczętnie spłonęły. Prawdopodobnie w wyniku podłożenia przez Sowietów ładunków wybuchowych z zapalnikiem czasowym. Eksplozja nastąpiła w dwa dni po przybyciu oddziałów niemieckich. W kościele odnaleziono namoknięte od deszczu i spopielone druki ułożone w stosy wysokości jednego metra. Na rogu ulicy Mironowa i prospektu Dnieprowskiego von Waldenfels odnalazł bibliotekę ze stoma tysiącami książek na półkach w stanie nadającym się do inwentaryzacji. Aby uporządkować księgozbiór, zlecił zatrudnienie miejscowych kobiet. Klucząc swoim gazikiem po okolicy, w końcu dotarł do sedna. Młodsza część Historycznego Archiwum Białorusi obejmująca druki sięgające 1550 roku odnaleziona została w niewielkim kościele. O wiele gorzej walkę o miasto zniosła najstarsza część Archiwum Białorusi, obejmująca woluminy od zarania dziejów do roku 1550. Przeniesiona do budynku Centralnego Zarządu Archiwów, całkowicie się spaliła. Na ślad krzyża von Waldenfels nie trafił. Kiedy węszył po Mohylewie, krzyż wraz z innymi cennymi przedmiotami był już w drodze do Moskwy. Według legendy w czerwcu 1941 roku do budynku Domu Sowietów weszło kilku funkcjonariuszy NKWD. Kazali otworzyć sejf, wyjęli z niego okazały pakunek i wsadzili do torby. Po chwili ich nie było. Tak zniknęła najcenniejsza białoruska relikwia.

Są tacy, którzy twierdzą, że krzyż w latach trzydziestych od Rosjan kupiła bogata amerykańska rodzina związana z sektorem bankowym.

Łastouski zginął rozstrzelany w saratowskim więzieniu. Podobnie jak krzyż Eufrozyny, jego postać zniknęła z pola widzenia historyków. Dziwne, że dopuścił się wywiezienia krzyża. On: mistyk, człowiek odczytany, świadomy mocy słowa, zapomniał o tym, że słowa mają wielką moc. Szczególnie słowa świętych. Na krzyżu było wezwanie, żeby go nie ruszać z klasztoru. Nie wiadomo, gdzie Łastouski został pochowany i jak

wyglądały jego ostatnie dni. Pozostaje po nim legenda o połockich labiryntach.

## Rusztowanie

Jest jak porcelanowa laleczka ustawiona na środku wielkiego apartamentu. Szczęśliwa, tryskająca życiem i pomysłami. Okna mieszkania wychodzą na przedmieścia Grodna: widać przez nie skupiska wieżowców. Są piękne. Czasem architektom przedmieście chce się tworzyć formy łączące finezję i prostotę: tak powstają wspaniałe monolity z betonu, ale z detalami. Widać w nich pasję. Projektanci pozwolili sobie albo pozwolono im na przemyślenie do budżetu i projektów odrobiny życia. To nic, że bloki są szare, mają w sobie jednak witalność. Dalej, za osiedlem, ciągnie się stare Grodno, do którego wzdychają Polacy. Stąd go jednak nie widać. Trzeba wyjść poza bloki, żeby zobaczyć wieże kościołów śródmieścia. Najeżoną szpicami wymierzonymi w niebo panoramę. Patrząc tam, lepiej się nie oglądać za siebie: bloki nie wytrzymują tej konfrontacji. Są znowu obskurne.

Porcelanowa Laleczka porusza się po mieszkaniu boso. W krótkich, białych spodenkach. Ma wspaniały dzień. Właśnie odebrała swój portret. Olej na płótnie. Widać, jak artysta pozbawiony mocy twórczej, ale cierpliwy, zmagął się z jej twarzą i ramionami. Obraz ma zawisnąć na fragmencie ściany otoczonej meblościanką. Miejsce wyznaczono, nie ma jednak wiertarki. To nic. I tak robi wrażenie, kiedy stoi oparty o ścianę. Wieczorem siedzimy w sterylnej kuchni Porcelanowej Laleczki. Trochę czytamy, trochę pijemy. Ona pisze coś do swoich przyjaciół. Portal społecznościowy WKontaktie.ru pozwala na kontakt niemal z całym światem. Rządzi cyrylica. Ludzie z Nowosybirsk, Mińska, nawet Irkucka kontaktują się ze sobą, przesyłają muzykę, memy, śmieszne filmy. Wiadomo, łączy ich język. Porcelanowa Laleczka białoruskiego nie zna. Życzliwie rozbawiona pyta: po co? Po co mówić po białorusku? W tym, co mówi, czuję, jakby pytała mnie: po co tu przyjeżdżam? Tak jakbym pytając o język, chciał coś odwracać. Burzyć. Każdy przecież chce być obywatelem świata, a nie członkiem małej, zapomnianej społeczności wyrzuconej poza

nawias historii. Ale z białoruskiego nie drwi, po prostu jest życzliwie rozbawiona.

Plany ma śmiałe, być może przez matkę, która pracuje w wydawnictwie. Mówi: kiedyś będę miała sklep, będę dobrze żyła. Pokazuje gestem kuchnię, jakby to ona miała dowodzić, że już żyje nieźle, choć mieszkanie należy do matki. Kuchnię wykonano na zamówienie. Fronty w kolorze dębu, dobrze wpasowany pochłaniacz. Na drzwiach lodówki kolorowe magnesy.

Spędzam u niej dobę. Następnego dnia żegnam się, wchodzę do windy, a ona uśmiechnięta macha mi na pożegnanie. Z pewnością to dobre życie i Porcelanowa Laleczka ma rację. Jeśli jeszcze dałoby się powiesić jej portret, byłoby to mieszkanie doskonałe. Żelazne drzwi klatki schodowej prowadzące na zewnątrz mają niewielkie zakratowane okienko i elektryczny zamek z klawiaturą do wbijania kodu. Próbuję sobie przypomnieć jego kombinację, którą Porcelanowa Laleczka podała mi na odchodne, ale w pożegnaniu mi umknął. Duszę więc, zmieniam kombinację i wciskam klawisz z symbolem kluczyka. Daremnie. Nie chcę wracać na górę po tak udanym pożegnaniu. Czekam. Mijają minuty, robi się kwadrans, za drzwiami dzieci krzyczą w piaskownicy, nie móc ruszyć się z miejsca to chyba najgorsze doświadczenie. W końcu słychać kroki. Za kratkami pojawia się cień, wybija na klawiszach po drugiej stronie kod, w końcu elektryczny zamek brzęczy. Drzwi się otwierają i przez szparę wpada jasne światło dnia.

Być może to prawda, że Herodotowe morze znajdowało się właśnie tutaj. Tak naprawdę nie było to morze. Było to wielkie jezioro, basen wody, który wraz z wypiętrzaniem terenu malał i teraz przypomina jedynie muliste bagno. Przyjęło się jednak, że kiedyś było tu morze. Tak przynajmniej pisał w swoim opisie świata Herodot. Badacze, analizując jego wędrówkę, odnajdują to jezioro na Polesiu. Po morzu pozostała etykieta używana przez historyków i literaturoznawców. Naukowcy wyjaśniają, że torfowiska i bagna wypiętrzają się centymetr rocznie. Być może wszystkiemu winny jest ruch ziemi. Jeśli więc nawet taki akwen poddany jest działaniu czasu, jakim prawem jednostka może decydować

o sobie i swoim losie? W bezmiarze zmian nie ma punktu, na którym można się oprzeć. Nawet geografia w swojej istocie wydaje się płynna. Co z tego, że za oknem dzieją się rzeczy, wydawałoby się, nieusuwalne?

Może jeszcze tylko Prypeć się nie poddaje. Rzeka przypomina Amazonkę. Właściwie tak samo trudno do niej dotrzeć jak do Ameryki Południowej. Ale to nie do końca prawda, trzeba jedynie przedrzeć się przez zasieki uprzedzeń i plotek o pijanych kierowcach i skorumpowanych milicjantach w idiotycznych czapach, siejących spustoszenie na drogach. Nie ma w jej rozlewiskach kawalkad samochodów terenowych obklejonych naklejkami, ludzi w polarach, wielkich obiektywów aparatów fotograficznych przyklejonych do twarzy pracowników korporacji i przedsiębiorców, którzy na dziesięć dni przyjechali podglądać prawdziwe życie.

Rzeka biegnie na południe. Bagna tworzą koliste formy wokół koryta. Rzeka rozlewa się, potem chowa znów w swojej wytyczonej wysokimi skarpami granicy i płynie dalej. Żeby poznać jej ruch, trzeba mieć czas. Setki dni. Spoglądać nieruchomo z jednego punktu, patrzeć poklatkowo: w perspektywie godzin jest tylko spokojnym nurtem, mętным i silnym. W perspektywie miesięcy jest samym życiem. Prypeć trwa tysiące lat i tak jak dawniej biegnie swoim krętym sposobem na południe, do Dniepru. Trzeba tylko odpuścić proste linie szos i klarowny układ miejscowości i iść do niej, do jej wysokich brzegów.

Wreszcie kończy się szuter i pojawia się ona. Nabrzeże w tym miejscu to wielki projekt budowlany, który chyba się nie udał. Coś przerwało pracę ludzi. Może kolejne zmiany polityczne, może ekonomia, która rządzi wszystkim. Zamiast brzegu rzeki: piaszczystych łąk i skarp, na które można wejść i patrzeć w dół, tutaj rozciąga się bezmiar wybetonowanej przestrzeni. Pracowały tu tysiące ciężarówek dowożących piasek. Kręcące się w nieskończoność betoniarki lały beton. Lano i lano ten beton, jakby ta warstwa miała uspokoić wodę. Powstała platforma: wymurowane nabrzeże, skrzynia z transformatorem, druty zbrojeniowe wystające z ziemi. Może to jeden z tych wymarzonych portów rzecznych, którymi miały wędrować towary pomiędzy morzami? Nic dziwnego, że zwolennicy Międzymorza,

onieśmieleni sami sobą i wielkim projektem politycznym, który marzy im się po nocach, przytaczają ten argument. Bo wejść do Prypeci to dotknąć jednocześnie północy i południa: niedaleko stąd, w górę biegu, jest kanał, który w XVIII wieku przekopał Ogiński. Setki ludzi, łopata za łopata, prawie pięćdziesiąt kilometrów w linii prostej. Tak połączył Niemen z Dnieprem. Kopaniem prostego odcinka w ziemi wzbił się na poziom kosmiczny: nurt wody złączył Morze Bałtyckie z Morzem Czarnym.

Przy zjeździe z szosy na nabrzeże stoi dom. Rzeka sięga nawet jego podwórka: łódzie i wrak samochodu leżące za domem wyglądają, jakby zsuwały się po pochyłym terenie w stronę jej koryta. W domu mieszka para starców. Oboje maleńcy, tak jakby formatem dopasowali się do swojego obejścia. Są życzliwi. W obliczu rzeki, która płynie za ich domem, i tej gigantycznej przerwanej pracy inżynierów na nabrzeżu, wydają się pochodzić z innej bajki.

– Mój ojciec pływał po tej rzece – mówi starzec. – Dłutem i kamieniem remontował dłubanki, potem ruszał w drogę. Trzeba było płynąć rzeką z nurtem, dostać się na drugi brzeg. Gdzie? Gdzieś tam w dole. Tam wpływali na bagna. W ręce ojciec miał prosty kij do odpychania się po rozlewiskach. Nóż, chleb, siatkę na ryby, szeroki kapelusz. Nic więcej. Jego dłubanki zniknęły. Nie wiadomo, co się z nimi stało.

Dziadek macha ręką. Gdziekolwiek się pójdzie, można jeszcze takie łódzie wypatrzeć. Koło przeprawy promowej pod Pińskiem leżą jedna na drugiej, tuż obok pieców do wypalania drewna ustawionych szeregiem. Nieużywane, dostały się w ręce natury: wyczyszczone przez wodę i wyprażone przez słońce mają siwy kolor, zupełnie jak kość. Nawet smoła się poddała: zastygła w twardą, mało plastyczną masę, ale to nic nie szkodzi. I tak nie są potrzebne.

Czasem ludzie z rzeki ruszali do miasta. Kiedy się wynurzali ze swoich bagien, etnografowie ze wzruszeniem obserwowali ich postoje. Archiwalne zdjęcia z Pińska albo Mozyrza pokazują, jak dobijając do brzegu, stawiali łódź koło łodzi i sprzedawali swoje produkty. Targowiska nawodne dzikich.

Starzec ociera czoło, chce kończyć rozmowę. Idź już. Uważaj na nurt. Dalej popłyniesz, będzie zona. Tam lepiej nie jechać. Tam ludzi zatrzymują.

Tylko rzeka pójdzie dalej. Starzec przynosi suszone ryby. Podaje mi je przez szpary w bramie. Ryby są nabite na patyk. Mają twardą skórę i słone, żylaste mięso. Bardzo go mało.

Rzeka toczy się leniwie. Po obu stronach ciągną się skarpy z jasnego piachu. Czasem na środku jej nurtu wyłania się jak brzuszysko wieloryba jasna, płaska łacha: długa na sto, może dwieście metrów. Na niej chude drzewo, tatarak, twarda, obmyta wodą powierzchnia, którą zamieszkują ptaki. Potem znowu nurt się łączy. W pewnej chwili przychodzi burza, rzeka odpowiada na to stalowym kolorem, robi się całkiem szalona, ponton podskakuje na falach, które biją z każdej strony. Trzeba w strugach deszczu odpychać się od brzegu i uciekać na środek. Brzeg niebezpieczny: woda podmyła drzewa, a one pokonane leżą w wodzie, ich korzenie wystają z nurtu. Mogą uszkodzić ponton. Czasem na prawym brzegu widać pojedynczy samochód. Obok ognisko. Ludzie w battledressach kręcą się po obozowiskach, poprawiają wędkę. Z ognisk ciągnie błękitny dym, niemal niewidoczny na tle zieleni. Lewa strona to co innego. Też skarpa, ale po wejściu na nią widać bezkres płowych łąk i ciągnące się po horyzont siwe łąki. Kawalek dalej „zakaźnik” – tak mówią. Wschodnią stronę wyłączono z życia. W końcu lat osiemdziesiątych utworzono tu strefę skażoną promieniowaniem z Czarnobyla. Granica strefy leży na rzece.

A potem pojawia się Narowla. Prypeć biegnie na południe, a na końcu, zaraz przed granicą z Ukrainą, pokazuje się miasto. Najpierw widać stary pałac. Kiedy jeszcze żył, z jego okien widać było na wprost nurt rzeki. Kawalek dalej jest wodna strażnica. Niby martwa, ale wystarczy pokazać się, żeby z jej brzegu ruszyła łódź. Ryk silnika ciągnie się po wodzie. Dziób wysoko uniesiony w górę. Łódź podskakuje na falach, dwa razy otacza ponton. Facet bierze do ręki megafon i po rosyjsku mówi, że zakaz. Dalej granica. Trzeba zejść na brzeg.

Stanica strażników to prosty barak z łódkami wyłożonymi do góry dnem. Pomiedzy plażą a budynkiem ciągnie się ogród. Mają najwidoczniej dużo wolnego czasu: pielęgnują go. Opony, zawsze takie same – od ciężkich maszyn rolniczych – pomalowane farbami w jaskrawe wzory

zamienione zostały na klomby. Wszędzie rosną kwiaty. Pomiedzy nimi rzeźbione z drewna zwierzęta. I jeszcze wilczur zmęczony stróżowaniem.

– Część ludzi uciekła. Wszystko przez wiatr – mówi strażnik. – W czasie awarii Czarnobyła źle wiał. Wiał na północ. A powinien wiać na południe. W stronę Morza Azowskiego. Chmury pyłu powinny iść Niziną Naddnieprzańską aż do Donu. Byłby spokój. Wszystko by się inaczej potoczyło. Ale wiatr wiał na północ. Wtedy, jak szła chmura, Moskwa się broniła – opowiada strażnik. Z okolic Mohylewa artyleria strzelała całymi dniami do chmur, żeby je rozbić. Chcieli, żeby spadły tutaj, a nie tam, w Rosji.

Strażnik zaprasza na herbatę. Wchodzi do swojego baraku, a po chwili pojawia się z kubkami, na jednym wymalowano Kaczora Donalda. Przynosi jeszcze cukier. Proponuje, żeby zostawić ponton pod dachem: tu nie zginie. Można zaufać. Proponuje, że pod wieczór znajdzie kogoś, kto odwiezie mnie do samochodu zostawionego sto kilometrów dalej. Wyciąga komórkę i rozmawia. Rozmowa jest krótka. Potem odkłada telefon, zapala papierosa. Pięć dolarów.

– Ale można się targować – tak mówi strażnik.

Mieszkać w Narowli to mieszkać na końcu świata. Powiedzieć, że mieszka się w Narowli, to tak, jak powiedzieć komuś, że mieszka się w bazie badawczej na Antarktydzie: ludzka osada, ale tak na prawdę to punkt na mapie pozostawiony samemu sobie. Nikt nie zrozumie. Trzeba tu być i iść najlepiej na plac, gdzie stoi wiata przystanku autobusowego. W oddali majaczy blok, tuż obok niski gmach restauracji. Plac jest tak duży, jakby w Narowli przygotowywano się na przybycie wybawców z samego kosmosu. Łatają go, kładąc kwadratowe płyty świeżego asfaltu. Nie jest źle.

Przed sklepem przy głównej ulicy dwudziestolatki w czapkach z daszkiem, w dresach. Ręce w kieszeni, strzał śliną, papieros. Widzą, że pojawił się obcy. Jeden unosi ręce, rozczapierza palce, wykrzywia twarz.

– Yyyyyyyyyy, mutanty – charczy. Reszta się śmieje.

Sklep świetnie zaopatrzone. Kawior i białe pieczywo. Przy pustej głównej ulicy rosną rozłożyste drzewa. Co pewien czas pokazuje się na jej końcu stara fura: gaz, ził albo moskwicz. Czasem jakiś zachodni.

Przejeżdżają przez most, a potem znikają za drzewami. W ciszy wciąż słychać terkot silnika, w końcu dochodzi tylko ciche bzyczenie, które wcale już nie przypomina pojazdu. Naprawdę dupa świata. Ale zaraz: wszędzie wypielegnowane trawniki, z kwiatów starannie poukładane wzory. Wiszą flagi. I te krawężniki: są świeżo pobielone. Ktoś w Mińsku o nich pamięta.

Kobieta z wiadrem pochylona nad trawnikiem wyrywa chwasty. Na dłoniach ma gumowe rękawice, nadgarstkiem ociera spocone czoło. Nawet się nie prostuje: zbliża się święto. Droga od Mozyrza będą jechać lokalni politycy. W dole, przy rzece, pojawiają się dzieci. Bawią się na piasku z małym psem.

\*

Po obu stronach drogi na Kalesniki ciągną się martwe wsie. Tablic informacyjnych z nazwą miejscowości nie ma. Są za to przybite do drzewa trójkąty z charakterystycznym wiatraczkiem: tu zaczyna się strefa promieniowania. Piaszczysta droga prowadząca do wsi jest płaska jak stół. Żadnych śladów samochodów, żadnych stóp, tylko gładko zamieciona płaszczyzna. To jednak nieprawda, że wszystkie wsie są opuszczone. Czasem ludzie mieszkają. Mają się dobrze. Jest taniej. I spokojnie. Można polować bez zezwolenia. Czasem ciągną nawet prąd trakcjami na drewnianych słupach. Nie ma tylko sąsiadów. Ale i to się zmienia. Ludzie wracają: biorą domy i remontują. Za dziesięć, dwadzieścia lat wsie wrócą do żywych.

I są już pierwsi – ci, którzy uciekli ze swoich małych postsowieckich republik i zamieszkali tutaj w ciszy. Ale tam lepiej nie zaglądać. Żyją na twardych, surowych warunkach, mają broń. Ludzie ze Wschodu są dzicy. Nie chcą gości.

Piaszczysta droga przez las kończy się i zaczyna się spękany asfalt. Chwasty wychodzą każdą szczeliną. Asfalt się unosi, faluje. Dużo tłuczonego szkła. Jakieś deski, które trzeba odsunąć, żeby jechać dalej. Drzewa łamią się pod ciężarem owoców. Potem pojawia się pomnik żołnierza. W płaszczu, z karabinem, w hełmie. Trochę plastikowych

kwiatów u stóp, dwie albo trzy spłowiałe wstęgi. Żołnierz stoi z pochyloną głową i bronią uniesioną do ust. To chyba pepesza. Asfalt dalej biegnie prosto, tworząc kwartały, przy których postawiono domy. Domy się rozpadają, każdy na własny sposób. W większości wykonane z drewnianych bali, pokryte gontem, rok po roku padają wraz z upływem czasu. W końcu domy i zieleń mieszają się, zmieniając w coś na kształt ekspresjonistycznych rzeźb. Korzenie z niezwykłą łatwością przechodzą przez kolejne warstwy konstrukcji, pień wychodzi z siennika. W wysokich trawach porzucone graty: resztki mebli, kuchenka gazowa, wózek dziecięcy. Coś pomiędzy trwaniem a nieistnieniem. W studni woda ma wysoki poziom. Po powierzchni w rzęsie pływa plastikowa butelka, na cembrowinie szmata. Pod lasem kontury ścian wyznaczają kształt dawnych obór. Kawałki elementów stalowych konstrukcji i deski rozrzucone w trawie. Za wsią zaczynają się mokradła – szerokie łąki. Wszędzie unosi się lekka mgła po gorącym dniu. Małe kulki zawieszone w powietrzu wydają równomierne, wibrujące buczenie.

I mech. Mech robi swoje. Włazi na wszystko – fundamenty domów, asfalt, gazety i książki rozrzucone po podłodze. Mówi się, że mech to najsilniejszy gatunek. Widać to: organiczne fraktale pożerają w milczeniu każdy kawałek materii, którego sięgną. Są jak oddychające bezgłośnie okrycie życia, które musi wszystko zdobyć. Czas dla nich nie płynie. Działają zbyt wolno, mają zbyt szeroki horyzont do pojmania, żeby minuty czy tygodnie miały jakieś większe znaczenie. Całkiem prawdopodobne, że kiedyś wszystko zostanie pożarte przez ten jeden wielki organizm.

Ciało świętej Eufrozyny w szklanych rakach przetrwa wszystko. Obojętnie, gdzie ją wywiozą. Przykryta szybą Eufrozyna jest oddzielona od ludzi i bakterii.

Kiedy byłem pierwszy raz w Połocku, wszedłem, pomimo zakazu i kurtyny z folii, do mniejszej cerkwi, cerkwi Przemienienia Pańskiego. Tej wybudowanej przez Eufrozinę i anioły. Cerkiew przechodziła renowację. Na dworze było gorąco, na placu nikogo.

Wewnątrz panował półmrok. Stara zakonnica w przedsionku pakowała jakieś szmaty do niebieskich foliowych worków. Na rusztowaniach rozstawionych w głównej nawie pracowali ludzie. Stałem bez ruchu, patrząc na lampy w stalowej oprawie, świecące kilkusetwatowymi żarówkami, oświetlające ściany, na których widać było podrapane, wypłowiałe malowidła. Pracowali od kilku miesięcy. Centymetr po centymetrze odkrywali zamalowane freski z XII wieku. Rosjanie zamalowali je dwieście lat temu, niszcząc kolejny dowód na to, że była na tych ziemiach samodzielna, określona kultura.

Pod rusztowaniami dało się słyszeć ciche rozmowy, ale nikogo nie było widać. Rusztowania kołysały się leniwie, gdzieś na górnych piętrach pracowali ludzie. W końcu pojawił się młody chłopak, od razu skierował mnie do kierownika i poszliśmy wyżej po kombinacji desek, wsporników i aluminiowych drabin. Sarabjanow był na drugiej albo trzeciej kondygnacji. To taki paradoks: freski zamalowane przez Rosjan odsłaniał Rosjanin. Niewysoki, dobrze zbudowany, z szeroką twarzą. Zadowolony z wizyty, zawołał swoją asystentkę Daszę. Dziewczyna w lnianej spódnicy i w chuście na głowie wyglądała jak zakonnica.

– Oprorowadzisz go – powiedział. Sarabjanow musiał jechać do miasta.

Nie wiadomo, co było głównym motorem zwiedzania. Czasem wydawało się, że chronologia, czasem, że fantazja Daszy. Prowadziła po rozwieszonych wysoko ponad posadzką świątyni deskach rusztowań, które kołysały się w rytm jej słów. Dasza opowiadała o wydarzeniach biblijnych, które przedstawiały freski, próbowała nawiązywać do historii Eufrozyny. Pokazywała ciągnące się w nieskończoność układy postaci, pęknięcia i przebarwienia tynków. Można było jedynie zadawać sobie pytanie: gdzie są dłonie tych ludzi, którzy tysiąc lat temu malowali te freski? Co się z nimi stało? W bocznej nawie – wąskiej i wysokiej, niemal pod sklepieniem – ekipa odsłoniła niedawno kolejne malowidła: zamazane kształty pomniejszych świętych albo aniołów. Niewielu je widziało, kiedyś z pewnością będzie można je podziwiać. Od wieków ukryte na wysokości, schowane na czas nieprzyjazny, wciąż trwają, mając za towarzystwo tylko półmrok.

Następnie z wdziękiem, z którym objaśniała zawilosci technik odzyskiwania fresków, Dasza dała do zrozumienia, że nastala pora obiadu, i poszła. Z poczatku próbowałem samodzielnie oglądać cerkiew, bez niej jednak, bez jej namietności, bo przeciez mówiła z głębi serca, niemal cała sobą, freski były martwe. Poszedłem po rusztowaniach w górę i z najwyższej kondygnacji zacząłem się wspinać w pion głównej kopuły po metalowych rusztowaniach bez kładek, jak po wielkiej drabinie. Metr po metrze aż pod strop – dokładnie tam, gdzie kiedyś namalowany był moment Przemienienia Pańskiego. Wszedłem na wąską kładkę, ale zamiast aktu przemienienia człowieka w nadczłowieka zobaczyłem czysty tynk. Ten fresk akurat nie przetrwał.

A potem w dole rozległy się ciche głosy. To byli renowatorzy. Wrócili do pracy po przerwie, chwilę gadali, po czym w plątaniu rusztowań znów rozległo się stukanie młoteczków. I od tych uderzeń całe rusztowanie wibrowało, przenosząc każdy, nawet najmniejszy ruch dłoni tych, którzy w ukryciu odsłaniali freski kawałek po kawałku.

## **Kobieta, która tańczy**

– Podziemne miasta? Jasne, słyszałam. Czasem wydaje mi się, że to cierpienie ludzi, którzy przeszli przez piekło i nawet nie mogą o tym opowiedzieć – mówi Iryna Kasztalan.

Kasztalan jest młoda. Spokojna, uśmiechnięta, z wielkim katolickim krzyżem na piersi. Od najdawniejszych czasów walczy z władzą. Jej dziadka aresztowali Sowieci za pomoc księdzu z kościoła na Złotej Górze w Mińsku. Dostał trzy lata, ale nigdy do domu nie wrócił, Iryna nie wie, co się z nim stało. Zakwalifikowali go jako szpiega, zresztą tak jak wszystkich, którzy żyli blisko kościoła. Rachunek był prosty: pomagasz katolikom, jesteś wrogiem. Po rozstrzelaniu przyszli jeszcze szukać złota, które rzekomo dziadkowi mieli przekazywać Polacy. Nic nie znaleźli. Oczywiście nie jest to dowód na niewinność, pewnie złoto wyjechało już w inne miejsce. Spryt tylko potwierdza, że było to działanie zorganizowane. W ramach zadośćuczynienia odebrali rodzinie pół domu. Na takiej opowieści o dziadku Iryna się wychowała. Opowieść była żywa i ona jako dziecko przesiąkła tym sposobem myślenia: istnieje kara, która spada za niewykrytą zbrodnię, istnieje siła, która ma prawo odbierać życie za nic. Jeszcze ta klaustrofobia: nie można wyjść z domu i mówić o swoim cierpieniu, nie mówi się przecież o takich rzeczach poza domem. To generuje tylko problemy. Został jej bunt.

Bunt trwał dłużej. Jako nastolatka chodziła w Mińsku na demonstracje. W końcu ją aresztowali i wyrzucili z Instytutu Pedagogicznego, ale z nauki nie zrezygnowała. Starła się o przyjęcie na inny wydział, paradoksalnie: pozwolono jej uczyć się historii. Napisała nawet doktorat; za temat wzięła sobie powojenną codzienność Białorusinów pod wpływem stalinowskich represji. Doktorat był dobry, ale komisja zakwestionowała pracę jako sprzeczną z ideologicznym punktem widzenia. Ostatecznie jej nie obroniła. Wtedy włączyła się w działalność opozycyjną. Potem wyjechała do Berlina i tam jeszcze raz napisała swoją pracę. Książka ukazała się w 2016 roku

w języku angielskim. Wraz z grupą badaczy założyła również Cyfrowe Białoruskie Archiwum Historii Mówionej, w którym zaczęła umieszczać zarejestrowane opowieści ludzi pamiętających dawne czasy. Niech ludzie mówią to, co mają na sercu, niech opowiadają. Teraz jeździ po wsiach, nagrywa wspomnienia, łapie je, zanim znikną. Być może w każdym z rozmówców widzi samą siebie, która jako dziecko nie mogła opowiadać o odejściu swojego dziadka. Materiały archiwum dostępne są online. Serwery stoją na Litwie.

W Irynie, w jej pracy dokumentalistki, ogniskuje się cała opowieść o pamięci. Musiało to w niej drzemać od początku – to wielkie pragnienie przekazania świadectwa mimo wszystko. To ono zaprowadziło ją do Kolegium Białoruskiego, gdzie była jedną z pierwszych uczennic Alesia Ancipienki. Ancipienka ze swoim psem Czyłą może już zapaść się w nieskończoną medytację, bo jego staranie ostatecznie coś jednak dało: narodziła się Iryna gotowa do walki. Nauczyciel Ancipienki, Kim Chadziejeu, stary pijak Chadziejeu, też musi się uśmiechać, myśląc o tych serwerach: kiedy żył, wiedza nie była tak łatwa do rozpowszechniania. Chadziejeu jednak należał do innego świata, świata dysydentów i naukowców, których stalinizm dawno wykończył. Być może spotkał w trakcie jednej z odsiadek starego Łastouskiego. Nikt tego nie wie, archipelag inteligentów został skazany na zapomnienie, choć ich praca w jakiś sposób przetrwała. Są jak te postacie z cerkwi świętej Eufrozyny: nawet zakryci nie odejdą, nie rozproszą się, choćby długo nikt o nich nie wspomniał.

Iryna daje mi słuchawki i mówi: posłuchaj. Relacja nagrywana była w pomieszczeniu – słyhać echo. Kobieta skrzeczącym starym głosem opowiada o śmierci swojego syna, który zginął w czasie II wojny światowej. Syn przyłączył się do partyzantów, poszedł do lasu. Kiedy wjechali Sowiet, jego oddział podjął walkę. Wiadomo, że nierówną. Zginął, ale nie zostawili go tam, między drzewami, jego ciało było przecież dowodem i tropem do dalszego szukania winnych. Stalin w swoim okrucieństwie nie miał wątpliwości: mówił, że każdy, kto sprzeciwia się władzy ludowej, musi zginąć, ale dla bezpieczeństwa trzeba zabijać także

jego bliskich. Odszukano więc matkę partyzanta. Przyszli i nie wyjawiając powodów, kazali jej się ubierać. Ona już wiedziała, takie rzeczy matki wiedzą. Zawieziono ją na posterunek i pokazano ciało. Syn leżał na stole. Wiedziała dobrze, jak się sprawy mają i o co w tym okazaniu chodzi. Trzeba więc było zgasić żal i być dalej człowiekiem, choćby tylko po to, żeby móc kiedyś komuś to opowiedzieć. Powiedziała zatem: to nie mój syn. Oni jeszcze raz zapytali, a ona znów zaprzeczyła. A potem jeden włączył gramofon i nastawił płytę z jakąś skoczną muzyką. Drugi chwycił ją za rękę. Z początku wydawało jej się, że będzie chciał z nią tańczyć, ale on mocnym ruchem postawił ją na stole, na ciele dziecka. I powiedział: jeśli to nie twój syn, to tańcz. I ona zatańczyła.

## Podziękowania

Niniejsza książka w pierwotnej wersji była zapisem podróży, jaką odbyłem w 2012 roku po Białorusi. Dopiero spotkanie Alesia Ancipienki pozwoliło mi zobaczyć szerzej problem zagubionej białoruskiej tożsamości i walki o jej przywrócenie. Dzięki jego radom dotarłem do ludzi, którzy opowiedzieli mi o połockich podziemiach i micie ukrytej pod ziemią wiedzy. Bez Alesia, tego jestem pewien, niniejsza książka by nie powstała. Dziękuję również Siarhiejowi Chareuskiemu, który cierpliwie odpowiadał na moje pytania, a także profesor Annie Engelking, która w trakcie pisania drugiej wersji książki służyła mi cenną radą.

Serdeczne podziękowania składam również pani Verze Michalski-Hoffmann i Fundacji Jana Michalskiego za wsparcie jednorazowym stypendium, które pozwoliło mi kontynuować zbieranie materiałów.

Osobne podziękowania składam redaktorom Łukaszowi Najderowi i Tomaszowi Zajacowi za cierpliwość i cenne uwagi, dzięki którym książka przybrała finalny kształt.

Dziękuję także tym wszystkim „beziemiennym” Białorusinom, którzy gdziekolwiek pojechałem, przyjmowali mnie do swoich domów tak, jakby w ich słowniku nie było słowa „obcy”.

Na życzenie niektórych bohaterów książki ich imiona zostały zmienione.

## Bibliografia

- Akudowicz Walancin, *Dialogi z Bogiem*, przeł. Halina i Jan Maksymiukowie, Wrocław 2008
- Bańbor Jan, *Poszukiwania archiwaliów Polskich i sowieckich przez niemiecką służbę archiwów*, „Rocznik Archiwalno-Historyczny Centralnego Archiwum Wojskowego” 2011, nr 4/33
- Barszczewski Jan, *Szlachcic Zawalnia czyli Białoruś w fantastycznych opowiadaniach*, Petersburg 1845
- Baudouin de Courtenay Ehrenkreutz Jędrzejowiczowa Cezaria, *Kilka uwag i wiadomości o etnografii województwa wileńskiego [w:] Wilno i ziemia wileńska. Zarys monograficzny*, t. 1, Wilno 1930
- Białoruś – w stronę zjednoczonej Europy*, pod red. Mariusza Maszkiewicza, Wrocław 2009
- Blombergowa Maria Magdalena, *Wandalin Szukiewicz. Syn ziemi ludzkiej – badacz i społecznik (1852– 1919)*, Warszawa–Lida 2010
- Chariewskij Siergiej, *Na zybkoj poczwie*, „Nieprikosnowiennyj zapas” 2010, nr 2
- Duchiński Franciszek Henryk, *Historia o pozabijaniu Bazylianów w połockiej cerkwi przez cara moskiewskiego, etc. w roku 1705-tym dnia 30 junia starego*, Paryż 1863
- Evdokimov Paul, *Sztuka Ikony. Teologia piękna*, przeł. Maria Żurowska, Warszawa 1999
- Giżycki Jan Marek, *Materyały do dziejów Akademii Połockiej i szkół od niej zależnych*, Kraków 1905
- Gloger Zygmunt, *Podróż Niemnem*, „Wisła” 1888, t. 2, z. 1–2
- Heller Michaił, *Historia Imperium Rosyjskiego*, przeł. Eugeniusz Melech i Tadeusz Kaczmarek, Warszawa 2002
- Howard Michael, *Wojna w dziejach Europy*, przeł. Tadeusz Rybowski, Wrocław 1990
- Kanczeuski Ihnat, *Odwiecznym szlakiem*, przeł. Czesław Seniuch, „Krasnogruda” 2000, nr 12
- Kułoń Anton, *Kim Chadziejeu*, „pARTisan” 2011, nr 17
- Leeuw Gerardus van der, *Primordial Time and Final Time*, [w:] *Man and Time. Papers from the Eranos Yearbooks*, Vol. 3, London 1958
- Lobach Uładzimer, *The Sacred Lakes of the Dvina Region (Northwest Belarus)*, „Archeologia Baltica”, Vol. 15, Klaipėda 2011
- Łastouski Wacław, *Łabirynty*, Kowno 1923

- Łatyszonek Oleg, Eugeniusz Mironowicz, *Historia Białorusi: od połowy XVIII do końca XX wieku*, Białystok 2002
- Miechtatielnyj parień etot Łangbard*, „Miszpocha”, nr 17,  
<http://www.mishpoha.org/n17/17a21.html>, dostęp: 6.06.2017
- Mironowicz Eugeniusz, *Białoruś*, Warszawa 2007
- Nasze kościoły. Opis wszystkich kościołów i parafij znajdujących się na obszarach dawnej Polski i ziemiach przyległych*, t. 1: *Archidiecezja Mohylowska*, pod red. Ks. Jozefata Żyskara, Warszawa–Petersburg 1913
- Obłęski Józef, *Polesie*, red. naukowa i wstęp Anna Engelking, Warszawa 2007
- Pałubicki Zdzisław ks., *św. Andrzej Bobola (1591–1657)*, <http://adonai.pl/ludzie/?id=74>, dostęp: 6.06.2017
- Pamiętniki hr. Michała Mikołajewicza Murawiewa („Wieszczela”) (1863–1865) pisane w roku 1866*, przeł. J. Cz., przed. S. Tarnowski, Kraków 1896
- Paźniak Kyrył, *Ziemia męczenników*, przeł. Małgorzata Nocui, „Nowa Europa Wschodnia” 2008, nr 1
- Paźniak Zianon, Jauhien Szmyhalou, *Kuropaty – droga śmierci*, cyt. za: Kyrył Paźniak, *Ziemia męczenników*, przeł. Małgorzata Nocui, „Nowa Europa Wschodnia” 2008, nr 1
- Pipes Richard, *Rosja bolszewików*, przeł. Władysław Jeżewski, Warszawa 2013
- Pisarz na wojnie. Wasilij Grossman na szlaku bojowym Armii Czerwonej 1941–1945*, oprac. Antony Beevor i Luba Winogradowa, przeł. Maciej Antosiewicz, Warszawa 2006
- Powieść minionych lat. Najstarsza kronika kijowska*, przeł. i oprac. Franciszek Sielicki, Wrocław 2005
- Sahanowicz Hienadź, *Historia Białorusi. Od czasów najdawniejszych do końca XVIII wieku*, przeł. Hubert Łaszkiewicz, Lublin 2001
- Serwis Prasowy Polskiej Agencji Prasowej z lat 1994–1999
- Słownik folkloru polskiego*, pod red. Juliana Krzyżanowskiego, Warszawa 1965
- Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 1–15, Warszawa 1880–1902
- Snyder Timothy, *Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa i Białoruś 1569–1999*, przeł. Magda Pietrzak-Merta, Sejny 2006
- Snyder Timothy, *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem*, przeł. Bartłomiej Pietrzyk, Warszawa 2011
- Stebelski Ignacy ks., *Dwa wielkie światła na horyzoncie połockim z cieniów zakonnych powstające, czyli żywoty śś panienek i matek Ewfozyny i Parascewii zakonnicek*

*i hegumenij [...]*, Lwów 1866

Szybieka Zachar, *Historia Białorusi 1795–2000*, przeł. Hubert Łaskiewicz, Lublin 2002

Turonek Jerzy, *Białoruś pod okupacją niemiecką*, Warszawa 1993